KLASYK LITERATURY SCIENCE FICTION

ISAAC ASIMOV

Gwiazdy jak pył

IMPERIUM GALAKTYCZNE

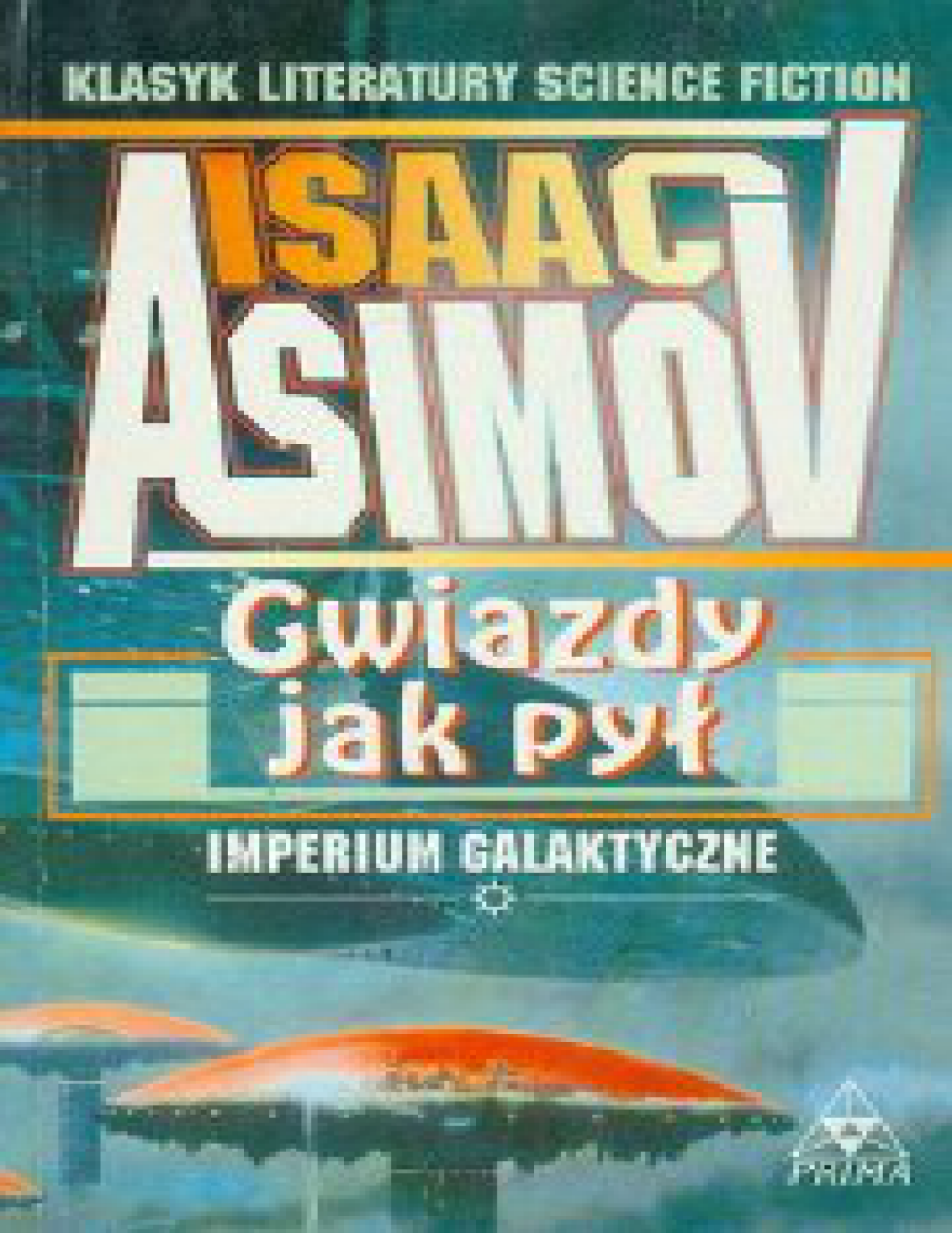

PRIMA

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Bohaterem powieści jest Byron Farrill, student Uniwersytetu Ziemskiego, urodzony w odległych Królestwach Nebuli, podbitych i rządzonych przez planetę Tyrann, która pośród gwiazd buduje swoje okrutne Imperium. Ojciec Byrona został zamordowany za próbę przeciwstawienia się tyranii; teraz ktoś usiłuje zabić młodego Farrilla. Dlaczego? Byron ucieka z Ziemi i przyłącza się do rebeliantów walczących z władcami Tyranna. Rozwiązanie zagadki śmierci ojca może przynieść zagładę lub wolność całej Galaktyce…

- Isaac Asimov
  - 1. Szepcząca sypialnia
  - 2. Kosmiczna sieć
  - 3. Przypadek i zegarek
  - 4. Wolny?
  - 5. Głowa spoczywa niespokojnie
  - 6. Ciężka na niej korona
  - 7. Muzyk umysłu
  - 8. Spódnica damy
  - 9. I spodnie władcy
  - 10. Być może!
  - 11. A może nie!
  - 12. Przybycie autarchy
  - 13. Autarcha składa wizytę
  - 14. Autarcha odchodzi
  - 15. Dziura w przestrzeni
  - 16. Ogary!
  - 17. I zwierzyna!
  - 18. Po klęsce…
  - 19. Klęska!
  - 20. Gdzie?
  - 21. Tutaj?
  - 22. Tutaj!
  - Posłowie
- notes
  - 1
  - 2

Isaac Asimov
Gwiazdy jak pył

1. Szepcząca sypialnia

Ściany sypialni mruczały do siebie łagodnie. Było to prawie poniżej granicy słyszalności — urywany cichy odgłos, niemożliwy jednak do pomylenia z jakimkolwiek innym dźwiękiem. Odgłos śmierci.

Ale to nie on obudził Birona Farrilla z ciężkiego, nie przynoszącego wypoczynku snu. Biron potrząsnął głową w daremnej walce z ciągłym brzęczeniem rozlegającym się ze stołu.

Z zamkniętymi oczami wyciągnął niezgrabnie rękę i nacisnął przełącznik.

— Halo — wymamrotał.

Z głośnika wylała się fala dźwięków. Były głośne i szorstkie, ale Biron nie zamierzał ich ściszać.

— Czy mogę rozmawiać z Bironem Farrillem?

Otwarte oczy Birona napotkały jedynie ciemność. Poczuł nieprzyjemną suchość w ustach i słaby zapach unoszący się w pokoju.

— Przy aparacie. Kto mówi?

Ignorując jego wypowiedź, w nocnej ciszy ponownie rozległ się donośny głos:

— Jest tam kto? Chciałbym rozmawiać z Bironem Farrillem. Biron uniósł się na łokciu i popatrzył na wizjofon. Nacisnął przycisk kontroli obrazu i mały ekran rozjarzył się jasnym światłem.

— Przy aparacie — powtórzył. Rozpoznał lekko asymetryczne rysy Sandera Jonti. — Zadzwoń do mnie rano. Jonti.

Już chciał wyłączyć wizjofon, kiedy Sander odezwał się ponownie:

— Hało, halo! Jest tam kto? Czy to hotel uniwersytecki, pokój 26? Halo!

Biron uświadomił sobie nagle, że lampka kontrolna obwodu nadawczego nie świeci. Zaklął cicho i nacisnął przycisk. Bez rezultatu. Jonti zrezygnował w końcu i ekran znów stał się tylko białym kwadratem światła.

Biron wyłączył wizjofon. Zgiął rękę i usiłował ponownie ukryć twarz w poduszce. Był zirytowany. Po pierwsze, nikt nie miał prawa wydzwaniać do niego w środku nocy. Rzucił szybkie spojrzenie na delikatnie świecące tuż nad jego głową cyfry. Piętnaście po trzeciej, Światło zapali się więc dopiero za prawie cztery godziny.

Poza tym, nie lubił budzić się w kompletnych ciemnościach, mimo że spędził na Ziemi cztery lata, nie zdołał przyzwyczaić się o niskich, przysadzistych konstrukcji ze zbrojonego betonu, całkowicie pozbawionych okien. Tradycja ta liczyła sobie tysiąc lat i pochodziła z czasów, kiedy nie potrafiono jeszcze kontrolować prymitywnych bomb

atomowych za pomocą ochronnych pól siłowych.

Ale to należało już do przeszłości. Wojna nuklearna zrobiła z Ziemią wszystko, co najgorsze. Większość jej terytoriów, radioaktywna, była bezużyteczna. Choć jednak nie zostało nic, o co warto byłoby walczyć, architektura wciąż odzwierciedlała stare lęki, dlatego kiedy Biron się obudził, w pokoju było kompletnie ciemno.

Ponownie uniósł się na łokciu. Dziwne. Czekał. Ale to nie szmer sypialni przyciągnął jego uwagę. To było coś nawet jeszcze mniej zauważalnego i z pewnością nieskończenie mniej zabójczego.

Wyczuł brak delikatnego ruchu powietrza, który zawsze odświeżał atmosferę w pokoju. Z trudem przełknął ślinę. Odkąd to zauważył, wydało mu się, że powietrze gęstnieje z minuty na minutę. No tak. Klimatyzacja przestała działać i znalazł się w prawdziwych kłopotach. Nawet nie mógł użyć wizjofonu, żeby powiadomić kogoś z obsługi.

Dla pewności spróbował jeszcze raz. Mleczny kwadrat wypełnił się światłem i rzucił delikatny poblask na łóżko. Obwód odbiorczy działał bez zarzutu, nadawczy pozostawał martwy. No cóż, nieważne. I tak przed świtem nic nie można zrobić.

Ziewnął i po omacku poszukał pantofli, wierzchem dłoni przecierając oczy. Brak wentylacji? To by tłumaczyło ten dziwaczny zapach. Skrzywił się i kilkakrotnie pociągnął nosem. Nic z tego. Zapach był znajomy, ale nie potrafił go zidentyfikować.

Poszedł do łazienki i chociaż nie potrzebował światła, żeby nalać sobie wody do szklanki, odruchowo sięgnął do kontaktu. Nic. Z irytacją nacisnął jeszcze kilka razy. Czy wszystko przestało działać? Wzruszył ramionami, napił się po ciemku i natychmiast poczuł się lepiej. Ponownie ziewnął, wracając do łóżka nacisnął główny kontakt. Nie zapaliło się żadne światło.

Biron usiadł na łóżku, położył ręce na silnie umięśnionych udach i zastanowił się. Normalnie taka awaria wywołałaby potworną awanturę z obsługą. Akademik to wprawdzie nie luksusowy hotel, ale, na przestrzeń, można oczekiwać choćby podstawowych wygód. Teraz jednak nie było to takie ważne. Zbliżało się zakończenie roku, a on zdał już ostatnie egzaminy. Za trzy dni ostatecznie pożegna się z Uniwersytetem Ziemskim i z samą Ziemią.

Można by jednak zawiadomić o tym bez jakiegoś specjalnego komentarza. Powinien wyjść z pokoju i zadzwonić z aparatu w hallu. Przynajmniej przynieśliby tu jakąś lampę, może nawet podłączyliby wentylator, dzięki czemu mógłby spać, nie mając uczucia, że się dusi. Jeśli nie, to przestrzeń z nimi! Jeszcze tylko dwie noce.

W świetle padającym z ekranu bezużytecznego wizjofonu znalazł szorty. Włożył jednoczęściowy kombinezon i stwierdził, że to wystarczy. Nie zmienił pantofli. Nawet gdyby wyszedł na korytarz w

podkutych butach, nie było niebezpieczeństwa, żeby kogoś obudził — podłogi pokrywała wyciszająca wykładzina. Nie widział jednak powodu, żeby zmieniać kapcie.

Podszedł do drzwi i pociągnął dźwignię. Poruszyła się lekko, usłyszał szczęknięcie oznaczające uruchomienie zamka. Tyle że drzwi się nie otworzyły. I chociaż napiął muskuły, ciągnąc z całej siły, nic nie osiągnął.

Odszedł od drzwi. To śmieszne. Czyżby mieli awarię zasilania? Nie, to nie mogło się zdarzyć. Zegar chodził. Wizjofon wciąż odbierał.

Chwileczkę! To może być robota chłopaków, tych cholernych narwańców. Czasami tak się wygłupiali. Dziecinada, ale sam też nieraz brał udział w różnych numerach. To zapewne nie było trudne; jeden z nich mógł się zakraść do pokoju w ciągu dnia i wszystko przygotować. Ale nie, kiedy kładł się spać, wentylacja i światła działały.

W porządku, a więc zrobili to w nocy. Hali jest stary i zbudowany według przestarzałych planów. Nie trzeba być geniuszem inżynierii, żeby coś zmajstrować przy instalacji elektrycznej i klimatyzacji. Albo zablokować drzwi. A teraz czekają la ranek, żeby zobaczyć, co zrobi dobry stary Biron, kiedy odkryje, że nie może wyjść. Prawdopodobnie wypuszczą go około południa i będą się zaśmiewać do rozpuku.

— Cha, cha — powiedział ponuro pod nosem. Jeśli tak się sprawy mają, to pół biedy. Ale przecież mógł coś z tym zrobić; przynajmniej trochę zmienić ich scenariusz.

Wracając do pokoju kopnął jakiś przedmiot, który z metalicznym dźwiękiem potoczył się po podłodze. W delikatnej poświacie ; ekranu wizjofonu ledwie dostrzegł jego cień. Szukał pod łóżkiem macając szerokim łukiem. Znalazł i przysunął go bliżej światła. (Nie byli zbyt sprytni. Powinni całkowicie odłączyć wizjofon, a nie tylko zepsuć obwód nadawczy).

Stwierdził, że trzyma w ręku mały pojemnik z niewielkim otworkiem w kopułce umieszczonej na wierzchu. Przysunął przedmiot do nosa i powąchał. Wyjaśniła się obecność dziwnej roni w pokoju. To był hypnit. Oczywiście chłopcy użyli tego, by nie obudził się, gdy oni manipulowali z instalacją elektryczną.

Biron potrafił już odtworzyć krok po kroku wszystkie wydarzenia. Drzwi prawdopodobnie bez trudu dały się wyważyć. To był zresztą jedyny ryzykowny moment — mógł się obudzić, zresztą w ciągu dnia drzwi można było odpowiednio przygotować, tak że potem tylko wyglądały na zamknięte. Nie sprawdzał ich. Nieważne. W każdym razie po otwarciu drzwi wstawili pewnie do środka puszkę hypnitu i zamknęli pokój. Narkotyk ulatniał się powoli, aż wreszcie wytworzył takie stężenie w powietrzu, żeby go porządnie uśpić. Wtedy pewnie weszli, oczywiście w maskach… Jasne! Na kosmos! Wilgotna chusteczka do nosa zatrzymuje hypnit przez kwadrans. Nie

potrzebowali więcej czasu, żeby zrobić wszystko, co zaplanowali.

To wyjaśniało sprawę klimatyzacji. Musieli ją wyłączyć, żeby hypnit zbyt szybko nie zniknął z powietrza. No tak, wszystko jasne. Odłączony wizjofon uniemożliwiał wezwanie pomocy, zablokowane drzwi nie pozwalały wyjść, a brak światła miał wywołać panikę. Miłe chłopaki!

Biron prychnął. Nie było powodu żeby tak się tym przejmować. Dowcip to dowcip, i tyle. Najchętniej jednak po prostu wyłamałby drzwi i skończył ten cyrk. Wytrenowane mięśnie napięły się na samą myśl, ale rozsądek podpowiedział, iż nie miałoby to sensu, drzwi zostały obudowane z myślą o wojnie atomowej. Przeklęty zwyczaj!

Musi być jednak jakieś wyjście! Nie może dać im takiej satysfakcji. Po pierwsze, potrzebuje światła, prawdziwego, a nie nieruchomego i mdłego lśnienia ekranu wizjofonu. Nie ma sprawy. W szafie na ubrania jest latarka.

Przez chwilę, kiedy naciskał przyciski sterowania drzwiami szafy, pomyślał, że je także uszkodzili. Ale otworzyły się normalnie i gładko wsunęły w ścianę. Pokiwał głową. To miało sens. Po co mieliby zamykać szafę? Zresztą na wszystko nie starczyłoby im czasu.

Nagle, kiedy z latarką w ręku wycofywał się do pokoju, w jednej przerażającej chwili zawaliła się cała misterna konstrukcja jego domysłów. Zamarł w napięciu i wstrzymał oddech nasłuchując.

Po raz pierwszy od przebudzenia usłyszał pomruk sypialni. Słuchał cichej, nieregularnej rozmowy ścian i natychmiast rozpoznał dźwięk.

Nie można było go nie rozpoznać. To był „szmer umierania Ziemi". Głos, który dał się słyszeć po raz pierwszy tysiąc lat temu.

Dokładniej mówiąc, słyszał licznik promieniowania zliczający cząsteczki jonizujące i twarde promieniowanie gamma; ciche, elektroniczne tykanie przechodzące w delikatny szelest. To był odgłos urządzenia odmierzającego jedną jedyną rzecz — śmierć!

Delikatnie, na palcach, Biron wycofał się. Z odległości dwóch metrów skierował światło latarki do wnętrza szafy. W głębi, w kącie, stał tam licznik, ale jego widok nic mu nie powiedział.

Urządzenie znajdowało się tam od jego pierwszych dni na uniwersytecie. Nowi studenci z przestrzeni kupowali zazwyczaj liczniki w pierwszym tygodniu pobytu na Ziemi. Bali się promieniowania radioaktywnego na planecie i potrzebowali ochrony. Zwykle po roku sprzedawali je następnym naiwnym, ale Biron nigdy się swojego nie pozbył. Teraz w duchu podziękował niebiosom za swe niedbalstwo.

Podszedł do biurka, na którym kładł na noc swój zegarek. Ręka zadrżała mu lekko z emocji, kiedy podnosił go do światła. Plastikowy

splot bransolety był wciąż biały. Biały! Biron odsunął zegarek od oczu i spojrzał pod innym kątem. Czysta biel.

Pasek był jeszcze jednym nabytkiem świeżo upieczonego studenta. Twarde promieniowanie zmieniało jego barwę na niebieską, a kolor ten oznaczał na Ziemi śmierć. Nietrudno tu było zgubić drogę i wejść przez nieuwagę na pas skażonej gleby. Władze oczyściły tyle powierzchni, ile były w stanie, i nikt oczywiście nie zbliżał się do rozległych skażonych połaci rozpościerających się kilka kilometrów od miasta. Pasek stanowił jednak dodatkowe zabezpieczenie.

Gdyby zmienił kolor na jasnobłękitny, właściciel musiałby natychmiast zgłosić się do szpitala i poddać badaniom. Nie było żadnej wymówki. Pasek zawierał substancję, która była dokładnie tak czuła na promieniowanie jak człowiek. Odpowiedni czytnik fotoelektryczny analizował intensywność barwy, dzięki czemu natychmiast można było określić wchłoniętą dawkę.

Jasny, intensywny błękit oznaczał koniec. Tak jak czujnik nie potrafił z powrotem zmienić barwy, tak ludzkie ciało nie mogło oddać wchłoniętego promieniowania. Nie było lekarstwa, szansy, nadziei. Po prostu oczekiwałeś z dnia na dzień, a szpitalowi pozostawało jedynie zająć się załatwieniem kremacji.

Ale pasek wciąż był biały i w Bironie coś aż krzyczało z radości.

Zatem promieniowanie nadal nie było zbyt silne. Czyżby miał to być także element dowcipu? Biron zastanowił się i stwierdził, że nie. Nikt nie zrobiłby czegoś takiego innemu człowiekowi. W każdym razie nie tu, na Ziemi, gdzie pokątny handel materiałami radioaktywnymi uważano za najcięższe przestępstwo. Tutaj, na Ziemi, traktowano radioaktywność bardzo poważnie. Z konieczności. Nikt bez bardzo ważnej przyczyny nie posunąłby się do czegoś takiego.

Starał się chłodno rozważyć zaistniałe okoliczności. Bardzo ważne przyczyny — na przykład chęć morderstwa. Ale dlaczego? Nie było motywów. W swoim dwudziestotrzyletnirn życiu nigdy nie miał poważnych wrogów. Aż tak poważnych. Śmiertelnych wrogów.

Złapał się za krótko ostrzyżone włosy. Śmieszny tok rozumowania, ale nie do podważenia. Ostrożnie podszedł do szafy. Gdzieś tutaj musi znajdować się coś, co wysyła promieniowanie; coś, czego nie było jeszcze cztery godziny temu. I wreszcie to zobaczył.

Małe pudełko o bokach nie dłuższych niż piętnaście centymetrów. Biron rozpoznał je i dolna warga lekko mu drgnęła. Nigdy wcześniej nie widział niczego takiego, ale słyszał o podobnych urządzeniach. Wziął licznik i zaniósł go do sypialni. Cichy szmer zamarł, prawie zamilkł. Odezwał się ponownie, gdy cienka płytka i miki, przez którą przenikało promieniowanie, została skierowana na pudełko. Nie miał już wątpliwości. To była bomba radiacyjna. Obecny poziom promieniowania nie był śmiertelny; na razie to tylko zapalnik. Gdzieś

wewnątrz zainstalowany był mały ładunek jądrowy. Sztuczne izotopy o krótkim czasie rozpadu powoli go rozgrzewały. Promieniowanie przenikliwe kumulowało się; kiedy temperatura i zagęszczenia cząsteczek przekroczą wartość graniczną, nastąpi reakcja. Nie wybuch, chociaż wydzielone w czasie reakcji ciepło może zmienić bombę w bryłkę stopionego metalu, ale olbrzymi wyrzut promieniowania, który będzie w stanie zabić każdą żywą istotę w zasięgu dwóch metrów do dwudziestu kilometrów, zależnie od mocy ładunku.

Nie było sposobu, żeby stwierdzić, kiedy to może nastąpić. Równie dobrze za kilka godzin, jak i za chwilę. Biron uświadomił sobie to wszystko stojąc bezradnie z latarką w bezwładnie opuszczonej ręce Pół godziny temu, kiedy obudził go wizjofon, chciał tylko spokoju. Teraz wiedział, że umrze.

Nie chciał umierać, ale został uwięziony i nie miał gdzie się schronić.

Znał rozkład pokoi. Jego znajdował się na końcu korytarza, w związku z czym sąsiadował tylko z jednym i oczywiście z sypialniami na górze i na dole. Nic nie mógł zrobić z pokojem nad sobą. Sąsiedni położony był po stronie łazienki i przylegał swoją łazienką do jego. Wątpił, czy sąsiad może go usłyszeć.

Zostało więc pomieszczenie poniżej.

W pokoju znajdowało się kilka składanych krzeseł, na wypadek gdyby przyszli goście. Wziął jedno. Kiedy uderzył nim o podłogę, rozległ się głuchy dźwięk. Odwrócił je kantem i hałas stał się donośniejszy.

Po każdym uderzeniu czekał, zastanawiając się, czy obudzi śpiącego poniżej i sprowokuje go do złożenia mu wizyty z awanturą.

Nagle usłyszał słaby odgłos. Zamarł z krzesłem uniesionym nad głową. Dźwięk powtórzył się, brzmiał jak słaby krzyk. Dobiegał od strony drzwi.

Rzucił krzesło i wrzasnął w odpowiedzi. Przyłożył ucho do ściany, w miejscu gdzie łączyła się z drzwiami, ale izolacja była bardzo dobra i ledwie rozróżniał dźwięki.

Jednak usłyszał wykrzykiwane własne nazwisko.

— Farrill! Farrill! — a potem jeszcze coś. Być może: „Jesteś tam?” lub „Wszystko w porządku?”

— Otwórzcie drzwi! — krzyknął kilkakrotnie. Drżał z niecierpliwości. Bomba mogła eksplodować w każdej chwili.

Wydało mu się, że go usłyszeli. W końcu dobiegł go przytłumiony głos: „Uważaj!” Coś tam, coś tam… „blaster”. Domyślił się, o co im chodzi, i szybko odsunął się od drzwi.

Rozległo się kilka ostrych trzasków i poczuł drżenie powietrza w pokoju. Potem dobiegł go głos rozdzieranego metalu i drzwi wpadły do środka. Z korytarza przeniknęło światło.

Biron wybiegł na zewnątrz z szeroko rozłożonymi ramionami.

— Nie wchodźcie! — krzyknął. — Na miłość Ziemi, nie wchodźcie! Tu jest bomba radiacyjna.

Zobaczył dwóch mężczyzn. Jeden to był Jonti. W drugim, częściowo tylko ubranym, rozpoznał Esbaka, kierownika hotelu.

— Bomba radiacyjna? — wyjąkał kierownik. A Jonti spytał:

— Jakiej wielkości?

Blaster, wciąż tkwiący w jego rękach, kontrastował z eleganckim nawet o tej porze nocy strojem.

Biron mógł tylko pokazać rękami przybliżony rozmiar.

— W porządku — powiedział Jonti. Wyglądał na spokojnego, kiedy zwracał się do swego towarzysza. — Lepiej ewakuujcie pokoje w tym sektorze. A jeśli macie gdzieś na terenie uniwersytetu arkusze blachy ołowianej, wyłóżcie nimi korytarz. I nie wpuszczałbym tutaj nikogo przed rankiem.

Zwrócił się do Birona.

— Prawdopodobnie ma zasięg rażenia cztery do sześciu metrów. Jak się tu znalazła?

— Nie wiem — odpowiedział Biron. Podrapał się w głowę. — Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym gdzieś usiąść.

Spojrzał na rękę i zorientował się, że jego zegarek został w pokoju. Odczuł nieodpartą ochotę, aby po niego wrócić. Trwała ewakuacja. Studenci pospiesznie opuszczali pokoje.

— Chodź — powiedział Jonti. — Myślę, że rzeczywiście powinieneś usiąść.

— Co cię sprowadziło do mojego pokoju? — spytał Biron. — Nie żebym nie był wdzięczny, rozumiesz.

— Dzwoniłem do ciebie. Nie było odpowiedzi, a ja musiałem się z tobą zobaczyć.

— Zobaczyć się ze mną? — Mówił powoli, starając się uspokoić nieregularny oddech. — Dlaczego?

— Żeby cię ostrzec. Twoje życie jest w niebezpieczeństwie.

— Już to wiem — roześmiał się Biron chrapliwie.

— To był tylko wstęp. Znowu spróbują.

— Kim oni są?

— Nie tutaj, Farrill — powiedział Jonti. — Potrzebujemy spokojnego miejsca. Jesteś wystawiony i być może ja też narażam się na strzał.

2. Kosmiczna sieć

Studencka świetlica była pusta i ciemna. Zresztą o czwartej trzydzieści rano trudno oczekiwać czegoś innego. Jednak Jonti przez chwilę zawahał się, trzymając otwarte drzwi i nasłuchując, czy wewnątrz na pewno nie ma nikogo.

— Nie — powiedział cicho. — Nie zapalaj światła. Nie potrzebujemy go do rozmowy.

— Jak na jedną noc mam dość ciemności — zaoponował Biron.

— Zostawimy uchylone drzwi.

Biron nie znalazł kontrargumentu. Opadł na najbliższe krzesło i patrzył, jak prostokąt światła wpadającego przez szczelinę zamykających się drzwi zmienia się w wąską linię. Teraz, gdy było już po wszystkim, zaczęły wstrząsać nim dreszcze.

Jonti przytrzymał drzwi i oparł o nie swoją elegancką laskę stawiając ją w plamie padającego światła.

— Spójrz tutaj. Jeśli ktoś będzie podchodził albo drzwi się poruszą, zauważymy to natychmiast.

— Proszę. Nie jestem w nastroju do konspiracji — mruknął Biron. — Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałbym, żebyś powiedział wszystko, co masz do powiedzenia. Uratowałeś mi życie i jutro będę w stanie ci podziękować. Teraz jednak chciałbym się czegoś napić i odpocząć.

— Wiem, co czujesz. Ale przed chwilą udało ci się właśnie uniknąć zbyt długiego wypoczynku. Wolałbym, żeby nie było to jedynie na chwile. Czy wiesz, że znałem twojego ojca?

Zaskoczony pytaniem Biron uniósł brwi. co było jednak zupełnie niewidoczne.

— Nigdy mi wspominał, że cię zna.

— Byłbym bardzo zdziwiony, gdyby to zrobił. Nie znal mnie pod nazwiskiem, którego teraz używam. A tak przy okazji, czy miałeś ostatnio od ojca jakieś wiadomości?

— Dlaczego pytasz?

— Ponieważ jest w wielkim niebezpieczeństwie.

— Co?

Ręka Jomiego odnalazła w mroku ramię Birona i uścisnęła je delikatnie.

— Proszę — nie podnoś głosu. Biron po raz pierwszy uświadomił sobie, te cały czas mówili szeptem.

— Będę wyrażał się jaśniej — ciągnął Jonti. — Twój ojciec został uwięziony. Rozumiesz, co to oznacza?

— Nie, nic nie rozumiem Kto go uwięził? Do czego zmierzasz? I dlaczego mnie dręczysz? tętniło mu w głowie. Wpływ hypnitu i

niedawna bliskość śmierci sprawiły, ze Biron nie był zdolny do szermierki słownej ze spokojnym dandysem, który siedział tu tak blisko, że jego szepty brzmiały niczym krzyk.

— Z pewnością masz jakieś wyobrażenie o pracy swojego ojca — doleciał go szept.

— Jeśli go znasz, wiesz zapewne, że jest rządcą Widemos. To jest jego praca.

— W porządku, nie ma żadnych powodów, żebyś mi zaufał, poza tym że naraziłem dla ciebie swoje życie. Ale i tak wiem wszystko, co mógłbyś mi powiedzieć. Na przykład, że twój ojciec spiskował przeciwko Tyrannejczykom.

— Zaprzeczam temu — oznajmił gwałtownie Biron. — Dzisiejszej nocy wyrządziłeś mi przysługę, ale to nie upoważnia cię do formułowania podobnych insynuacji.

— Młody człowieku, głupio się wykręcasz i marnujesz mój czas. Czy nie widzisz, że sytuacja jest zbyt poważna na słowne potyczki? Powiem ci prawdę. Twój ojciec jest w niewoli u Tyrannejczyków. Być może, już nie żyje.

— Nie wierzę ci. — Biron zerwał się z krzesła.

— Mam uzasadnione powody, żeby tak sądzić.

— Skończmy z tym, Jonti. Nie jestem w nastroju do tajemnic, a twoje oburzające próby. aby…

— Aby co? — z głosu Jontiego zniknęły wszystkie łagodne tony — Co niby zyskam, mówiąc ci te rzeczy? Mam ci przypomnieć, że ta właśnie wiedza, która tak cię wzburzyła, pozwoliła mi przewidzieć zamach na twoje życie? Rozważ wszystko, co się stało, Farrill.

— Zacznij od początku, tylko mów jaśniej. Posłucham.

— W porządku. Wyobrażam sobie, Farrill, że rozpoznałeś we mnie rodaka z Królestw Mgławicy, chociaż przedstawiam się jako Wegańczyk.

— Owszem, podejrzewałem to, ze względu na twój akcent. Nie sądziłem jednak, że to ważne.

— Bardzo ważne, przyjacielu. Przyjechałem tutaj, bo — tak jak twój ojciec — nie lubię Tyrannejczyków. Gnębią naszych rodaków od pięćdziesięciu lat. To bardzo długo.

— Nie zajmuję się polityką.

W głosie Jontiego znowu zabrzmiała irytacja.

— Och, nie jestem ich agentem, który usiłuje wciągnąć cię w kłopoty. Powiedziałem ci prawdę. Schwytali mnie rok temu, tak jak teraz pojmali twojego ojca. Ale udało mi się uciec i przyjechać na Ziemię. Sądziłem, że tutaj zdołam ukryć się bezpiecznie, dopóki nie będę gotowy do powrotu. To wszystko, co musisz o mnie wiedzieć.

— To więcej, niż oczekiwałem, proszę pana.

Biron bezskutecznie usiłował wyzbyć się nieprzyjaznego tonu.

Wystudiowane zachowanie Jontiego drażniło go do głębi.

— Wiem. Ale musiałem powiedzieć ci co najmniej tyle, w tych bowiem okolicznościach poznałem twojego ojca. Pracował ze mną, a raczej dla mnie. Znał mnie, ale nie z racji swojej oficjalnej pozycji najznamienitszego obywatela planety Nefelos. Rozumiesz?

— Tak — Biron bezsensownie skinął głową w ciemnościach.

— Nie ma potrzeby zagłębiać się w ten temat. Mam kontakty także i tutaj, stąd wiem, że został uwięziony. To pewne. Nawet gdybym miał wątpliwości, dzisiejszy zamach na twoje życie z pewnością by je rozwiał.

— Dlaczego?

— Skoro Tyrannejczycy mają ojca, czy zostawiliby w spokoju syna?

— Więc to Tyrannejczycy podłożyli bombę radiacyjną w moim Pokoju? To niemożliwe.

— Dlaczego? Nie rozumiesz ich postępowania? Rządzą pięćdziesięcioma światami, lecz poddani stokrotnie przewyższają ich liczebnie. W takiej sytuacji zwykła przemoc nie wystarczy. Ich specjalnością są spiski, morderstwa i inne pokrętne działania. Kosmiczna sieć intryg, którą stworzyli, jest ogromna i bardzo gęsta. Bez trudu mogę uwierzyć, że sięga na odległość nawet pięciuset lat świetlnych, aż do Ziemi.

Biron wciąż tkwił w swoim koszmarze. Z daleka dobiegały przytłumione stukoty towarzyszące układaniu ołowianych płyt. W jego pokoju licznik zapewne wciąż pracował jak szalony.

— To nie ma sensu. W tym tygodniu wracam na Nefelos. Muszą o tym wiedzieć. Dlaczego mieliby zabijać mnie tutaj? Gdyby poczekali, z pewnością wpadłbym im w ręce. — Odetchnął z ulgą. Podobny błąd logiczny z pewnością podważa argumenty Jontiego, pomyślał, starając się uwierzyć we własne rozumowanie.

Jonti przysunął się bliżej i jego oddech wzburzył włosy na skroni Birona.

— Twój ojciec jest popularny. Jego śmierć — a odkąd został uwięziony przez Tyrannejczyków, należy liczyć się z możliwością egzekucji — poruszyłaby nawet pokornych niewolników, których usiłują wychować Tyrannejczycy. Jako nowy rządca mógłbyś podsycać te nastroje, a stracenie ciebie podwoiłoby niebezpieczeństwo. Tworzenie męczenników nie leży w ich zamiarach. Ale gdybyś zginął w nieszczęśliwym wypadku, gdzieś na odległej planecie… o, to byłoby dla nich bardzo wygodne.

— Nie wierzę ci — powiedział Biron. To była jego cała obrona. Jonti wstał, poprawiając swe cienkie rękawiczki.

— Posuwasz się za daleko, Farrill. Twoja rola byłaby bardziej przekonywająca, gdybyś przestał okazywać kompletną ignorancję.

Domyślam się, że ojciec chronił cię dla twojego własnego dobra, ale ufam, że jego poglądy pozostawiły w tobie jakiś ślad. Nic nie możesz na to poradzić. Twoja nienawiść do Tyrannejczyków stanowi odbicie jego uczuć. Jesteś gotów do walki z nimi.

Być może, ojciec uznał cię za dość dorosłego, by cię wykorzystać. Umieścił cię tutaj, na Ziemi, i wcale niewykluczone, że z twoją edukacją wiąże się jakieś zadanie. Zadanie tak ważne, że Tyrannejczycy są gotowi cię zabić tylko dlatego, aby uniemożliwić jego wykonanie — dodał Jonti.

— To głupi melodramat.

— Tak myślisz? Niech i tak będzie. Jeśli prawda cię w tej chwili nie przekonuje, może przekonają cię później fakty. Będą następne zamachy na twoje życie, i w końcu któryś się powiedzie. Od tej chwili, Farrill, jesteś martwy.

Biron uniósł wzrok.

— Zaczekaj! Jaki masz w tym interes?

— Jestem patriotą. Chciałbym znowu ujrzeć wolne Królestwa, rządzone przez własnych władców.

— Nie. Twój osobisty interes. Nie przekonuje mnie sam idealizm, bo nie wierzę, żebyś ty się wyłącznie nim kierował. Przepraszam, jeśli cię uraziłem — w słowach Birona zabrzmiał ton zawziętości.

Jonti ponownie usiadł.

— Moje posiadłości zostały skonfiskowane. Zresztą zanim zostałem wygnany, przyjmowanie rozkazów od tych karłów nie należało do przyjemności. Od tamtej pory moim dążeniem jest stać się takim człowiekiem, jakim był mój dziad — zanim przybyli Tyrannejczycy. Czyż to niewystarczający powód, aby wzniecić rewolucję? Twój ojciec miał być przywódcą tej rewolucji. Zajmij jego miejsce!

— Ja? Ja mam dwadzieścia trzy lata i nic o tym nie wiem. Z łatwością mógłbyś znaleźć wielu lepszych ode mnie.

— Bez wątpienia, ale nikt nie jest synem twojego ojca. Jeśli go zamordują, ty zostaniesz rządcą Widemos, a wówczas będziesz dla mnie cenny nawet jako niedorozwinięty dwunastolatek. Jesteś mi potrzebny z tych samych powodów, dla których Tyrannejczycy muszą cię wyeliminować. I jeśli moje argumenty cię nie przekonają, z pewnością dokona tego siła tyrannejskiej perswazji. W twoim pokoju była bomba. Niewątpliwie miała cię zabić. Komu innemu mogłoby zależeć na twojej śmierci?

— Nikomu — odparł Biron. — Nikomu, kogo bym znał. Czyli ta opowieść o moim ojcu również musi być prawdą!

— To jest prawda. Pomyśl, że zginął na polu walki.

— Myślisz, że dzięki temu poczuję się lepiej? Może kiedyś postawią mu pomnik? Taki ze świecącym napisem widocznym z

kosmosu — w jego głosie zabrzmiała wściekłość. — Sądzisz, że to mnie uszczęśliwi?

Jonti odczekał chwilę, ale Biron nie powiedział już nic więcej.

— Co zamierzasz robić? — spytał w końcu.

— Wracam do domu.

— Wciąż nie rozumiesz swojej sytuacji.

— Powiedziałem, że jadę do domu. Czego po mnie oczekujesz? Jeśli żyje, wyciągnę go stamtąd. A jeśli nie żyje, ja… ja…

— Zamilcz! — w głosie starszego mężczyzny dźwięczała irytacja. — Zachowujesz się jak dziecko. Nie możesz jechać na Nefelos. Nie rozumiesz tego? Czy mówię do dziecka, czy do człowieka obdarzonego choćby minimum zdrowego rozsądku?

— Co proponujesz? — wymamrotał Biron.

— Znasz suwerena Rhodii?

— Przyjaciela Tyrannejczyków? Słyszałem o nim. Wiem, kim jest. Każdy w Królestwach to wie. Hinrik V, suweren Rhodii.

— Widziałeś go kiedyś?

— Nie.

— Tak myślałem. Jeśli go nie widziałeś, nie znasz go. On jest kretynem, Farrill. Dosłownie. Ale kiedy Tyrannejczycy skonfiskują włości rządcy Widemos, tak jak to kiedyś zrobili z moimi otrzyma je Hinrik. Wtedy będą uważali je za bezpieczne. I tam właśnie musisz jechać.

— Dlaczego?

— Ponieważ Hinrik ma jednak pewne wpływy wśród Tyrannejczyków, choć nie są one zbyt wielkie, jak przystało i stuprocentową marionetkę. Może jednak przekonać ich, aby c uznali.

— Nie rozumiem dlaczego. Bardziej mu będzie zależało na wydaniu mnie w ich ręce.

— Tak. Ale będziesz się miał na baczności i istnieje spora szansa, że uda ci się tego uniknąć. Pamiętaj, twój tytuł jest znany i ogólnie szanowany, ale to nie wystarczy. W konspiracji należy przede wszystkim mieć na uwadze względy praktyczne. Ludzie zbiorą się wokół ciebie ze względu na sentyment i szacunek dla twojego nazwiska, ale żeby utrzymać ich przy sobie, będziesz potrzebował pieniędzy.

Biron zastanowił się.

— Muszę się namyślić.

— Nie masz czasu. Twój czas skończył się, w chwili gdy w pokoju została umieszczona bomba. Musimy zacząć działać. Mogę dać ci list polecający do Hinrika z Rhodii.

— Znasz go aż tak dobrze?

— Zawsze podejrzliwy, co? Kiedyś stałem na czele misji wysłanej na dwór Hinrika przez autarchę Lingane. Jego kretyńska pamięć

pewnie mnie nie zarejestrowała, ale nie da po sobie poznać, że zapomniał. To ci posłuży za bilet wstępu, dalej będziesz musiał improwizować. Przygotuję ci list na rano. W południe odlatuje statek na Rhodię. Ja też wyjeżdżam, ale inną drogą. Nie zwlekaj. Chyba nic cię już tutaj nie trzyma?

— Zostało jeszcze wręczenie dyplomów.

— Kawałek papieru. Ma dla ciebie aż takie znaczenie?

— Teraz już nie.

— Masz pieniądze?

— Wystarczy.

— Bardzo dobrze. Za dużo mogłoby wzbudzić podejrzenia. Jonti dodał ostro. — Farrill! Biron otrząsnął się z zamyślenia.

— Co?

— Wracaj do swoich. Nic nie mów, że wyjeżdżasz. Pozwólmy mówić czynom.

Biron w milczeniu skinął głową. Gdzieś w zakamarkach pamięci kołatała myśl, że nie wypełnił swojej misji i także w ten sposób zawiódł swojego umierającego ojca. Poczuł gorycz. Mogli powiedzieć mu więcej. Dzieliłby ich niebezpieczny los. Dlaczego pozwolili mu działać w nieświadomości?

A teraz, kiedy poznał prawdę — a przynajmniej znaczna jej cześć — o roli ojca w konspiracji, dokument, który miał wydostać z ziemskich archiwów, nabrał dodatkowego znaczenia. Lecz jego czas już się skończył. Nie zdąży zdobyć dokumentu. Nie ma czasu na rozmyślania. Na ratowanie ojca. Być może, nie pozostało mu już zbyt wiele czasu na życie.

— Zrobię tak, jak mi powiedziałeś.

Sander Jonti przystanął na chwilę na schodach akademika i rozejrzał się szybko po terenie uniwersytetu. W jego spojrzeniu nie było podziwu.

Kiedy szedł brukowaną ścieżką wijąca się po campusie. utrzymanym w stylu rustykalnym, jak wszystkie campusy uniwersyteckie od czasów starożytnych, widział światła jedynej liczącej się ulicy miasta. Za nimi, przytłumiony światłem poranka, ale jeszcze widoczny, połyskiwał błękitem radioaktywny horyzont. niemy świadek prehistorycznych wojen.

Jonti zapatrzył się przez chwilę w niebo. Minęło już ponad pięćdziesiąt lat, odkąd przybyli Tyrannejczycy i nagle położyli kres istnieniu dwóch tuzinów podupadających i rozkrzyczanych jednostek politycznych w głębi Mgławicy. Teraz, nieoczekiwanie i przedwcześnie, na ich gardłach zacisnęła się dławiąca ręka Pokoju.

Burza, jaka dosięgła ich w jednym potężnym uderzeniu. wywołała wstrząs, po którym wciąż nie mogli dojść do siebie. Pozostał jedynie tępy ból. Czasem jakieś królestwo protestowało nieśmiało.

Zorganizowanie owych protestów, połączenie ich w jeden potężny wybuch stanowi trudne zadanie i potrwa wiele lat. Cóż, i tak zbyt długo już oddawał się lenistwu na Ziemi. Pora wracać.

Odrobinę przyspieszył kroku.

Gdy wszedł do pokoju, natychmiast odebrał przekaz. To by promień osobisty i Jonti nie obawiał się, że ktoś inny może go podsłuchać. Niepotrzebny był żaden specjalny odbiornik, kawałek metalu ani drutu, aby złapać nikły strumień elektronów, niosący przez nadprzestrzeń wieści ze świata odległego o pięćset lat świetlnych.

Przestrzeń w jego pokoju została spolaryzowana i przygotowana do odbioru. Była wolna od zakłóceń. Nie istniał żaden sposób wykrycia tej polaryzacji z wyjątkiem odbioru wiadomości. A w tym szczególnym fragmencie przestrzeni tylko jego własny umysł mógł działać jako odbiornik. Jedynie jego osobiste pole magnetyczne reagowało na przekazujące informacji drgania.

Każda wiadomość była równie osobista, jak niepowtarzalny jest zapis fal mózgowych. W całym wszechświecie, z jego kwadrylionami ludzkich istot, prawdopodobieństwo natknięcia się na człowieka zdolnego do odbioru wezwania osobistego innej osoby było jak jeden do jedynki z dwudziestoma zerami.

Mózg Jontiego począł błyskawicznie tłumaczyć pozornie bezsensowne fale nadprzestrzenne.

— …wzywam… wzywam… wzywam… wzywam… Wysłanie wiadomości nie było już tak proste jak odbiór. Do wytworzenia wysoce specyficznych fal, które mogły nawiązać kontakt spoza Mgławicy, potrzebna jest specjalna aparatura Zamontowano ją w ozdobnym guziku, który Jonti nosił na prawym ramieniu. Gdy odbiorca znalazł się w spolaryzowanej przestrzeni, aparatura uruchamiała się automatycznie — musiał tylko pomyśleć i skoncentrować się.

— To ja! — nic więcej nie było potrzebne do identyfikacji. Monotonne powtórzenia sygnału wywoławczego umilkły i w jego go głowie rozbrzmiały słowa.

— Witamy. Widemos został stracony. Jak dotąd, informacja o egzekucji jest utrzymywana w tajemnicy przed opinią publiczną

— To mnie nie dziwi. Czy jeszcze ktoś został oskarżony?

— Nie, panie. Rządca nic nie zeznał. Dzielny i lojalny człowiek.

— Tak. Trzeba jednak czegoś więcej niż odwaga i lojalność, Najlepszy dowód, że został schwytany. Odrobina tchórzostwa może się czasem przydać. Zresztą to nieważne! Rozmawiałem z jego synem, nowym rządcą. Otarł się już o śmierć. Wykorzystamy go.

— Czy możemy wiedzieć, w jaki sposób?

— Lepiej, żeby pokazały to fakty. Na tak wczesnym etapie nie

mogę przewidzieć wszystkiego. Jutro rusza w podróż do Hinrika z Rhodii.

— Hinrik! Ten młody człowiek podejmuje ryzykowną grę.

Czy jest świadom, że…

— Powiedziałem mu tyle, ile mogłem — odparł szorstko Jonti. — Nie możemy mu zbytnio ufać, zanim się nie sprawdzi. W obecnej sytuacji należy traktować go jak zwykłego człowieka, takiego jak inni. Nie jest niezastąpiony. Nie wywołujcie mnie tu więcej, opuszczam Ziemię.

W ciszy i zadumie rozważał wypadki minionej doby. Powoli uśmiech rozjaśnił jego twarz. Wszystko zostało doskonale przygotowane, teraz dramat może rozwijać się sam.

Niczego nie pozostawiono przypadkowi.

3. Przypadek i zegarek

Pierwsza godzina lotu statku kosmicznego upłynęła zwyczajnie. Od kiedy pierwsza dłubanka zanurzyła się w nurcie rzeki, zamieszanie związane z wyjazdem jest zawsze takie samo.

Otrzymujesz swoje miejsce, oddajesz bagaże; nadchodzi pierwsza chwila obcości i bezsensownej krzątaniny. Ostatnie okrzyki pożegnania, zapadająca cisza, metaliczny odgłos zamykanych śluz i następujący po nim delikatny poświst po kiedy drzwi śluz przekręcają się wolno niczym ogromne śruby aż do osiągnięcia pełnej hermetyzacji.

Wreszcie wszechogarniająca cisza i czerwone sygnały rozbłyskujące w każdym pokoju: „Dopasować kombinezony antyprzyspieszeniowe… Dopasować kombinezony antyprzyspieszeniowe… Dopasować kombinezony antyprzyspieszeniowe".

Stewardowie porządkują korytarze, pukają do drzwi kabin i zaglądając do środka mówią:

— Proszę uprzejmie założyć kombinezon.

Walczysz z kombinezonem, zimnym, ciasnym, niewygodnym — ale wyposażonym w hydrauliczne systemy równoważące przeciążenia, niezbędne przy starcie.

W dali rozbrzmiewa odgłos silników nuklearnych, pracujących na małej mocy manewrowej, i towarzyszący mu syk oleju w uginających się hydraulicznych amortyzatorach kombinezonów. Odchylasz się do tyłu, a potem wraz ze spadkiem przeciążenia wracasz do pozycji wyjściowej. Jeśli w tym momencie przetrzymasz mdłości, prawdopodobnie uda ci się uniknąć choroby morskiej do końca podróży.

Przez pierwsze trzy godziny lotu sala widokowa była zamknięta dla pasażerów. Długa kolejka chętnych czekała, aż statek opuści atmosferę i otworzą się podwójne drzwi. Czekali nie tylko stuprocentowi planetarianie (ci, którzy nigdy jeszcze nie byli w kosmosie), ale także sporo bardziej bywałych podróżnych.

Obejrzenie Ziemi z przestrzeni kosmicznej było jednym z turystycznych „obowiązków".

Sala widokowa stanowiła pęcherz na „skórze" statku, bańkę z wygiętego, metrowej grubości plastiku o wytrzymałości stali. Ruchome osłony ze stali irydowej chroniły jego powłokę przed uszkodzeniami, gdy statek mknął przez atmosferę. Wygaszono światła i galeria była pełna ludzi. W blasku rzucanym przez Ziemię wyraźnie rysowały się spoglądające ponad osłonami twarze.

Patrzyli na zawieszoną nad nimi Ziemię, gigantyczny, lśniący pomarańczowo-niebiesko-białymi plamami balon. Widoczna półkula jaśniała w słonecznym blasku; kontynenty przysłonięte chmurami, pomarańczowe pustynie poprzecinane cienkimi liniami zieleni. Niebieskie morza ostro kontrastowały z otaczającą glob czernią kosmosu. W czystej czerni dookoła planety świeciły gwiazdy.

Obserwatorzy czekali cierpliwie.

Półkula dzienna nie była tą, na którą oczekiwali. Polarna czapa, oślepiająco jasna, przesunęła się ku dołowi. Statek, niezauważalnie przyspieszając, opuszczał płaszczyznę ekliptyki. Powoli wpełznął na planetę cień nocy i wielka wyspa Afryki i Eurazji majestatycznie zajęła miejsce na scenie, północną stroną „w dół".

Jej chore, martwe ziemie ukrywały swoją grozę pod nocnym płaszczem z klejnotów. Radioaktywne gleby lśniły opalizującym błękitem, w miejscach gdzie niegdyś spadły bomby atomowe ozdobionym girlandami rozbłysków. Działo się to o całe pokolenie wcześniej, nim wynaleziono pola siłowe, które chroniły przed wybuchami nuklearnymi, aby żaden inny świat nigdy już nie Popełnił samobójstwa w ten sposób.

Oczy spoglądały tak długo, aż po upływie wielu godzin Ziemia zmieniła się w jasną połówkę monety pośród nieskończonej czerni.

Wśród widzów był Biron Farrill. Pogrążony w zadumie siedział w pierwszym rzędzie, trzymając ręce na oparciach. Nie tak spodziewał się opuścić Ziemię. Nie w ten sposób, nie tym statkiem, nie w tym kierunku.

Opalonym przedramieniem potarł zarost na podbródku. Zrobiło mu się głupio, że nie ogolił się rano. Za chwilę wróci do kabiny i naprawi to zaniedbanie, ale teraz nie miał ochoty wychodzić. Tutaj byli ludzie. W kabinie byłby sam.

A może właśnie dlatego powinien wyjść?

Zdecydowanie nie odpowiadało mu to nowe, nie znane dotąd doświadczenie: czuć się ściganym i zostać bez przyjaciół.

Przyjaciół utracił, gdy niecałe dwadzieścia cztery godziny temu w jego pokoju zadźwięczał telefon.

Nawet w akademiku był w kłopotliwej sytuacji. Gdy tylko wrócił ze świetlicy po rozmowie z Jontim, rzucił się na niego stary Esbak.

— Szukałem pana, panie Farrill — zwrócił się do niego piskliwym ze wzburzenia głosem. — To naprawdę niefortunny incydent. Nie rozumiem, jak do tego doszło. Czy może mi pan to wyjaśnić?

— Nie — prawie krzyknął. — Nie mam pojęcia. Kiedy będę mógł wejść do pokoju i zabrać swoje rzeczy!

— Rano, z pewnością rano. Właśnie sprowadziliśmy sprzęt, żeby zbadać całe pomieszczenie. Poziom radioaktywności nie przekracza

już normy. Szczęśliwie zdołał pan uciec. Dosłownie w ostatniej chwili.

— Tak, tak, ale, jeśli pan pozwoli, chciałbym teraz odpocząć.

— Proszę skorzystać z mojego pokoju. Rano przeniesiemy pana na te kilka dni, które pan u nas spędzi. Aha, panie Farrill, za pozwoleniem, jest jeszcze jedna sprawa — dodał z przesadną grzecznością.

— Jaka sprawa? — spytał Biron zmęczonym głosem.

— Czy zna pan kogoś, komu zależałoby na, hmm, pozbyciu się pana?

— W taki sposób? Oczywiście, że nie.

— Co pan zamierza? Władze uczelni wolałyby, rzecz jasna, uniknąć podawania do wiadomości publicznej tego wypadku.

Uparcie nazywał to „wypadkiem”! Biron powiedział sucho:

— Rozumiem pana. Ale proszę się nie denerwować. Nie zamierzam wzywać policji ani wszczynać śledztwa. Wkrótce opuszczam Ziemię i nie chciałbym, aby ta sprawa wpłynęła na moje plany. Nie wnoszę żadnej skargi. W końcu przecież żyję.

Esbak okazywał niestosowne w tej sytuacji zadowolenie. To było wszystko, czego pragnął. Żadnych nieprzyjemności. Po prostu wypadek, o którym należy zapomnieć.

Biron wszedł do swojego pokoju około siódmej rano. Panowała cisza, w szafie nic nie szumiało. Nie było już bomby ani licznika. Prawdopodobnie Esbak wziął go i cisnął do jeziora. Podpadało to pod niszczenie dowodów, ale to problem szkoły. Wrzucił swój dobytek do walizek i zadzwonił do recepcji w sprawie nowego pokoju. Zauważył, że światła już działają, podobnie jak wizjofon. Jedynym śladem ostatniej nocy były wyłamane drzwi ze stopionym zanikiem.

Dali mu inny pokój. Stanowiło to kolejny dowód, że zamierza zostać jeszcze kilka dni — jeśli komuś w ogóle zależało, by to sprawdzać. Potem, z aparatu w korytarzu, Biron wezwał taksówkę powietrzną. Nie przypuszczał, żeby ktoś go widział. Niech w szkole głowią się nad zagadką jego zniknięcia tak długo, jak będą chcieli.

W kosmoporcie mignął mu przed oczami Jonti. Spotkali się niczym błyskawica. Jonti nic nie powiedział; nie dał po sobie poznać, że go zna, ale gdy go minął, w ręku Birona została niczym nie wyróżniająca się mała czarna kulka — kapsuła osobista — oraz bilet na Rhodię.

Przez chwilę zajął się kapsułą. Nie była zapieczętowana. Później, już w kabinie, przeczytał wiadomość. Był to zwykły list polecający, napisany przy użyciu minimalnej liczby słów.

Myśli Birona, kiedy tak siedział w sali widokowej i przyglądał się malejącej Ziemi, krążyły wokół osoby Sandera Jontiego. Znał go ledwie z widzenia, póki Jonti nie wtargnął gwałtownie w jego życie, najpierw mu je ratując, a potem kierując na nowe i niespodziewane

tory. Biron pamiętał jego nazwisko; wymieniali ukłony, czasami kilka uprzejmych słów, ale to wszystko. Nie lubił go, nie podobał mu się jego chłód, wymuskany strój i zawsze nienaganne maniery. Wszystko to jednak nie miało nic wspólnego z obecnymi wydarzeniami.

Biron nerwowym gestem potarł krótko ostrzyżone włosy 1 westchnął. Pragnął obecności Jontiego. Ten człowiek przynajmniej panował nad sytuacją. Wiedział, o robić, wiedział, jak Powinien postąpić Biron, i potrafił zmusić go do tego. A teraz Biron był sam i czuł się bardzo młody, bezradny, pozbawiony Przyjaciół i prawie przestraszony.

Cały czas uporczywie unikał myślenia o ojcu. To jeszcze pogorszyłoby sprawę.

Panie Malaine.

Nazwisko zostało powtórzone dwa czy trzy razy, zanim Biron zareagował na delikatne dotknięcie czyjejś ręki i uniósł wzrok.

Robot powtórzył:

— Panie Malaine.

Biron przez pięć sekund patrzył bezmyślnie, zanim uświadomi sobie, że jest to jego nowe nazwisko. Zostało zapisane ołówkiem na bilecie, który otrzymał od Jontiego. Kabina była zarezerwowana na to właśnie nazwisko.

— Tak. O co chodzi? Jestem Malaine.

Głos z taśmy, w miarę odwijania się szpuli, przekazywał wiadomość:

— Polecono mi poinformować pana, że otrzymał pan inną kabinę i pański bagaż jest już przeniesiony. Ochmistrz da panu nowy klucz. Mamy nadzieję, że nie przysporzy to panu zbytnich niedogodności.

— O co tu chodzi? — Biron odwrócił się w swoim fotelu i kilku pasażerów, wciąż jeszcze oglądających panoramę, popatrzyło w ich stronę. — Co to za pomysł?

Oczywiście kłótnia z maszyną nie miała sensu. Robot po prostu spełniał wydane mu polecenia. Teraz skłonił z szacunkiem swoją metalową głowę, widoczna na jego twarzy imitacja ludzkiego uśmiechu nie zmieniła się ani na jotę, i oddalił się.

Biron wyszedł z sali widokowej i zaczepił stojącego przy drzwiach stewarda, nieco ostrzej, niż zamierzał.

— Słuchaj, chcę się widzieć z kapitanem. Ten nie okazał zaskoczenia.

— Czy to ważne, proszę pana?

— Na przestrzeń, tak. Bez mojej zgody zamieniono mi kabinę na inną i chciałbym wiedzieć, co to ma znaczyć.

Nawet w tej chwili Biron czuł, że jego gniew jest niewspółmierny do przyczyny, ale odzwierciedlał całe napięcie ostatnich dni. Ledwo

uszedł śmierci; został zmuszony do opuszczenia Ziemi jak ukrywający się kryminalista; jechał nie wiadomo dokąd, nie miał pojęcia, co robić, a teraz jeszcze zmuszają go do włóczęgi po pokładzie. Tego już było za wiele.

Poza tym miał nieznośne uczucie, że Jonti w jego sytuacji postąpiłby inaczej, prawdopodobnie bardziej rozważnie. No cóż, nie jest Jontim.

— Poproszę ochmistrza — oznajmił steward.

— Chcę rozmawiać z kapitanem.

— Skoro pan nalega. — Po krótkiej rozmowie przez mały komunikator pokładowy, zwisający z jego piersi, steward powiedział uprzejmie: — Proszę zaczekać. Za chwilę zostanie pan poproszony.

Kapitan Hirm Gordell był dość niskim i krępym mężczyzną. Na widok wchodzącego do gabinetu Birona uprzejmie podniósł się z krzesła i uścisnął rękę gościa.

— Bardzo mi przykro, że sprawiliśmy panu kłopot, panie Malaine.

Miał prostokątną twarz, stalowoszare włosy, krótkie, dobrze utrzymane wąsy w nieco ciemniejszym odcieniu i przylepiony do warg uśmiech.

— Mnie także — odpowiedział Biron. — Miałem zarezerwowaną kabinę, do której już się wprowadziłem i sądzę, że nikt, nawet pan, nie ma prawa przenosić mnie bez mojej zgody.

— Słusznie, panie Malaine. Ale proszę zrozumieć, to była wyższa konieczność. Przybyły w ostatniej chwili przed startem pasażer, ważna osobistość, nalegał, aby go przenieść do kabiny położonej bliżej centrum grawitacyjnego statku. Ma kłopoty z sercem i dlatego powinien przebywać w strefie jak najniższej grawitacji. Nie mieliśmy wyboru.

— No dobrze, ale dlaczego wybraliście akurat mnie?

— Kogoś musieliśmy przenieść. Pan podróżuje samotnie; jest pan młody i nieco wyższa grawitacja nie powinna być dla pana uciążliwa. — Kapitan odruchowo taksował wzrokiem muskularną sylwetkę Birona. — Poza tym przekona się pan, że nowa kabina jest bardziej luksusowa. Z pewnością nic pan nie stracił na tej zamianie.

Kapitan wyszedł zza biurka.

— Czy mogę osobiście pokazać panu nowy pokój?

Biron stwierdził, że trudno mu zapanować nad swoimi uczuciami. Cała sprawa wyglądała zupełnie racjonalnie, z drugiej zaś strony wydaje się, że nie ma za grosz sensu.

Kiedy wychodzili, kapitan spytał:

— Czy mogę zaprosić pana do mojego stołu na jutrzejszą kolację? Na tę porę wypada nasz pierwszy skok.

Biron usłyszał swoją odpowiedź:

— Dziękuję panu. To dla mnie zaszczyt.

Uznał jednak to zaproszenie za dziwne. Zgoda, kapitan starał się załagodzić sytuację, Biron uważał jednak, iż zastosowane środki znacznie wykraczały poza konieczność.

Kapitański stół był bardzo długi. Biron nieoczekiwanie znalazł się blisko środka, między najznakomitszymi gośćmi. Przed nakryciem leżał bilet wizytowy z jego nazwiskiem, nie było więc mowy o pomyłce. Steward zresztą potwierdził to uprzejmie, acz stanowczo.

Biron nie należał do przesadnie skromnych. Jako syn rządcy Widemos, nigdy nie musiał rozwijać tej cechy charakteru. Ale jako Biron Malaine był zupełnie zwyczajnym obywatelem, a zwyczajnym ludziom nie przytrafiają się podobne rzeczy.

Po pierwsze, kapitan miał całkowitą rację co do jego nowej kabiny. Niewątpliwie była bardziej luksusowa. Pierwsza dokładnie odpowiadała rezerwacji: pojedyncza, drugiej klasy, teraz dostał podwójną, pierwszej. Nowa kabina miała też oddzielną łazienkę, z prysznicem i powietrznym suszeniem.

Położona była w pobliżu „terytorium oficerskiego" i liczba mundurów w okolicy znacznie przewyższała średnią. Lunch podano mu w kabinie na srebrnej zastawie. Tuż przed kolacją nieoczekiwanie pojawił się fryzjer. Można spodziewać się takich rzeczy podróżując pierwszą klasą luksusowego liniowca, ale dla Birona Malaine'a było tego zbyt wiele.

Stanowczo zbyt wiele. Kiedy przyszedł fryzjer, Biron właśnie wrócił z popołudniowej przechadzki, która wiodła go korytarzami statku w chytrze opracowanej trasie. Wszędzie po drodze spotykał personel — uprzejmy i nadskakujący. Pozbył się ich i odnalazł kabinę 140 D, tę pierwszą, w której nigdy nie nocował.

Zatrzymał się, żeby zapalić papierosa. Wykorzystał ten moment, aby widoczny w perspektywie korytarza pasażer skręcił za róg. Biron dotknął dzwonka, nikt jednak nie odpowiedział.

W porządku, nie zabrano mu jeszcze starego klucza. Bez wątpienia przez przeoczenie. Wsunął cienki podłużny kawałek metalu w otwór, a wtedy niepowtarzalny wzór drobin ołowiu w aluminiowej osłonie uruchomił małą fotokomórkę. Drzwi otworzyły się i Biron zrobił jeden krok do środka.

To mu wystarczyło. Wszedł i drzwi automatycznie zamknęły się za nim. Natychmiast zauważył, że jego stara kabina nie jest zajęta, ani przez ważnego osobnika chorego na serce, ani przez nikogo innego. Łóżko i inne sprzęty były we wzorowym porządku, żadnych bagaży ani drobiazgów w zasięgu wzroku, nawet atmosfera panująca w kabinie sugerowała opuszczenie.

A zatem luksusowe warunki, jakie mu stworzono. miały

powstrzymać jego dalsze działania w celu odzyskania pierwotnej kwatery. Dlaczego? Ktoś interesował się jego kabiną czy nim samym?

Teraz siedział przy kapitańskim stole, a pytania kłębiły mu się w głowie. Wraz z pozostałymi gośćmi wstał uprzejmie, gdy wszedł kapitan, wkroczył na stopnie podium, na którym stał długi stół, i zajął swoje miejsce.

Dlaczego go przeniesiono?

Na statku rozbrzmiewała muzyka, a ściany oddzielające salon od sali widokowej zostały rozsunięte. Przygaszone światła jarzyły się pomarańczowoczerwonym blaskiem. Większość pasażerów miała już za sobą najgorsze mdłości wywołane pierwszym etapem przyspieszania i różnicami w strefach grawitacji i salon był pełen. Kapitan wychylił się lekko i powiedział do Birona:

— Dobry wieczór, panie Malaine. Jak się panu podoba nowa kabina?

— Bardziej, niż mogłem oczekiwać. Trochę za luksusowa jak na mój styl życia — odparł beznamiętnie i wydało mu się, że po twarzy kapitana przemknął lekki grymas konsternacji.

Po deserze pokrywy sali widokowej odsunęły się na boki, a światła przygasły prawie całkowicie. Z wielkiego czarnego ekranu zniknęły już Słońce. Ziemia i inne planety. Mieli przed sobą Drogę Mleczną, rozległy widok na płaszczyznę Galaktyki, która tworzyła lśniący ukośny szlak wśród zimnych, błyszczących gwiazd.

Fala rozmów zamarła. Krzesła ustawiono przodem do gwiazd. Jadalnia zamieniła się w widownię, muzyka zamilkła w cichym westchnieniu.

W ciszy, która zapadła, dochodzący z głośników głos zabrzmiał czysto i dźwięcznie.

— Panie, panowie! Jesteśmy gotowi do naszego pierwszego skoku. Większość z państwa, jak przypuszczam, wie raczej teoretycznie, czym jest skok. Wielu z was, z reguły więcej niż Połowa, nigdy go nie doświadczyło. Dlatego chciałbym to państwu wyjaśnić.

Skok jest dokładnie tym, co wynika z jego nazwy. W kosmicznej czasoprzestrzeni niemożliwa jest podróż z prędkością większą niż szybkość światła. To prawo natury, odkryte przez jednego ze starożytnych, może legendarnego Einsteina, któremu zresztą tak różnych odkryć się przypisuje. Oczywiście przy prędkości światła trzeba wielu lat, żeby dotrzeć do gwiazd.

A żalem musimy opuścić naszą przestrzeń i wejść w mało znaną nadprzestrzeń, gdzie czas i odległość nie mają znaczenia. To jak przepłynąć przez wąski przesmyk z jednego oceanu na drugi, zamiast okrążać kontynent, aby pokonać tę samą odległość.

Żeby wejść w ten „kosmos w kosmosie”, jak go niektórzy

nazywają, potrzebne są oczywiście wielkie wydatki energii, ponowne zaś wyjście w normalną przestrzeń w odpowiednim miejscu wymaga wielu obliczeń. Wynikiem wydatkowanej energii i wiedzy jest pokonanie tych ogromnych odległości w zero czasie. To skok umożliwia podróże międzygwiezdne.

Skok. który mamy wykonać, nastąpi za dziesięć minut. Zostaną państwo uprzedzeni. Towarzyszy mu tylko chwilowa drobna niedogodność: mam zatem nadzieję, iż wszyscy państwo zachowacie spokój. Dziękuję.

Światła zgasły i pozostały tylko gwiazdy.

Wydawało się, że minęło dużo czasu, nim ciszę przerwał krótki komunikat:

— Skok rozpocznie się dokładnie za jedną minutę. Po chwili ten sam głos zaczął odliczać: — Pięćdziesiąt… czterdzieści… trzydzieści… dwadzieścia… dziesięć… pięć… trzy… dwa… jeden…

Przez ułamek sekundy wydawało się, jakby nastąpiła przerwa w istnieniu wszechświata, jak gdyby ten skok poruszył samo wnętrze ludzkich organizmów.

W tej niewyobrażalnie krótkiej chwili zostało pokonane sto lat świetlnych i statek, który znajdował się na obrzeżu Układu Słonecznego, nagle wychynął w samym środku międzygwiezdnej pustki.

Ktoś obok Birona krzyknął wstrząśnięty:

— Spójrzcie na gwiazdy!

Wszyscy pasażerowie westchnęli. Przez salon przebiegł szmer:

— Gwiazdy! Patrzcie!

W ułamku sekundy obraz gwiazd zmienił się gwałtownie. Centrum wielkiej Galaktyki, liczącej sobie trzydzieści tysięcy lal świetlnych średnicy, przybliżyło się i nagle gwiazdy rozmnożyły się. Rozsiane w czarnej aksamitnej pustce, przypominały pył, na którego błyszczącym tle silniej świeciły bliższe konstelacje.

Mimo woli Bironowi przypomniał się wiersz, który napisał w sentymentalnym wieku lat dziewiętnastu, kiedy odbywał swoją pierwszą podróż kosmiczna — na Ziemię, którą teraz opuszczał. Jego usta poruszały się bezgłośnie.

Gwiazdy jak pyl lśnią wokół mnie Żywą, złocistą mgłą. A przestrzeń drży w płomiennym śnie f wszechświat razem z nią.

Zapłonęły światła i myśli Birona opuściły kosmiczną pustkę tak szybko, jak wcześniej się w nią zagłębiły. Znowu był w salonie kosmicznego liniowca, przy dobiegającym końca obiedzie, otoczony rosnącym gwarem rozmów.

Rzucił okiem na zegarek, a po chwili przyjrzał mu się bardzo długo i uważnie. To był zegarek, który tamtej nocy zostawił w swoim pokoju; oparł się zabójczemu promieniowaniu bomby i Biron zabrał

go rano wraz z resztą swoich rzeczy. Ile już razy patrzył na niego od tamtej pory? Ile razy mu się przyglądał, sprawdzając czas, i nie zwracając uwagi na inną informację, która aż krzyczała do niego?

Przecież plastikowy pasek był biały, a nie błękitny. Biały!

Powoli wydarzenia tamtej nocy ułożyły mu się w jedną spójną całość. To dziwne, jak jeden fakt może wszystko uporządkować.

Gwałtownie wstał od stołu mrucząc „Przepraszam!”. Opuszczenie stołu przed kapitanem było naruszeniem etykiety, ale dla Birona nie miało to w tej chwili najmniejszego znaczenia.

Pospieszył do swojego pokoju. Wbiegał na schody, nie czekając na zerograwitacyjne windy. Zamknął za sobą drzwi i szybko przeszukał łazienkę i wbudowane w ścianę szafy. Nie liczył, że coś znajdzie. To, co zaplanowali, musieli zrobić wiele godzin temu.

Ostrożnie przejrzał bagaże. Odwalili kawał porządnej roboty.

Nie zostawiając śladów, zabrali jego dokumenty, listy od ojca i list polecający do Hinrika z Rhodii.

A więc to była przyczyna przenosin. Nie interesowała ich ani stara, ani nowa kabina tylko sam proces przeprowadzki. Godzinę mogli legalnie — na przestrzeń, legalnie! — przeglądać jego bagaże i zrobić z nimi, co chcieli.

Biron usiadł na podwójnym łóżku i myślał intensywnie, nic to Jednak nie dało. Pułapka była bezbłędna. Wszystko zostało zaplanowane. Gdyby nie całkowicie nieprzewidywalne, przypadkowe zrządzenie losu, przez które zostawił tamtej nocy w sypialni zegarek, nigdy by się nie domyślił, jak wielką siecią agentów dysponują Tyrannejczycy. U drzwi zadźwięczał dzwonek.

— Proszę.

Wszedł steward i powiedział uprzejmie:

— Kapitan pyta, czy może coś dla pana zrobić. Wstając od stołu wyglądał pan na chorego.

— Czuję się bardzo dobrze — odpowiedział Biron.

Ale go pilnują! Od tej chwili wiedział, że nie ma ucieczki i statek wiezie go luksusowo, ale pewnie, ku jego śmierci.

4. Wolny?

Bander Jonti chłodno spojrzał rozmówcy w oczy i powiedział:

— Powiadasz, że zniknął?

Rizzett przetarł zaczerwienioną twarz.

— Coś zniknęło. Nie wiem, co to jest. To może być dokument, którego szukamy. Wszystko, co o nim wiemy, to tylko tyle, że jego powstanie datuje się na okres między piętnastym, a dwudziestym pierwszym wiekiem prymitywnego ziemskiego kalendarza i że jest niebezpieczny.

— Czy istnieją jakieś racjonalne przesłanki, z których by wynikało, że to coś, co zaginęło, to właśnie ten dokument?

— Tylko analiza faktów. Rząd Ziemi strzegł go bardzo pilnie. — To jeszcze o niczym nie świadczy. Ziemianie traktują z najgłębszym szacunkiem wszystkie dokumenty dotyczące okresu Pregalaktycznego. To ta ich idiotyczna cześć dla tradycji.

— Ale ten został skradziony, a oni nigdy nie podali tego do wiadomości. Dlaczego pilnują pustego miejsca?

— Jak sądzę, nie chcą przyznać, że święty relikt ich przeszłości został skradziony. Nie wierzę jednak, by młodemu Farrillowi udało się go zdobyć. Myślałem, że go obserwowałeś.

Rizett uśmiechnął się.

— On go nie ma.

— Skąd wiesz?

Agent Jontiego wystrzelił swoją rewelacje.

— Ponieważ ten dokument zaginął dwadzieścia lat temu.

— Co takiego?

— Od dwudziestu lat nikt go nie widział.

— W takim razie to nie mógł być ten właściwy. Rządca dowiedział się o jego istnieniu dopiero sześć miesięcy temu.

— Widocznie ktoś wyprzedził go o dziewiętnaście i pół roku. Jonti zastanawiał się przez chwile.

— Zresztą to nie ma znaczenia. To nie może być nic ważnego.

— Dlaczego?

— Przebywam na Ziemi już od wielu miesięcy. Zanim przyjechałem, mogłem uwierzyć, że na tej planecie znajdziemy jakie cenne informacje. Ale pomyśl. Z militarnego punktu widzenia Ziemia, kiedy była jedyną zamieszkaną planetą w Galaktyce, nie zdołała wyjść poza dość prymitywne stadium rozwoju. Jedyni wartą wspomnienia bronią, jaką wymyślili Ziemianie, były proste, mało skuteczne bomby nuklearne, przed którymi nawet nie potrafili się obronić. — Łagodnym gestem wskazał błękitny horyzont, który w dali, za grubymi, betonowymi ścianami budynku, jarzył się niezdrową, radioaktywną

poświatą. — Już po krótkim pobycie tutaj zrozumiałem, że poszukujemy mitu — kontynuował Jonti. — To śmieszne. Nie można nauczyć się niczego od społeczeństwa na takim poziomie techniki wojennej Wiara, że istniały zaginione sztuki i zaginiona wiedza, zawsze była w modzie i zawsze znajdą się ludzie, którzy żywią kult dl prymitywizmu i śmieszne zachwyty wobec prehistorycznej ziemskiej cywilizacji!

— Rządca był wszak rozumnym człowiekiem — odparł Rizzett. — Powiedział nam przecież, że to najniebezpieczniejszy dokument, jaki zna. Pamięta pan jego słowa? Mogę je zacytować: „Oznacza on pewną śmierć zarówno dla Tyrannejczyków, jak i dla nas, ale może też przynieść nowe życie całej Galaktyce".

— Rządca, jak każdy człowiek, mógł się mylić.

— Proszę zważyć, że nie mamy najmniejszego wyobrażenia o naturze tego dokumentu. Mogą to być na przykład czyjeś ni opublikowane notatki laboratoryjne. Może to być coś, w czym Ziemianie nigdy nie dopatrzyli się broni, coś. co na pozór ni wygląda na broń, ale…

— Nonsens. Jesteś wojskowym i powinieneś lepiej niż orientować się w tych sprawach. Istnieje tylko jedna dziedzina, w której człowiek stale odnosił sukcesy — wojna. Żadna potencjalna broń nie mogła ujść uwagi przez dziesięć tysięcy lat. Myślę. Rizzett, że wrócimy na Lingane.

Rizzett wzruszył ramionami. Nie był przekonany.

Podobnie zresztą jak i Jonti. Dokument został skradziony i tylko to się liczyło. Musiał być tego wart! Teraz może go mieć ktokolwiek w Galaktyce.

Nagle do głowy przyszła mu straszna myśl, że mogą go mieć Tyrannejczycy. Rządca był w tej materii bardzo tajemniczy. Nie ufał nawet Jontiemu. Twierdził, że dokument niesie z sobą śmierć i stanowi broń obosieczną. Jonti zacisnął usta. Ten głupiec i jego idiotyczne niedomówienia! A teraz mają go Tyrannejczycy.

Co się stanie, jeśli w posiadanie tak ważnej tajemnicy wejdzie ktoś pokroju Aratapa? Aratap! To człowiek, którego działań teraz, po śmierci Widemosa, nie sposób przewidzieć. Najbardziej niebezpieczny z Tyrannejczyków.

Simok Aratap był niskim mężczyzną o nieco krzywych nogach i wąskich oczach. Miał krępą, grubokościstą sylwetkę typowego Tyrannejczyka i mimo że w tej chwili stał przed nim harmonijnie zbudowany i doskonale umięśniony okaz ludzkiego gatunku, wcale nie czuł się speszony. Był godnym spadkobierca (w drugim pokoleniu) tych, którzy opuścili swoje wietrzne, martwe światy i rozproszyli się po kosmosie, aby podbijać i zniewalać bogate i ludne planety

Regionów Mgławicy.

Jego ojciec dowodził eskadrą małych, zwrotnych statków, które atakowały i znikały, by po chwili uderzyć ponownie i rozbić w puch nieruchawe, olbrzymie statki, bezskutecznie usiłujące stawić im czoło.

Światy Mgławicy walczyły w starym stylu, a Tyrannejczycy opanowali nowe techniki. Potężne błyszczące okręty podejmowały samotne pojedynki i ostrzeliwując pustkę traciły olbrzymie ilości energii. Tymczasem Tyrannejczycy postawili na szybkość i współdziałanie, tak że atakowane Królestwa padały samotnie jedno po drugim; każde (po części uradowane kłopotami sąsiadów). zadufane we własne bezpieczeństwo, za barierą ze stalowych flotylli oczekiwało bezczynnie na własny los.

Te wojny toczyły się pięćdziesiąt lat temu. Teraz Regiony Mgławicy stały się lennami, kontrolowanymi i obciążonymi Podatkami. Dawniej istniały całe światy, które można było podbić, pomyślał tęsknie Aratap, a teraz trzeba się zadowolić walką z pojedynczymi ludźmi.

Popatrzył na stojącego przed nim młodzieńca. Młody, bardzo młody. Wysoki, barczysty, z zamyśloną twarzą wieńczoną stanowczo zbyt krótko obciętymi włosami. Prawdopodobnie wśród studentów zapanowała właśnie taka moda. W pewnym sensie Aratap mu współczuł. Chłopak był wyraźnie przestraszony.

Biron nie określiłby swoich uczuć jako „strach". Gdyby miał odpowiedzieć na pytanie, co czuje, powiedziałby, że „napięcie". Przez całe życie przywykł uważać Tyrannejczyków za suzerenów. Jego ojciec, silny i pełen życia, pewny swojej zwierzchniej pozycji wobec innych, w obecności Tyrannejczyków stawał się cichy i niemal uniżony.

Przybywali czasami do Widemos z grzecznościowymi wizytami lub w sprawie dorocznej kontrybucji, którą nazywali podatkami. Rządca Widemos odpowiadał za zbieranie i wysyłkę tych pieniędzy z całej planety Nefelos, a Tyrannejczycy od czasu do czasu, zachowując wszelkie pozory, sprawdzali jego rachunki.

Rządca osobiście towarzyszył im, gdy opuszczali swoje małe statki. Zasiadali na honorowych miejscach u jego stołu, a w czasie posiłków obsługiwano ich w pierwszej kolejności. Kiedy mówili, cichły wszystkie rozmowy.

Gdy był dzieckiem, złościło go, że owych małych, odrażających ludzi traktowano u niego w domu w tak uniżony sposób, ale dorastając pojął, iż byli oni dla jego ojca tym, czym rządca dla zwykłego pastucha. Nauczył się też mówić do nich z szacunkiem i tytułować ich „ekscelencjo".

Statek, który Biron uważał za swoje więzienie, stał się nim oficjalnie w dniu lądowania na Rhodii. U jego drzwi odezwał się

dzwonek. Do kabiny weszło dwóch krzepkich członków załogi i stanęli przy nim, biorąc go między siebie. Za nimi pojawił się kapitan i oznajmił beznamiętnie:

— Bironie Farrill, na mocy prawa przysługującego mi jako kapitanowi tego statku aresztuję cię i zatrzymuję do dyspozycji komisarza Wielkiego Króla.

Komisarz to ten mały Tyrannejczyk, który siedzi teraz naprzeciwko, pozornie zamyślony i niezbyt zainteresowany stojącym przed nim więźniem. „Wielki Król" zaś to chan Tyrannejczyków, który przebywa stale w legendarnym kamiennym pałacu na rodzinnej planecie Tyrannejczyków.

Biron rozejrzał się ukradkiem. W sensie fizycznym nic go nie krępowało, ale za jego plecami stało czterech strażników w stalowoniebieskich mundurach Tyrannejskiej Policji Zewnętrznej, po dwóch z każdej strony. Byli uzbrojeni. Piąty, w stopniu majora, siedział obok biurka komisarza. Komisarz odezwał się pierwszy.

— Jak może już wiesz — jego głos był wysoki i piskliwy — stary rządca Widemos, twój ojciec, został stracony za zdradę.

Jego blade oczy spoglądały na Birona. Malowało się w nich łagodne współczucie.

Biron nie zareagował. Nękała go myśl, że nic nie może zrobić. Chciał wyć, rzucić się na nich z pięściami, ale to nie przywróciłoby ojca do życia. Wydawało mu się, że wie, dlaczego poinformowano go o tym na początku rozmowy. Zamierzali go złamać, doprowadzić do tego, by się zdradził. Nie udało im się.

Powiedział beznamiętnie:

— Jestem Biron Malaine z Ziemi. Jeśli kwestionujecie moją tożsamość, żądam kontaktu z konsulem Ziemi.

— Oczywiście, ale na razie nasza rozmowa ma całkiem nieformalny charakter. Twierdzi pan, że jest Bironem Malaine z Ziemi. A tutaj — Aratap wyłożył papiery — mamy listy napisane przez rządcę do jego syna. Oraz indeks i zaproszenie na rozdanie dyplomów. Wszystko na nazwisko Birona Farrilla. Zostały znalezione w pańskim bagażu.

Biron czuł, jak ogarnia go rozpacz, ale starał się nie dać nic po sobie poznać.

— Moje bagaże zostały przeszukane nielegalnie, więc nie można traktować tych dokumentów jako dowodów.

— Nie jesteśmy w sądzie, panie Farrill, czy jeśli pan woli, Malaine. Jak pan to wytłumaczy?

— Skoro papiery zostały znalezione w moim bagażu, zapewne ktoś je tam podłożył.

Komisarz porzucił ten temat i Biron poczuł zdumienie. Jego argumenty brzmiały tak pusto, nielogicznie. Komisarz przestał

zwracać uwagę na papiery i wskazał na czarną kapsułę.

— A ten list polecający do suwerena Rhodii? Także nie należy do pana?

— Nie, jest mój. — Biron od dawna miał zaplanowaną odpowiedź. W liście nie było jego nazwiska. — Istnieje spisek na życie suwerena…

Przerwał przestraszony. Kiedy zaczął wygłaszać starannie przemyślaną wypowiedź, zabrzmiała ona nagle zupełnie nieprzekonująco. Komisarz zapewne patrzył na niego z uśmiechem pełnym politowania.

Ale Aratap słuchał spokojnie. Westchnął tylko i nagłym, rutynowym ruchem wyjął z oczu szkła kontaktowe, po czym ostrożnie umieścił je w roztworze soli, w stojącej na biurku szklance. Jego nie osłonięte oczy lekko łzawiły.

— I pan go odkrył? Na Ziemi, odległej o pięćset lat świetlnych? Nasza własna, miejscowa policja nic o tym nie słyszała.

— Policja jest tutaj, a spisek powstał na Ziemi.

— Rozumiem. A pan jest ich agentem? Czy raczej zamierza pan ostrzec Hinrika przed nimi?

— Jasne, że chcę go ostrzec.

— Naprawdę? A dlaczego chce pan to zrobić?

— Dla przyzwoitej nagrody, którą spodziewam się otrzymać. Aratap uśmiechnął się.

— Tak, to przynajmniej brzmi prawdopodobnie i przydaje nieco wiarygodności pańskim poprzednim słowom. Jakie są szczegóły tego spisku?

— Są przeznaczone tylko dla suwerena. Chwilowe wahanie, a potem wzruszenie ramion.

— W porządku. Tyrannejczycy nie interesują się lokalną polityką i nie ingerują w podobne sprawy. Zorganizujemy panu spotkanie z suwerenem i to będzie nasz wkład w jego bezpieczeństwo. Dopóki pański bagaż nie będzie gotów do odebrania, moi ludzie dotrzymają panu towarzystwa. Potem może pan odejść. Wyprowadzić go.

Ostatnie polecenie przeznaczone było dla uzbrojonych strażników, którzy wyszli razem z Bironem. Aratap znów włożył szkła kontaktowe i jego twarz natychmiast straciła swój nieco dobrotliwy wyraz.

Odwrócił się do majora, który pozostał w pokoju:

— Myślę, że będziemy musieli mieć na oku tego młodego Farrilla.

Oficer skinął głową.

— Dobrze! Przez chwilę myślałem, że kupił pan jego bajeczkę. Dla mnie cała ta historia była kompletnie nieskładna.

— Oczywiście. Ale dzięki niej możemy jakiś czas kierować jego krokami. Wszyscy młodzi głupcy, którzy czerpią swoją wiedzę o

międzygwiezdnych intrygach ze szpiegowskich filmów wideo, łatwo dają się podejść. To jasne, że jest synem eks-rządcy.

W tym momencie major zawahał się.

— Jest pan pewien? Dowody przeciw niemu są bardzo wątłe i niezbyt przekonujące.

— Myślisz, że to mogło być zaaranżowane? Po co?

— Ten chłopak może być przynętą, która ma odwrócić naszą uwagę od prawdziwego Birona Farrilla.

— Nie. To zbyt teatralne. Poza tym, mamy fotościan.

— Co? Tego chłopaka?

— Syna rządcy. Chcesz zobaczyć?

— Oczywiście.

Aratap podniósł z biurka przycisk do papierów. Był to prosty szklany sześcian o boku długości około siedmiu centymetrów, czarny i nieprzejrzysty.

— Chciałem go z tym skonfrontować, ale nie było takiej potrzeby. To śmieszna zabawka, majorze. Nie wiem, czy się z tym zetknąłeś. Niedawno wynalezione gdzieś w wewnętrznych światach. Na pozór zwykły fotościan, ale gdy się go obróci, zachodzi samoistne przeorganizowanie cząsteczek i staje się nieprzezroczysty. Taka sympatyczna sztuczka.

Odwrócił kostkę. Ścianki zamigotały i powoli zaczęły się przejaśniać, zupełnie jakby czarna mgła ustępowała pod uderzeniami wiatru. Aratap przyglądał się spokojnie ze złożonymi na piersiach rękami.

Kostka stała się krystalicznie przejrzysta, a ze środka uśmiechnęła się do nich radośnie młoda twarz. Żywa, na zawsze utrwalona podobizna.

— Znaleźliśmy to wśród rzeczy eks-rządcy — powiedział Aratap. — Co o tym myślisz?

— To bez wątpienia ten sam młody człowiek.

— Tak. — Tyrannejczyk przyglądał się w zamyśleniu fotościanowi. — Wiesz, dzięki tej metodzie, można by przecież zapisać w tej samej kostce sześć różnych fotografii. Ma sześć ścianek i każda z nich mogłaby wywoływać nowy układ cząsteczek. Sześć połączonych fotografii, podczas przestawiania kostki przechodzących jedna w drugą, statyczne zjawisko, które przemienia się w dynamiczny proces, otwierając nowe możliwości. Majorze, to mogłoby stać się nową formą sztuki — w jego głosie pojawił się rosnący entuzjazm.

Ale twarz milczącego majora miała lekko pogardliwy wyraz i Aratap porzucił artystyczne zachwyty.

— Będziesz pilnował Farrilla?

— Oczywiście.

— Obserwuj także Hinrika.

— Hinrika?

— Naturalnie. Tylko dlatego uwolniliśmy chłopaka. Muszę mieć odpowiedź na kilka pytań. Czemu Farrill nalega na spotkanie z Hinrikiem? Jaki jest między nimi związek? Nieżyjący rządca nie działał w pojedynkę. Istnieje — musi istnieć — dobrze zorganizowana konspiracja, która za nim stała. A my jej jeszcze nie zlokalizowaliśmy.

— Ale Hinrik z pewnością nie jest z nią związany. Może starczyłoby mu odwagi, ale nie rozumu.

— Zgoda. Ale właśnie dlatego, że jest półidiotą, mogą chcieć wykorzystać go jako marionetkę. Jeśli tak, stanowi on w naszym układzie sił słaby punkt. Nie możemy pozwolić sobie na to, by go zlekceważyć.

Dał znak do odejścia. Major zasalutował, okręcił się na obcasie i wyszedł.

Aratap uśmiechnął się, zamyślony obrócił fotościan w ręku i patrzył, jak powraca ciemność niczym chmura czarnego atramentu.

O ileż łatwiejsze było życie w czasach jego ojca! Zdobycie planety to było okrucieństwo i zaszczyt, podczas gdy sterowanie niedoświadczonym młodzieniaszkiem to tylko okrucieństwo.

Jednak niezbędne.

5. Głowa spoczywa niespokojnie

W porównaniu z Ziemią świat Rhodii był całkiem młodym siedliskiem Homo sapiens. Był młody nawet w porównaniu z planetami Centaura czy Syriusza. Na przykład planety Arkturusa zostały skolonizowane dwieście lat przedtem, nim pierwszy statek kosmiczny okrążył mgławicę Końska Głowa i odkrył za nią skupisko setek planet tlenowo-wodnych. Leżały blisko siebie i stanowiły niezwykle cenne znalezisko, wśród licznych bowiem planet w kosmosie niewiele jest takich, które mogą zaspokoić chemiczne wymagania ludzkiego organizmu.

W Galaktyce znajduje się sto do dwustu miliardów jasnych gwiazd. Wokół nich krąży około pięciuset miliardów planet. Część z nich ma grawitację sto dwadzieścia procent silniejszą, część sześćdziesiąt procent słabszą niż przyciąganie ziemskie. Niektóre są zbyt gorące, inne zbyt zimne. Jeszcze inne otacza trująca atmosfera. Znajdowano planety, których atmosfera składała się głównie z neonu, metanu, amoniaku, chloru — a nawet zawierała czterofluorek krzemu. Jedne były pozbawione wody, na innych odkryto oceany czystego dwutlenku siarki. Niektóre nie zawierały węgla.

Wystarczała jedna z tych właściwości, by zdyskwalifikować planetę, tak że zaledwie jeden na sto tysięcy globów nadawał się do zamieszkania. Ale i tak dawało to około czterech milionów planet.

Dokładna liczba zamieszkanych światów wciąż nie jest znana. Według Almanachu galaktyk, który co prawda opiera się na niezbyt dokładnych źródłach, Rhodia była tysiąc dziewięćdziesiąta ósmą planetą, zasiedloną przez człowieka.

Jak na ironię, Tyrann, ostateczny zdobywca Rhodii, nosił numer tysiąc dziewięćdziesiąt dziewięć.

Historia rozwoju Regionu Transmgławicowego niepokojąco przypomina dzieje innych terytoriów w okresie rozwoju i ekspansji. Republiki planetarne powstawały bardzo szybko, każdy rząd starał się stworzyć własny zamknięty świat. W miarę rozwoju ekonomicznego kolonizowano i przyłączano sąsiednie planety. Powstawały małe „imperia” i dochodziło do nieuniknionych konfliktów.

Kolejne rządy obejmowały zwierzchnictwo nad sporymi terytoriami, w zależności od skutków wojen i wielkości floty.

Rhodia pod rządami dynastii Hinriadów długo zachowywała względną stabilność. Była właśnie na najlepszej drodze, by w ciągu stulecia lub dwóch objąć władzę nad Imperium Transmgławicowym, kiedy nadeszli Tyrannejczycy i dokonali tego w ciągu dziesięciolecia.

O ironio, właśnie ludzie z Tyranna, który przez ostatnie siedemset lat cieszył się zaledwie względną autonomią, a i to głównie dzięki

temu, że jego jałowe ziemie nie wzbudzały niczyjego pożądania. Ze względu na niedostatek wody większą część planety pokrywały pustynie.

Ale nawet po podboju Tyrannejczyków Księstwo Rhodii wciąż trwało. I rozwijało się. Hinriadzi cieszyli się popularnością wśród swojego ludu, toteż ich władza była stabilna. Tyrannejczyków nie interesowało, kto jest u władzy, dopóki regularnie otrzymywali podatki.

Nowi suwereni nie dorównywali już jednak dawnym Hinriadom. Władcy zawsze byli wybierani, tak aby na tronie mogli zasiąść najlepsi spośród członków rodziny. Z tych przyczyn w rodzinie praktykowano adopcję.

Teraz jednak Tyrannejczycy mogli wpływać na wyniki elekcji i tak przed dwudziestu laty suwerenem obrano Hinrika (piąty władca tego imienia). Dla Tyrannejczyków był to wybór bardzo korzystny.

W dniu swojej elekcji Hinrik był przystojnym mężczyzną. I dziś jeszcze, gdy pojawiał się na zebraniach Rady Rhodii, robił dobre wrażenie. Miał gładkie, siwe włosy, a jego gęste wąsy, o dziwo, pozostały czarne niczym oczy jego córki.

W tej chwili jego latorośl, ogarnięta furią, stała właśnie przed nim. Była niższa od ojca o pięć centymetrów, a suweren miał blisko metr osiemdziesiąt. Energiczna, ognista dziewczyna, o ciemnych oczach i włosach, aż poczerwieniała ze złości.

— Nie mogę tego zrobić! Nie chcę tego zrobić! — krzyknęła ponownie.

— Ależ, Arto, to nierozsądne. Co mam zrobić? Co ja mogę zrobić? Na moim stanowisku, jakiż mam wybór? — odpowiedział Hinrik.

— Gdyby mama żyła, znalazłaby jakieś wyjście — dziewczyna tupnęła nogą.

Jej pełne imię brzmiało Artemizja — rodowe miano, które w każdym pokoleniu nosiła jedna z córek Hinriadów.

— Tak, tak, bez wątpienia. Twoja matka była wspaniałą kobietą! Czasami wydaje mi się, że wrodziłaś się wyłącznie w nią, że nie masz nic ze mnie. Ale. Arto, nie dałaś mu nawet cienia szansy. Czy zauważyłaś hmm, jego lepsze strony?

— To znaczy?

— No… — machnął ręką niezdecydowanie, pomyślał przez chwilę i zrezygnował. Podszedł do niej i usiłował położyć dłoń na jej ramieniu, ale odsunęła się. Jej szkarłatna suknia zawirowała w powietrzu.

— Spędziłam z nim ostatni wieczór — powiedziała gorzko. — Chciał mnie pocałować. To było obrzydliwe!

— Każdy całuje, skarbie. To nie są czasy twoich szacownej pamięci dziadów. Pocałunki nic nie znaczą, nawet mniej niż nic.

Młoda krew, Arto, młoda krew!

— Ale młoda! Jedyna młoda krew, jaką ten wstrętny typ miał w swoich żyłach w ciągu ostatnich piętnastu lat, pochodziła z transfuzji. On jest niższy ode mnie o dziesięć centymetrów. Ojcze, jak będę wyglądała w towarzystwie karzełka?

— To ważna osobistość. Bardzo ważna.

— To nie doda mu nawet jednego centymetra wzrostu. Ma krzywe nogi, jak oni wszyscy, a jego oddech cuchnie.

— Cuchnie?

Artemizja zmarszczyła nos.

— Tak, cuchnie! To był ohydny smród. Nie podoba mi się i dałam mu to odczuć.

Hinrik ze zdumienia otworzył usta, a po chwili wychrypiał:

— Dałaś mu to odczuć? Dałaś do zrozumienia, że wysoki dostojnik dworu królewskiego Tyranna może mieć niesympatyczne cechy?

— Bo ma! W końcu mam jeszcze węch! Jak tylko przysunął się zbyt blisko, zatkałam nos i odepchnęłam go. To ci mężczyzna! Jest kogo podziwiać! Upadł na plecy, a nogi sterczały mu do góry.

Zilustrowała swoje słowa gestami, ale Hinrik nawet nie patrzył, jęknął, skulił się i zasłonił twarz rękoma. Spojrzał żałośnie przez palce.

— Co teraz będzie? Jak mogłaś tak się zachować?

— I tak nic by z tego nie było. Wiesz, co on powiedział? Wiesz co mi powiedział? To przepełniło czarę. Absolutnie przebrał miarę. Podjęłam już decyzję. Nie mogłabym poślubić tego człowieka, nawet gdyby miał trzy metry wzrostu.

— Ale… ale… co on ci takiego powiedział?

— Pozwól, ojcze, że ci zacytuję: „Ha! Wojownicza dziewucha! — powiedział. — Teraz jeszcze bardziej mi się podobasz!” Dwóch służących pomogło mu wstać. Ale nie próbował już więcej dyszeć mi w twarz.

Hinrik opadł na krzesło, pochylił się do przodu i uważnie przyjrzał Artemizji.

— Mogłabyś poślubić go jedynie na pokaz. Potrafisz? To nie musi być małżeństwo z przekonania. Tylko dla dobra kraju…

— Co rozumiesz przez małżeństwo bez przekonania, ojcze? Czy mam starać się zażegnać skutki kłamstwa, krzyżując palce lewej ręki, gdy prawą będę podpisywać kontrakt ślubny?

Hinrik stracił pewność siebie.

— Nie, oczywiście, że nie. Cóż by to dało? Czy to może uczynić kontrakt nieważnym? Jednak, Arto, jestem zaskoczony twoją lekkomyślnością.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — westchnęła Artemizja.

— Co chcę powiedzieć? Widzisz, co narobiłaś? Nie mogę zebrać

myśli, kiedy tak ze mną rozmawiasz. O czym to mówiliśmy?

— Miałam udawać, że wychodzę za mąż lub coś w tym rodzaju.

— A tak. Chciałem powiedzieć, że nie musisz traktować tego tak poważnie, rozumiesz?

— To znaczy, że mogę mieć kochanków. Hinrik zesztywniał i zmarszczył brwi.

— Arto! Wychowywałem cię na skromną i porządną dziewczynę. Tak samo twoja matka. Jak możesz mówić takie rzeczy? To wstyd.

— A nie o to ci chodziło?

— Mnie wolno to powiedzieć. Jestem mężczyzną, dojrzałym mężczyzną. Ale dziewczyna taka jak ty nie powinna nawet tego powtarzać.

— Powtórzę to jeszcze raz i postawmy sprawę jasno. Nic nie mam przeciwko kochankom. Prawdopodobnie będę ich miała, jeśli wyjdę za mąż dla racji stanu, ale wszystko ma swoje granice. — Oparła ręce na biodrach, a szerokie rękawy sukni zsunęły się odsłaniając opalone, krągłe ramiona. — Co miałabym robić z kochankami? On wciąż będzie przecież moim mężem. Sama myśl o tym jest dla mnie nie do zniesienia!

— Ale to stary człowiek, kochanie. Życie z nim nie powinno być długie.

— Dzięki, będzie o wiele za długie. Jeszcze pięć minut temu miał młodą krew. Pamiętasz?

Hinrik rozłożył ręce.

— Arto, to jest Tyrannejczyk, i do tego bardzo wpływowy. Ma rozległe stosunki na dworze chana.

— Być może, chanowi nie przeszkadza jego oddech. Zapewne, bo prawdopodobnie sam cuchnie.

Hinrik zamarł z otwartymi ustami. Odruchowo rozejrzał się wokół siebie i powiedział ochrypłym głosem.

— Nigdy nie mów takich rzeczy!

— Będę mówić wszystko, na co mam ochotę. Poza tym, on miał już trzy żony. — Uprzedziła pytanie. — Nie chan, tylko człowiek, za którego chcesz mnie wydać.

— Ale żadna nie żyje — wyjaśnił Hinrik z prostotą. — Arto, one nie żyją. Jak możesz myśleć, że zgodziłbym się, by moja córka poślubiła bigamistę? Każemy mu okazać dokumenty. Żenił się z nimi kolejno, a teraz żadna nie żyje. Żadna.

— Nic dziwnego.

— Och, na moją duszę, co mam zrobić? — Uczynił ostatni wysiłek, żeby zachować godność. — Arto, taka jest cena za to, że jesteś jedną z Hinriadów, córką suwerena.

— Ja się o to nie prosiłam.

— To nie ma nic do rzeczy. Historia Galaktyki, Arto, dowodzi, że

racja stanu, bezpieczeństwo planet, interesy ludności wymagają czasem, by…

— By jakaś biedna dziewczyna sprostytuuowała się dla nich.

— Och, to wulgarne! Uważaj, bo kiedyś wyrwie ci się coś takiego publicznie.

— Cóż, podjęłam już decyzję. Nie zrobię tego. Wolę umrzeć. Wolę zrobić cokolwiek. I zrobię.

Suweren wstał z krzesła i wyciągnął do niej ramiona. Milczał, usta mu drżały. Podbiegła do niego w gwałtownym ataku płaczu przytuliła się mocno.

— Nie mogę, tatusiu. Nie mogę. Nie zmuszaj mnie. Pogłaskał ją niezręcznie.

— Ale co będzie, jeśli go nie poślubisz? Jeśli Tyrannejczycy poczują się zawiedzeni? Mogą mnie usunąć, uwięzić, może nawet i… — urwał w pół słowa. — Nastały bardzo ciężkie czasy, Arto, bardzo ciężkie. W zeszłym tygodniu aresztowano rządcę Widemos przypuszczam, że został stracony. Pamiętasz go, Arto? Gościł na naszym dworze pół roku temu. Potężnej budowy mężczyzna o okrągłej głowie i głęboko osadzonych oczach. Początkowo bałaś się go.

— Pamiętam.

— Tak, prawdopodobnie już nie żyje. I kto wie? Może ja jestem następny? Twój biedny, nieszkodliwy, stary ojciec. To złe czasy. Odwiedził nasz dwór i to jest podejrzane.

Odsunęła się gwałtownie na odległość ramion.

— Dlaczego miałoby to być podejrzane? Nie byłeś z nim związany, prawda?

— Ja? Oczywiście, że nie. Ale jeśli otwarcie przeciwstawimy się woli chana odrzucając związek z jednym z jego faworytów, mogą zacząć tak myśleć.

Dalszą wypowiedź przerwało mu stłumione buczenie komunikatora. Hinrik drgnął, zaskoczony.

— Odbiorę w moim pokoju. Odpocznij. Drzemka dobrze ci zrobi. Zobaczysz. Jesteś w tej chwili trochę rozdrażniona, to wszystko.

Artemizja patrzyła, jak odchodzi, i zmarszczyła brwi. Na jej twarzy pojawił się wyraz głębokiego zamyślenia i przez kilka minut tylko nieznaczne falowanie piersi zdradzało, że żyje.

Pod drzwiami rozległ się głos zbliżających się kroków. Odwróciła się.

— Kto to? — jej głos zabrzmiał nieoczekiwanie ostro. To był Hinrik, twarz miał bladą ze strachu.

— Dzwonił major Andros.

— Z Policji Zewnętrznej? Hinrik zdołał tylko skinąć głową.

— Nie! Na pewno nie…! — krzyknęła i urwała, przerażona myślą, cisnącą się jej do głowy.

— Jakiś młody człowiek prosi o audiencje. Nie znam go, dlaczego tu przybył? Przybył z Ziemi. — Hinrik nerwowo łapał oddech i jąkał się, jakby jego myśli wirowały na karuzeli, a on usiłował je pozbierać.

Dziewczyna podbiegła do niego i podtrzymała go za łokieć.

— Usiądź, ojcze. Powiedz, co się stało.

Objęła go i wyraz paniki częściowo ustąpił z jego twarzy.

— Dokładnie nie wiem — szepnął. — Przyjechał jakiś młody człowiek, który zna szczegóły zamachu na moje życie. Na moje życie. Powiedzieli mi, że powinienem go wysłuchać.

Uśmiechnął się bezradnie.

— Ludzie mnie kochają. Dlaczego ktoś chciałby mnie zabić? Dlaczego?

Błagalnie wpatrywał się w jej twarz i uspokoił się, dopiero gdy powiedziała:

— Oczywiście, że nikt nie chce cię zabić.

— Czy myślisz, że to mogą być oni? — w jego głosie znów zabrzmiało napięcie.

— Kto?

Zniżył głos do cichego szeptu:

— Tyrannejczycy. Rządca Widemos był tutaj wczoraj i zabili go. — Jego głos nabrał mocy. — A teraz przysłali kogoś, żeby i mnie zamordował.

Artemizja zacisnęła palce na jego ramieniu z taką siłą, że ból przywrócił go do rzeczywistości.

— Ojcze! Uspokój się! Nic nie mów! Posłuchaj mnie. Nikt cię nie zabije. Słyszysz mnie? Nikt cię nie zabije. Rządca Widemos był tutaj sześć miesięcy temu. Pamiętasz? Minęło już sześć miesięcy! Pomyśl!

— Tak dawno? — westchnął suweren. — Tak, tak, to musiało być dawno.

— Teraz zostań tutaj i odpocznij. Jesteś przemęczony. Sama spotkam się z tym człowiekiem i jeśli okaże się, że to ci niczym nie grozi, przyprowadzę go tutaj.

— Zrobisz to, Arto? Naprawdę? Nie skrzywdzi kobiety. Z pewnością nie będzie chciał skrzywdzić kobiety.

Pochyliła się nagle i ucałowała go w policzek.

— Bądź ostrożna — mruknął i zmęczony zamknął oczy.

6. Ciężka na niej korona

W jednym z oddalonych budynków wchodzących w skład zespołu pałacowego Biron Farrill czekał w nerwowym napięciu. Po raz pierwszy w życiu doświadczał przygnębiającego uczucia, że jest prowincjuszem.

Dwór Widemos, w którym dorastał, wydawał mu się wspaniały, ale teraz widział, jak prostacki był jego dom rodzinny. Te łuki, dziwaczne detale misternej roboty, delikatne wieżyczki, przesadnie zdobione „fałszywe okna"… Skrzywił się na to wspomnienie.

A tutaj… Tutaj było inaczej.

Zespół pałacowy Rhodii nie został zbudowany na pokaz przez książątka rolniczych planet, nie był też wyskokiem ginącego, umierającego świata. Stanowił kamienny pomnik dynastii Hinriadów.

Budynki były majestatyczne i spokojne. Proste, strzeliste linie ścian wydłużały się ku centrum każdej budowli. W ich kształtach, którym obca była wszelka zniewieściałość, zaznaczała się pewna surowość. A jednak ostateczny efekt dziwnie poruszał serce obserwatora, choć pozornie architektura budynków miała pełnić czysto użyteczną, nie estetyczną funkcję. Z pałacu emanowały pewność, wyniosłość i duma.

Każdy budynek tworzył wraz z innymi harmonijną całość, a wielki pałac właściwy stanowił ukoronowanie całego zespołu, pozbawionego nawet tych nielicznych ozdób, które dopuszczał surowy styl architektury Rhodii. Przy budowie zrezygnowano nawet z tak zwanych fałszywych okien, tak cenionych wśród architektów, choć w sztucznie oświetlanych gmachach zupełnie bezużytecznych. Brak tego znajomego elementu wywoływał wrażenie dziwnego dostojeństwa.

Królowały proste linie i płaskie powierzchnie, prowadzące wzrok prosto ku niebu.

Gdy Biron wchodził do komnaty, towarzyszący mu Tyrannejczyk, major, zatrzymał się przy nim na chwilę.

— Teraz zostanie pan przyjęty — powiedział.

Biron skinął głową, a po chwili wysoki mężczyzna w czerwono-brązowym mundurze stuknął przed nim obcasami. Birona uderzyła myśl, że ten, kto ma prawdziwą władzę, nie potrzebuje żadnych demonstracji i zadowala się stalowoniebieskimi mundurami. Wspomniał wystawne ceremonie na dworze rządcy i zagryzł usta na myśl o tym, jak bardzo były puste.

— Biron Malaine? — spytał strażnik. Biron ruszył za nim.

Nad metalową szyną, utrzymywany polami magnetycznymi, unosił się lekko błyszczący pojazd. Biron nigdy jeszcze nie widział

czegoś takiego. Zanim wszedł, przystanął na chwilę.

Mała kabina, w której mieściło się pięć do sześciu osób, kołysała się na wietrze jak wdzięczna szklana kropla, odbijając promienie wspaniałego słońca Rhodii. Pojedyncza smukła szyna, niewiele szersza niż kabel, biegła u spodu pojazdu nie dotykając go. Biron pochylił się i dostrzegł przeświturające niebo między dnem wagonika a szyną. Gdy tak patrzył, silniejszy podmuch wiatru uniósł kabinę o jakieś dwa centymetry, jakby niecierpliwie oczekiwała na rozpoczęcie podróży, szarpiąc się z niewidzialnymi siłami, które utrzymywały ją w miejscu. Po chwili osiadła bliżej szyny, jeszcze bliżej, ale jej nie dotknęła.

— Wsiadaj! — warknął niecierpliwie strażnik i Biron wszedł po dwóch stopniach do kabiny.

Stopnie pozostały wystarczająco długo, aby strażnik mógł wejść, po czym gładko i bezszelestnie wsunęły się w burtę, pozostawiając idealnie gładką powierzchnię.

Biron uświadomił sobie nagle, że widoczna z zewnątrz nieprzejrzystość ścian jest tylko złudzeniem. Znalazł się wewnątrz całkowicie przezroczystej bańki. Przy starcie pojazd uniósł się do góry. Bez trudu wspinał się coraz wyżej, ze świstem przecinając powietrze. Przez chwilę Biron widział pod sobą panoramę zespołu pałacowego.

Zabudowania stały się wspaniałą całością (czyżby od początku były zaprojektowane z myślą o tym, jak wyglądają z lotu ptaka?) oplecioną błyszczącymi miedzianymi liniami, wzdłuż których przemykało parę pojazdów o wdzięcznych sylwetkach.

Jakaś siła pchnęła go do przodu i roztańczony pojazd zawisł w miejscu. Cała podróż trwała niecałe dwie minuty.

Drzwi były otwarte. Gdy wszedł, zamknęły się za nim. W małym, pustym pokoju nie było nikogo. Przez chwilę nikt go nie niepokoił, ale Biron wcale nie czuł się przez to lepiej. Nie miał złudzeń. Od tamtej przeklętej nocy inni planowali jego ruchy. Jonti umieścił go na statku. Tyrannejski komisarz przysłał go tutaj. Każde kolejne posunięcie wzmagało jego desperację.

Biron zdawał sobie sprawę, że Tyrannejczycy nie są głupcami. Zbyt łatwo go wypuścili. Komisarz mógł wezwać konsula Ziemi. Mógł połączyć się podprzestrzennie z samą Ziemią albo zdjąć jego odciski palców. To były rutynowe działania, nie mogli ich pominąć przez przypadek.

Pamiętał przeprowadzona przez Jontiego analizę wydarzeń. Niektóre argumenty wciąż brzmiały przekonywająco. Tyrannejczycy nie mogli go zabić jawnie, żeby nie stworzyć kolejnego męczennika. Ale Hinrik był ich marionetką i gdyby otrzymał rozkaz… W ten sposób zostałby uśmiercony przez jednego ze swoich, a Tyrannejczycy pozostaliby obserwatorami.

Biron zacisnął pięści. Był wysoki i silny, ale nie uzbrojony. Ludzie, którzy po niego przyjdą, zapewne będą mieli blastery i bicze neuronowe. Cofnął się i oparł o ścianę.

Słysząc otwierające się po lewej stronie drzwi, odwrócił się szybko. Wszedł przez nie umundurowany, uzbrojony człowiek, ale towarzyszyła mu dziewczyna. Biron odprężył się nieco. W innych okolicznościach przyjrzałby się jej uważniej, zwłaszcza że na to zasługiwała, ale w tej chwili była dla niego po prostu dziewczyną. Oboje podeszli do Birona i zatrzymali się dwa metry przed nim. Biron nie spuszczał oka z blastera strażnika.

— Sama będę z nim rozmawiać, poruczniku — powiedziała dziewczyna.

Kiedy zwróciła się do Birona, pomiędzy jej brwiami widniała pionowa zmarszczka.

— Czy to ty jesteś tym człowiekiem, który ma wiadomości o spisku przeciw suwerenowi? — spytała.

— Mówiłem, że chcę rozmawiać z suwerenem.

— To niemożliwe. Jeśli masz coś do powiedzenia, powiedz to mnie. Jeśli twoje informacje okażą się prawdziwe i użyteczne, zostaniesz sowicie wynagrodzony.

— Czy mogę spytać, kim pani jest? Skąd mam wiedzieć, że ma pani zgodę suwerena na prowadzenie rozmów w jego imieniu? Dziewczyna wyglądała na zirytowaną.

— Jestem jego córką. Proszę, odpowiedz na moje pytania. Czy jesteś spoza układu?

— Jestem z Ziemi — wyjaśnił Biron i po chwili dodał: — Wasza Wysokość. Wyraźnie ucieszył ją ten dodatek.

— Gdzie to jest?

— To mała planeta w sektorze Syriusza, Wasza Wysokość.

— Jak się nazywasz?

— Biron Malaine. Przyjrzała mu się uważnie.

— Z Ziemi, powiadasz? Czy potrafisz pilotować statek kosmiczny?

Biron uśmiechnął się. Sprawdzała go. Doskonale wiedziała, że w świecie rządzonym przez Tyrannejczyków nawigacja kosmiczna stała się nieznaną sztuka.

— Tak, Wasza Wysokość — odpowiedział.

Mógł tego dowieść w praktyce, jeśli pozwolą mu żyć. Na Ziemi nawigacja kosmiczna nie była zakazana i przez cztery lata studiów wiele się można było nauczyć.

— Dobrze. A teraz twoja opowieść.

Nagle podjął decyzję. Nie ośmieliłby się powiedzieć tego do samego strażnika. Ale była jeszcze dziewczyna i jeśli nie kłamała, jeśli naprawdę należała do rodziny suwerena, mogła stać się jego rzeczniczką.

— Nie ma żadnego spisku. Wasza Wysokość — oznajmił. Dziewczyna zamarła. Gwałtownie obróciła się do strażnika.

— Proszę się nim zająć, poruczniku, i wydobyć z niego prawdę. Biron zrobił krok do przodu i poczuł zimne dotknięcie blastera.

Powiedział pospiesznie:

— Chwileczkę, Wasza Wysokość! Proszę mnie wysłuchać! To był tylko pretekst żeby dostać się do suwerena. Nie rozumiecie?

Gdy zamierzała odejść, podniósł głos i dodał:

— Czy powie pani Jego Ekscelencji, że jestem Biron Farrill i odwołuję się do mojego prawa do azylu?

Był to słaby argument. Stary feudalny zwyczaj stracił swoje znaczenie długo przedtem, nim przybyli Tyrannejczycy. Teraz to przeżytek. Ale dla Birona jedyna szansa. Jedyna.

Odwróciła się i uniosła ze zdziwieniem brwi.

— Rościsz sobie prawo do arystokratycznego pochodzenia? Przed chwilą nazywałeś się Malaine.

Niespodziewanie rozległ się nowy głos:

— Tak, ale tylko tamto nazwisko jest prawdziwe. Z pewnością jest pan Bironem Farrillem. Oczywiście, że tak. Co za podobieństwo.

W drzwiach stanął drobny, uśmiechnięty mężczyzna. Jego oczy, szeroko rozstawione i błyszczące, wpatrywały się w Birona z pełnym ciekawości rozbawieniem. Ze względu na wzrost Birona nieznajomy uniósł głowę w górę i powiedział do dziewczyny:

— Nie poznajesz go, Artemizjo? Artemizja podbiegła do niego.

— Stryju! Co ty tu robisz? — Głos jej drżał.

— Dbam o swoje interesy. Pamiętaj, że gdyby doszło do morderstwa, ja jestem najbliższym sukcesorem Hinriadów. — Gillbret oth Hinriad skłonił się ceremonialnie i dodał: — Odeślij porucznika. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

Zignorowała tę uwagę:

— Znowu podsłuchiwałeś?

— Owszem. Czyżbyś chciała pozbawić mnie mojej jedynej rozrywki? To bardzo miłe zajęcie.

— Dopóki cię nie przyłapią.

— Ryzyko jest częścią gry, skarbie. Najzabawniejszą. Tyrannejczycy nie wahają się podsłuchiwać rozmów w pałacu. Niewiele możemy zrobić, żeby oni o tym nie wiedzieli. Dobrze wiesz, o co chodzi. Nie zamierzasz mnie przedstawić?

— Nie. To nie twoja sprawa.

— W takim razie pozwól, że ja dokonam prezentacji. Kiedy usłyszałem jego nazwisko, postanowiłem wejść.

Minął Artemizję, podszedł do Birona, obejrzał go dokładnie i uśmiechając się konwencjonalnie oznajmił:

— To jest Biron Farrill.

— Już mówiłem — odezwał się Biron. Jego uwaga skupiała się na poruczniku, który wciąż trzymał w pogotowiu blaster.

— Ale nie dodałeś, że jesteś synem rządcy Widemos.

— Właśnie zamierzałem, kiedy pan wszedł. W każdym razie znacie już prawdę. Musiałem uciekać przed Tyrannejczykami ukrywając się pod innym nazwiskiem.

Biron czekał. Stało się, pomyślał. Jeśli za chwilę mnie nie aresztują, wciąż mam pewną szansę.

— Rozumiem. Ta sprawa rzeczywiście należy wyłącznie do suwerena. Jesteś zatem pewien, że nie ma żadnego spisku?

— Żadnego, Wasza Wysokość.

— Dobrze. Stryju, czy dotrzymasz towarzystwa panu Farrillowi? Poruczniku, proszę ze mną.

Biron poczuł się słabo. Miał chęć usiąść, ale z ust Gillbreta nie padła taka propozycja. Stał i przyglądał się Bironowi jak jakiemuś okazowi.

— Syn rządcy! Zabawne!

Biron odprężył się. Zmęczyła go już ciągła czujność, mówienie monosylabami i aluzjami.

— Tak, syn rządcy — potwierdził nieco zbyt gwałtownie. — Od urodzenia. Czym jeszcze mogę służyć?

Gillbret nie okazał urazy. Na jego szczupłej twarzy zagościł szeroki uśmiech.

— Możesz zaspokoić moją ciekawość. Naprawdę przyjechałeś po azyl? Tutaj?

— Wolałbym to omówić z suwerenem.

— Wybij to sobie z głowy, młody człowieku. Zobaczysz, że z suwerenem można załatwić bardzo niewiele. Jak myślisz, dlaczego przed chwilą rozmawiałeś z jego córką? Bardzo to zabawne, jak chcesz wiedzieć.

— Czy wszystko jest dla pana zabawne?

— I owszem. To świetny sposób na życie. Powiem więcej: jedyny. Obserwuj świat, młodzieńcze. Jeśli nie będzie cię bawił, możesz sobie założyć stryczek na szyję. Przy okazji, nie przedstawiłem się. Jestem kuzynem suwerena.

— Winszuję — odpowiedział chłodno Biron.

— Uzasadniony brak entuzjazmu — skrzywił się Gillbret. — To nic szczególnego. Zwłaszcza gdy okazało się, że nie ma przeciw niemu żadnego spisku.

— Chyba że pan jakiś zorganizuje.

— Cóż za poczucie humoru! Musisz przyzwyczaić się do tego, że mnie nikt nie traktuje poważnie. Moja uwaga była cyniczna. Nie przypuszczasz jednak chyba, że stanowisko suwerena jest dziś wiele warte. Niech ci się tylko nie wydaje, że Hinrik zawsze był taki. Nigdy

nie miał lotnego umysłu, ale teraz z każdym rokiem staje się coraz bardziej nieznośny. Ach tak, zapomniałem! Ty go jeszcze nie znasz! Ale poznasz! Słyszę, jak nadchodzi. Kiedy będziesz go słuchał, pamiętaj, że jest władcą największego z Królestw Mgławicy. To cię z pewnością rozbawi.

Hinrik obnosił swój majestat z wprawą. Łaskawie przyjął wystudiowany, ceremonialny ukłon Birona, po czym spytał ponaglająco:

— Jaką ma pan do nas sprawę?

Artemizja stała u boku ojca i Biron, z niejakim zaskoczeniem, stwierdził, że jest całkiem ładna.

— Wasza Ekscelencjo, przyjechałem, aby bronić dobrego imienia mojego ojca. Musisz wiedzieć, panie, że jego egzekucja to wielka niesprawiedliwość.

Hinrik odwrócił wzrok.

— Bardzo słabo znałem twojego ojca. Odwiedził Rhodię raz czy dwa — przerwał i jego głos zadrżał lekko. — Jesteś do niego bardzo podobny. Bardzo. Ojciec został postawiony przed sądem. Tak mi się przynajmniej wydaje. I został osądzony zgodnie z prawem. Naprawdę, nie znam szczegółów.

— Słusznie, Wasza Ekscelencjo. Ja właśnie chciałbym poznać te szczegóły. Jestem pewien, że mój ojciec nie był zdrajcą.

Hinrik wtrącił pospiesznie:

— To zrozumiałe, że jako syn, starasz się bronić ojca, ale trudno jest omawiać te sprawy teraz. To byłoby wysoce niestosowne. Dlaczego nie spotkasz się z Aratapem?

— Nie znam go, Ekscelencjo.

— Aratap! Komisarz! Komisarz tyrannejski!

— To właśnie on przysłał mnie tutaj. Rozumiesz zapewne, panie, że nie śmiałbym przy Tyrannejczykach…

Hinrik nagle zesztywniał. Jego ręka powędrowała do ust, jakby chciała powstrzymać ich drżenie, wskutek czego słowa zabrzmiały dziwnie głucho.

— Powiadasz, że przysłał cię tutaj Aratap?

— Uznałem za konieczne powiedzieć mu…

— Nie musisz powtarzać, wiem, co mu powiedziałeś — odparł Hinrik. — Nic dla ciebie nie mogę zrobić, rządco… hmm… Janie Farrill. To nie podlega mojej jurysdykcji. Rada Wykonawcza… Daj spokój, Arto… nie rozpraszaj mnie, nie mogę się koncentrować… Musi się wypowiedzieć Rada Wykonawcza. Gillbret! Postaraj się, aby otoczono pana Farrilla opieką. Tak, skonsultuję się z Radą Wykonawczą. Formy prawne, rozumie pan. Bardzo ważne. Bardzo ważne.

Odwrócił się, mrucząc coś pod nosem.

Artemizja zatrzymała się chwilę i dotknęła rękawa Birona.

— Chwileczkę. Czy to prawda, że potrafi pan pilotować statek kosmiczny?

— Tak — potwierdził.

Uśmiechnął się. Po chwili wahania odwzajemniła uśmiech.

— Gillbrecie — powiedziała. — Chciałabym później z tobą porozmawiać.

Oddaliła się szybko. Biron patrzył za nią, aż Gillbret pociągnął go za rękaw.

— Przypuszczam, że jesteś głodny, spragniony i pewnie chciałbyś się umyć? — spytał. — Życie musi toczyć się dalej, a jeśli tak. to lepiej zapewnić sobie niezbędne wygody.

— Dziękuję, tak — odparł Biron. Napięcie go opuściło. Odprężył się i poczuł znakomicie. Naprawdę była ładna. Bardzo ładna.

Tylko Hinrik nie potrafił się odprężyć. Zamknięty w swej komnacie, skulił się w fotelu, a jego myśli pracowały gorączkowo. Nieodparcie nasuwał się jeden wniosek: to pułapka! Aratap go przysłał. To jest pułapka!

Ukrył głowę w dłoniach, aby uciszyć skołatane myśli, uspokoić rozdygotane serce. I nagle olśniło go, wiedział już, co ma zrobić.

7. Muzyk umysłu

Na wszystkich zamieszkanych planetach zapada noc. Nie zawsze trwa równie długo, jako że zarejestrowany czas obrotu waha się od piętnastu do pięćdziesięciu dwóch godzin. Ta okoliczność wymaga od ludzi podróżujących między planetami skomplikowanego mechanizmu przystosowania psychologicznego.

Niekiedy przystosowanie takie jest możliwe i wtedy następuje zgranie okresów aktywności i wypoczynku. Na wielu światach powszechne wykorzystanie uzdatnianej atmosfery i sztucznego oświetlenia sprawia, iż noc i dzień staja się kwestią czysto teoretyczną — rzecz jasna nie dotyczy to wpływu doby na rolnictwo. Kilka planet (o najbardziej ekstremalnych warunkach) przyjęło z góry ustalony podział doby, całkowicie ignorujący trywialne wskazania natury.

Zawsze jednak, niezależnie od panujących konwencji społecznych, noc wywiera głęboki, niezmienny wpływ na ludzką psychikę. Wpływ ten sięga czasów nadrzewnej egzystencji praludzi. Noc zawsze pozostanie porą strachu i zagrożenia, a zapadające ciemności nieodmiennie budzą w sercu grozę.

Wnętrze pałacu nie było wyposażone w czujniki, zwiastujące zapadanie nocy, jednak Biron poczuł jej nadejście instynktem, ukrytym w nieznanych pokładach ludzkiego mózgu. Wiedział, że na zewnątrz ledwie połyskujące, gwiazdy nieznacznie rozjaśniają nocne ciemności. Wiedział, że w określonej porze roku. postrzępiona „dziura w kosmosie" znana jako mgławica Końska Głowa (jakże znajoma wszystkim Królestwom Mgławicy) zasłania połowę zazwyczaj połyskujących na firmamencie gwiazd.

Znowu popadł w depresję.

Nie widział Artemizji od swego spotkania z suwerenem i stwierdził, że tęskni za córką władcy. Niecierpliwie czekał na kolację — może wtedy nadarzy się okazja do rozmowy. Tymczasem przyszło mu jeść samotnie, gdy dwaj sfrustrowani gwardziści przemierzali korytarz tuż pod jego drzwiami. Nawet Gillbret go opuścił. przypuszczalnie żeby spożyć posiłek w weselszej atmosferze, w towarzystwie, jakiego można by się spodziewać w pałacu Hinriadów.

Gillbret wrócił i powiedział:

— Rozmawialiśmy o tobie z Artemizją. Biron zareagował żywo, zaintrygowany. Ale Gillbreta rozbawiła jego reakcja.

— Najpierw pokażę ci moje laboratorium — odezwał się przekornie.

Skinął ręką i dwóch gwardzistów odsunęło się od drzwi.

— Jakie laboratorium? — spytał Biron bez zainteresowania.

— Buduję różne zabawki — padła niejasna odpowiedź.

.N a pierwszy rzut oka pomieszczenie w niczym nie przypominało laboratorium. W kącie stało ozdobne biurko, co raczej przywodziło na myśl bibliotekę. Biron rozejrzał się powoli.

— Tutaj budujesz te swoje zabawki? Co to takiego?

— Różne specjalne gadżety do podsłuchu szpiegowskich urządzeń Tyrannejczyków. Niemożliwe do wykrycia. W ten sposób dowiedziałem się o tobie, gdy tylko z ust Aratapa padły pierwsze słowa. Mam jeszcze wiele innych świecidełek. Na przykład wizisonor. Lubisz muzykę?

— Zależy jaką.

— Dobrze. Skonstruowałem instrument, tylko nie wiem. czy będziesz mógł to nazwać muzyką. — Półka z książkami odsunęła się na bok. — Nie jest to może najlepsza kryjówka, ale nikt nic traktuje mnie poważnie, więc niczego tu nie szukają. Zabawne. prawda? Ale zapomniałem, ciebie nie bawią takie rzeczy.

To był niezgrabny, przypominający pudełko przyrząd, z tym charakterystycznym brakiem połysku, który bezbłędnie pozwala odróżnić przedmioty wykonane ręcznie. Jeden bok miał usiany błyszczącymi guziczkami. Biron postawił go na stole, przyciskami do góry.

— Nie jest ładny — powiedział Gillbret — ale czy to ważne? Zgaś światło. Nie, nie! Żadnych kontaktów ani przełączników. Po prostu życz sobie, żeby światło zgasło. Mocno! Pomyśl, że pragniesz tego.

I światła ściemniały, z wyjątkiem delikatnego, perłowego blasku sufitu, który uczynił z ich twarzy dwie majaczące w ciemności plamy. Gillbret zaśmiał się, słysząc pełen zdumienia okrzyk Birona.

— Jedna ze sztuczek mojego wizisonora. Tak jak osobista kapsuła, tak i on połączony jest z umysłem. Rozumiesz, o co mi chodzi?

— Szczerze mówiąc, ani trochę.

— Dobrze, spójrz na to od innej strony. Pole elektryczne twoich komórek mózgowych wywołuje wzbudzenia w tym instrumencie. Matematycznie jest to bajecznie proste, ale o ile wiem, nikomu jeszcze nie udało się umieścić wszystkich niezbędnych elementów w pudełku takich rozmiarów. Zwykle potrzebny jest olbrzymi generator. To działa też inaczej. Mogę w tym miejscu zamknąć obwody i przesłać wiadomość bezpośrednio do twojego mózgu, tak że będziesz widział i słyszał bez pośrednictwa oczu i uszu. Patrz!

Z początku nie było nic do oglądania. I nagle w kąciku oka Biron zauważył jakieś plamy. Stopniowo punkciki zaczęły zmieniać się w bladą niebieskofiołetową kulę, jakby zawieszoną w powietrzu. Kiedy się cofnął, kula podążyła za nim, nie znikając, nawet gdy zamknął oczy. Zjawisku towarzyszył czysty dźwięk. który stanowił jego część, więcej — był nim samym.

Wizja rosła i stawała się coraz wyraźniejsza. Biron uświadomił sobie z niepokojem, że wszystko to dzieje się w jego głowie. Nie był to prawdziwy kolor, ale raczej barwny dźwięk, czysta myśl; wyraźnie obecna, lecz niewyczuwalna.

Obraz wirował i jaśniał opalizującymi blaskami, podczas gdy efekt muzyczny rósł, aż otulił Birona jakby jedwabnym płaszczem. Wreszcie eksplodował, tak że barwne plamy uderzały o niego, wybuchając płomieniem, który nie parzył.

Przy cichym dźwięku delikatnego westchnienia znów rosły i pęcherzyki mokrej zieleni. Biron odepchnął je i zaskoczony zauważył, że nie widzi ani nie czuje swoich rąk. Maleńkie bańki wypełniały jego umysł, tłumiąc wszystkie inne wrażenia.

Krzyknął bezgłośnie i zjawy zniknęły. W oświetlonym pokoju znów stał przed nim Gillbret i śmiał się. Biron poczuł ostry zawrót głowy i drżącą ręką otarł zroszone potem czoło. Usiadł gwałtownie.

— Co się stało? — spytał głosem tak ostrym, na jaki go było stać.

— Nie mam pojęcia. Byłem poza tym — odpowiedział Gillbret. — Nie rozumiesz? To było coś, z czym twój mózg zetknął się po raz pierwszy. Odbierał bodźce bez pośrednictwa zmysłów i nie potrafił zinterpretować tego zjawiska. Tak długo, jak byłem skupiony na odbiorze, umysł mógł przełożyć dostarczane mu dane tylko na stare, dobrze znane mu do tej pory wrażenia. Starał się przetłumaczyć je jednocześnie na odrębne doznania wzrokowe, słuchowe i dotykowe. A czy czułeś jakiś zapach? Czasami wydaje mi się, że odbieram jakąś woń. Przypuszczam, że psy reagowałyby przede wszystkim węchem. Kiedyś będę musiał przeprowadzić parę eksperymentów na zwierzętach.

A teraz — jeśli całkowicie zignorujesz to, co przekazuje ci mózg, zjawisko szybko zanika. Tak właśnie postępuję, gdy chcę zaobserwować efekty wizisonoru na innych. To łatwe.

Położył na instrumencie drobną, poznaczoną żyłami dłoń i pogładził przyciski.

— Czasami myślę, że gdyby można było naprawdę przebadać to urządzenie, powstałaby nowa dziedzina sztuki, symfonie, kompozycje myślowe. W ten sposób zwykłe światło i dźwięk musiałyby ustąpić miejsca innym, pełniejszym doznaniom. Obawiam się jednak, że dla mnie to zbyt trudne zadanie.

— Chciałbym o coś zapytać — wtrącił ostro Biron.

— Ależ proszę.

— Czemu nie wykorzystasz swoich uzdolnień do czegoś poważnego zamiast…

— Marnować je na bezwartościowe zabawki? Nie wiem. A może moje sztuczki są jednak coś warte? To niezgodne z prawem, chyba wiesz…

— Co?

— Wizisonor. I urządzenia podsłuchowe. Gdyby Tyrannejczycy dowiedzieli się o nich, mogłoby to oznaczać dla mnie wyrok śmierci.

— Chyba żartujesz.

— Wcale nie. Od razu widać, że wychowałeś się na dworze wśród hodowców bydła. Młodzi ludzie nie pamiętają już, ja bywało dawniej. — Nagle Gillbret przekrzywił głowę i spojrzał na Birona mrużąc oczy. — Czy jesteś wrogiem Tyrannejczyków i ich okupacji? Możesz mówić szczerze. Ja nie ukrywam, że ich nienawidzę. Podobnie jak twój ojciec.

— I ja — stwierdził spokojnie Biron.

— Dlaczego?

— To obcy, najeźdźcy. Jakie mają prawo rządzić Nefelos czy Rhodią?

— Zawsze tak myślałeś? Biron nie odpowiedział. Gillbret odetchnął głęboko.

— Innymi słowy, zdecydowałeś, że to obcy i najeźdźcy, dopiero gdy stracili twego ojca, postępując zresztą w myśl ich prawa. Daj spokój, nie wściekaj się. Rozważ spokojnie. Wierz mi, jestem po twojej stronie. Pomyśl jednak! Twój ojciec był rządcą. Jakie prawa mieli jego hodowcy? Gdyby jeden z nich ukradł bydło i zatrzymał je albo odsprzedał drugiemu, jaką poniósłby karę? Więzienie za kradzież. Jeśli zaś któryś z nich zorganizowałby zamach na życie twego ojca — z jakichkolwiek pobudek, w jego oczach najszlachetniejszych — co by go spotkało? Oczywiście śmierć. A co upoważniało twego ojca, by ustanawiał prawa i wymierzał kary takim samym jak on istotom ludzkim? Dla nich to on był Tyrannejczykiem.

We własnych czy moich oczach rządca zachowywał się jak przystało na patriotę. Co z tego jednak? Dla Tyrannejczyków był zdrajcą, został wiec usunięty. Czy możesz odmówić komuś prawa do obrony? W swoim czasie Hinriadzi także przelali sporo krwi. Przeczytaj uważnie podręczniki historii, młodzieńcze. Każda władza zabija, taka jest kolej rzeczy.

Znajdź zatem lepszy powód, by nienawidzić Tyrannejczyków. Nie sądź, że wystarczy wymienić jednych władców na drugich; że prosta zmiana może przynieść wolność.

Biron uderzył pięścią w dłoń lewej ręki.

— W porządku, cała ta obiektywna filozofia ma może jakiś sens, zwłaszcza dla kogoś, kto trzyma się na uboczu. Ale co by było, gdyby to tobie zabito ojca?

— Właśnie, co? Mój ojciec był suwerenem przed Hinrikiem. Został zamordowany. Och nie, nie otwarcie. Uczynili to bardzo subtelnie — zniszczyli jego ducha, podobnie jak to teraz czynią z Hinrikiem. Po śmierci ojca nie dopuścili, bym ja został suwerenem:

byłem nieco zbyt nieobliczalny, natomiast Hinrik… wysoki, przystojny i przede wszystkim ustępliwy. Ale i tego im nie dość. Stale go nękają, urabiają jak bezwolną, żałosną kukiełkę, uzależniają go od siebie tak, że nie może się nawet podrapać bez ich zezwolenia. Widziałeś go. Z miesiąca na miesiąc staje się coraz słabszy. Strach, który prześladuje go bez przerwy, powoli przeradza się w stan patologiczny. Ale mimo to — nie dlatego chcę zniszczyć władzę Tyrannejczyków.

— Nie? — spytał Biron. — Wymyśliłeś sobie jakiś nowy powód?

— Raczej zdecydowanie stary. Tyrannejczycy odmawiają dwudziestu miliardom istot prawa do swobodnego uczestniczenia w rozwoju ludzkości. Chodziłeś do szkoły. Nauczono cię zasad postępu ekonomicznego. Po zasiedleniu nowej planety pierwszym celem jest zapewnienie dostatecznej ilości wyżywienia — Gillbret odliczał na palcach kolejne punkty. — Planeta staje się światem rolniczym i pasterskim. Zaczyna wydobywać nie oczyszczone rudy metali na eksport, sprzedaje też za granicę nadwyżkę produktów rolnych, w zamian otrzymując towary luksusowe i maszyny. To drugie stadium rozwoju. Następnie, w miarę wzrostu zaludnienia i rozbudowy inwestycji pozaplanetarnych, rozkwita cywilizacja industrialna — trzecie stadium. Wreszcie świat staje się zmechanizowany, importuje żywność, sprzedaje urządzenia mechaniczne, inwestuje w rozwój bardziej prymitywnych planet, i tak dalej. Czwarte stadium rozwoju.

Wysoko rozwinięte światy są zawsze najgęściej zaludnione, najpotężniejsze — również w sensie militarnym, maszyny bowiem pozwalają prowadzić wojny — i zazwyczaj otoczone strefą podległych im planet rolniczych.

Co jednak stało się z nami? Wkroczyliśmy w trzecie stadium, rozkwitu przemysłu. A teraz? Nasz rozwój został powstrzymany, gorzej — cofnięty siłą. Mógłby bowiem naruszyć kontrolę rynku, która jest w ręku Tyrannejczyków. W tej chwili oni są głównymi dostawcami urządzeń mechanicznych. Jednakże podobne planowanie daje jedynie krótkofalowe zyski, gdyż w końcu eksploatacja zubożonych planet stanie się zupełnie nieopłacalna. Tymczasem jednak zbierają śmietankę.

Poza tym, gdybyśmy sami rozwijali swój przemysł, moglibyśmy skonstruować broń. Zatem industrializacja zostaje zahamowana, a badania naukowe — zakazane. Po pewnym czasie ludzie tak przyzwyczajają się do tego stanu rzeczy, że nawet nie zdają sobie sprawy, iż czegoś im brak. A ty okazujesz zdziwienie słysząc, że za zbudowanie wizisonoru grozi mi kara śmierci.

Oczywiście kiedyś pokonamy Tyrannejczyków. To nieuniknione.

Nie mogą rządzić wiecznie. Nikt nie może. Stracą swoją sprawność i pogrążą się w lenistwie, zaczną zawierać mieszane małżeństwa, przez co utracą sporą część swej odrębności kulturowej.

Rozwinie się korupcja. Ale to może potrwać kilka stuleci, historii bowiem się nie spieszy. My nadal pozostaniemy światem rolniczym, pozbawionym jakiegokolwiek istotnego dziedzictwa naukowo-przemysłowego, podczas gdy nasi sąsiedzi, ci wolni od tyrannejskiej okupacji, będą silni i zurbanizowani. Nasze Królestwa popadną w trwałą zależność od innych. Nigdy im nie dorównają, a my będziemy mogli jedynie przyglądać się wielkiej panoramie ludzkiego postępu.

— To, co mówisz, brzmi jakby znajomo — stwierdził Biron.

— Oczywiście, przecież kształciłeś się na Ziemi. Ziemia zajmuje bardzo szczególną pozycję w hierarchii rozwoju.

— Naprawdę?

— Zastanów się! Od czasu odkrycia podróży międzygwiezdnych w całej Galaktyce bez przerwy odbywa się ludzka ekspansja. Zawsze byliśmy społeczeństwem rozwijającym się, a tym samym — niedojrzałym. Jest rzeczą oczywistą, że ludzie osiągnęli najwyższe stadium rozwoju w jednym miejscu i czasie — na Ziemi tuż przed katastrofą. Tam właśnie powstało społeczeństwo, które w pewnej chwili utraciło jakąkolwiek możliwość ekspansji terytorialnej i przez to musiało stawić czoło problemom takim jak przeludnienie, wyczerpanie zasobów naturalnych, i tak dalej. Podobne kwestie nie pojawiły się nigdzie indziej w Galaktyce.

Ziemianie musieli zająć się naukami społecznymi. My utraciliśmy większą część tej wiedzy, a szkoda. Zabawne — w młodości Hinrik był wielkim prymitywistą. W swojej bibliotece miał niezrównaną kolekcję ziemskich dzieł. Odkąd jednak został suwerenem, porzucił swoje hobby, zresztą wraz z innymi zainteresowaniami. W pewnym sensie jednak ja je kultywuję. Ich literatura, a przynajmniej ocalałe szczątki, jest naprawdę fascynująca. Czuje się w niej niezwykły nastrój zamyślenia, wejrzenia w siebie, całkowicie obcy naszej ekstrawertycznej cywilizacji. To bardzo zabawne.

— Co za ulga — wtrącił Biron. — Tak długo byłeś poważny, że zaczynałem się już obawiać, czy aby nie straciłeś poczucia humoru.

Gillbret wzruszył ramionami.

— Poczułem się bezpieczny, i jest to wspaniałe uczucie. Coś takiego zdarzyło mi się po raz pierwszy od kilku miesięcy. Czy zdajesz sobie sprawę, co oznacza stale grać? Rozmyślnie nie rozstawać się z maską przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nawet w towarzystwie przyjaciół? Nawet w samotności, aby nie wypaść z roli? Być dyletantem? Okazywać wieczne rozbawienie'; Zupełnie się nie liczyć? Tak znakomicie odgrywać żałosnego lekkoducha, że wszyscy, których znasz, są przekonani o twej bezwartościowości. A wszystko po to, by być bezpiecznym, choć jednocześnie oznacza to, iż nie bardzo mam po co żyć. Lecz nawet w tej sytuacji mogę czasami walczyć.

Uniósł wzrok, a w jego głosie zabrzmiała szczera, przejmująca

nuta.

— Potrafisz pilotować statek. Ja nie. Czyż to nie dziwne? Mówisz, że mam zdolności naukowe, a jednak nie umiem kierować choćby jednoosobowym jachtem. A ty to potrafisz. I wynika z tego, że musisz opuścić Rhodię.

— Dlaczego? — spytał chłodno Biron, choć doskonale dosłyszał dźwięczący w tonie starszego mężczyzny błagalny ton.

— Jak już mówiłem — ciągnął pospiesznie Gillbret — rozmawialiśmy o tobie z Artemizją i ustaliliśmy pewien plan. Kiedy stąd wyjdziesz, idź prosto do jej sypialni, ona czeka. Narysowałem ci plan, abyś nie zabłądził w korytarzach — wcisnął Bironowi do ręki mały arkusik metalonu. — Gdyby cię ktoś zatrzymał, powiedz, że zostałeś wezwany przez suwerena, i idź dalej. Jeśli nie okażesz niepokoju, nie będzie żadnych kłopotów…

— Zaczekaj! — przerwał mu Biron. Nie miał zamiaru znów ślepo słuchać czyichś wskazówek. Jonti wysłał go na Rhodię i postawił przed obliczem Tyrannejczyków. Następnie tyrannejski komisarz odesłał go do pałacu, zanim Biron sam zdołał tam dotrzeć bardziej sekretną drogą. Zdany na łaskę i niełaskę bezwolnej marionetki, Biron postanowił, że po raz ostatni pozwolił sobą manipulować. Od tej chwili jego ruchy, nawet najbardziej ograniczone, na przestrzeń i czas, będą jego dziełem. I nie miał zamiaru z tego rezygnować.

— Przybyłem tu z bardzo ważną misją, proszę pana. Nigdzie nie wyjeżdżam.

— Co takiego? Nie bądź idiotą! — przez chwilę Bironowi wydało się, że przemawia do niego stary Gillbret-klown. — Czy sądzisz, że dokonasz tu czegokolwiek? Że po wschodzie słońca wydostaniesz się z pałacu żywy? Hinrik wezwie Tyrannejczyków i w ciągu dwudziestu czterech godzin zostaniesz uwięziony. Na razie jeszcze czeka, ale podjęcie decyzji zawsze zabiera mu sporo czasu. Jest moim kuzynem. Znam go.

— A jeśli nawet, to co cię to obchodzi? — spytał gwałtownie Biron. — Czemu się tak mną interesujesz? — Nie pozwoli sobą kierować. Nigdy więcej nie będzie kukiełką w czyichś rękach.

Gillbret stał nieruchomo, wpatrując się w niego.

— Chcę, żebyś zabrał mnie z sobą. Chodzi mi przede wszystkim o moją osobę. Nie zniosę już dłużej życia we władzy Tyrannejczyków. Gdyby nie to, że ani ja, ani Artemizja nie potrafimy pilotować statku, już dawno opuścilibyśmy to miejsce. Tu chodzi również o nasze życie.

Biron poczuł, że jego niezłomne postanowienie słabnie.

— Córka suwerena? Co ona ma z tym wspólnego?

— Zdaje się. że z nas wszystkich ona jest najbardziej zdesperowana. Udziałem kobiety jest często specjalny rodzaj śmierci. Co może czekać córkę suwerena, dziś młodą, uroczą i niezamężną,

lecz wkrótce młodą, uroczą — i zamężną. Kto w dzisiejszych czasach bywa szczęśliwym panem młodym? Stary, obleśny tyrannejski dworak, który pochował już trzy żony, a teraz pragnie od nowa rozniecić ognie swej młodości w ramionach pięknej dziewczyny.

— Ależ, suweren z pewnością nie dopuściłby do czegoś takiego!

— Suweren dopuści do wszystkiego. Nikt zresztą nie oczekuje jego zgody.

Biron przypomniał sobie swoje spotkanie z Artemizją. Czarne, gładko zaczesane włosy, spadające na ramiona i podwinięte na końcach. Jasna cera, czarne oczy, czerwone usta! Wysoka, młoda, uśmiechnięta. Najprawdopodobniej ten opis odpowiadałby setkom milionów dziewcząt w Galaktyce. To śmieszne, żeby tak na niego działała.

A jednak spytał:

— Czy dysponujecie statkiem.

Nagły uśmiech pomarszczył skórę na twarzy Gillbreta. Zanim jednak padła odpowiedź, rozległo się głośnie pukanie do drzwi. Nie był to cichy szmer komunikatora, lecz gwałtowny, natarczywy głos władzy.

Stukanie powtórzyło się i Gillbret poradził:

— Lepiej otwórz.

Biron posłucha! i do pokoju wkroczyło dwóch umundurowanych gwardzistów. Pierwszy zasalutował Gillbretowi, po czym odwrócił się do Birona.

— Bironie Farrill, w imieniu komisarza pełnomocnego Tyranna i suwerena Rhodii aresztuję pana.

— Pod jakim zarzutem?

— Zdrady stanu.

Po twarzy Gillbreta przemknął wyraz niewypowiedzianego żalu.

— Tym razem Hinrik pospieszył się bardziej, niż oczekiwałem To zabawne!

Był znów starym Gillbretem, uśmiechniętym i obojętnym na sprawy innych. Jego brwi uniosły się lekko, jakby z odrobin; smutku rozważał nieprzyjemne zdarzenie.

— Proszę ze mną — polecił żołnierz i Biron dostrzegł bić neuronowy w jego dłoni.

8. Spódnica damy

Bironowi zaschło w gardle. Mógł pokonać jednego strażnika w równej walce. Wiedział o tym i aż go kociło, żeby wykorzystać szansę. Może nawet w sprzyjających warunkach pokusiłby się o walkę z oboma. Ale oni mieli bicze i nie mógł nawet unieść ręki, natychmiast bowiem zademonstrowaliby mu swoją przewagę. Poddał się psychicznie. Nie miał wyjścia.

Lecz Gillbret powiedział:

— Pozwólcie mu zabrać płaszcz.

Biron ze zdumieniem spojrzał na drobnego człowieczka i porzucił myśl o bezwolnym poddaniu się sytuacji. Obaj wiedzieli, że Biron nie miał płaszcza.

Strażnik, ten z dobytą bronią, z szacunkiem strzelił obcasami, po czym machnął biczem w stronę Birona.

— Słyszałeś, co powiedział książę. Zabieraj swój płaszcz, prędzej!

Biron cofnął się najwolniej, jak mógł. Podszedł do biblioteczki i przykucnął, sięgając za fotel po nie istniejące okrycie. Chwytając palcami pustkę, czekał w napięciu na ruch Gillbreta.

Wizisonor był dla strażników tylko dziwacznym pudełeczkiem z kilkoma przyciskami. Nic dla nich nie znaczyło, że Gillbret delikatnie muska je palcami. Biron z uwagą obserwował wylot lufy bicza. Pozwolił, by ten obraz całkowicie wypełnił mu umysł.

Nie wolno się zdekoncentrować, nic, nawet złudzenie nie może rozproszyć jego myśli.

Ale jak długo jeszcze?

Uzbrojony strażnik powiedział:

— Czy twój płaszcz jest za fotelem? Wstań!

Zrobił niecierpliwy krok do przodu : nagle stanął jak wryty. Jego oczy rozszerzyło zdumienie. Szybko obejrzał się w lewo.

Na to czekał Biron! Wyprostował się i skoczył na strażnika. Pochwycił go za kolana i szarpnął. Strażnik padł z głuchym łoskotem, wielka dłoń Birona zamknęła się na jego ręce trzymającej bicz.

Drugi strażnik wyciągnął swoją broń, ale chwilowo była ona bezużyteczna. Wolną ręką szeroko przecierał przestrzeń przed swoimi oczyma.

Gillbret roześmiał się piskliwie.

— Czy coś nie w porządku, Farrill?

— Nic nie widzę — mruknął — z wyjątkiem tego bicza, który trzymam.

— Dobrze, zatem idź. W żaden sposób nie mogą cię powstrzymać. Ich umysły pełne są nie istniejących dźwięków i obrazów. — Gillbret zszedł z drogi splecionych w walce postaci.

Biron szarpnięciem uwolnił ręce i gwałtownie poderwał się do góry. Uderzył gwardzistę pod żebra. Po twarzy leżącego przebiegł skurcz, a ciało zgięło się wpół. Biron wstał z biczem w ręku.

— Uważaj! — krzyknął Gillbret.

Ale Biron odwrócił się o sekundę za późno. Drugi gwardzista rzucił się na niego w ślepym ataku i przewrócił go na podłogę. Nie sposób było stwierdzić, co widział oszalały żołnierz. Z pewnością nie wiedział nic o Bironie. Dyszał mu prosto w ucho, a z gardła wydobywał mu się charkot.

Biron przekręcił się, chcąc użyć swojej zdobycznej broni i nagle poraził go widok ślepych i pustych oczu, które śledziły jakieś straszliwe wizje, niewidoczne dla nikogo innego.

Szarpnął się całym ciałem, bezskutecznie próbując się uwolnić Trzy razy. Poczuł trzykrotne uderzenie rękojeści bicza gwardzisty w biodro; przy każdym uderzeniu wzdrygał się gwałtownie.

Nagle bełkot żołnierza przeszedł w słowa. Strażnik ryknął:

— Dostanę was wszystkich! — i z bicza trysnęła jasna, niemal niewidoczna struga jonizowanego powietrza. Migotliwy promień zatoczył szeroki łuk, po drodze muskając stopę Birona.

To było niczym kąpiel w płynnym ołowiu. Albo jakby stutonowy blok granitu zmiażdżył mu stopę. Lub odgryzł ją głodny rekin. W rzeczywistości, fizycznie, stopa nie poniosła żadnego uszczerbku. Jedynie maksymalna jednoczesna stymulacja wszystkich zakończeń nerwowych spowodowała ból, którego nie zdołałby wywołać nawet płynny ołów.

Krzyk bólu poraził gardło jak ogień. Biron bezwładnie osunął się na podłogę. Nie dotarło do niego, że walka już się skończyła. Czuł tylko wszechogarniający ból.

Lecz choć Biron jeszcze o tym nie wiedział, uchwyt gwardzisty osłabł i kiedy po kilku minutach młodzieniec zdołał wreszcie otworzyć oczy i otrzeć łzy, ujrzał swego przeciwnika wspartego o ścianę i odpychającego od siebie coś niewidzialnego. Strażnik chichotał cicho. Drugi gwardzista nadal leżał na plecach, z szeroko rozłożonymi rękami i nogami. Był przytomny, lecz milczał. Jego oczy obserwowały coś w powietrzu, ciałem wstrząsało lekkie drżenie. Na usta wystąpiła mu piana.

Biron z trudem wstał. Kulejąc, podszedł do ściany i użył rękojeści bicza. Strażnik opadł na podłogę. Jego kolega również się nie bronił. Oczy gwardzisty wędrowały bez przerwy, póki nie stracił świadomości.

Biron usiadł i roztarł stopę. Zdjął but i skarpetkę i ze zdumieniem obejrzał nie naruszoną skórę. Przejechał po niej palcem i jęknął, czując ostre pieczenie. Uniósł wzrok. Gillbret zdążył już odłożyć wizisonor i w zamyśleniu pocierał wierzchem dłoni policzek.

— Dziękuję za pomoc — powiedział Biron. — Gdyby nie twój instrument…

Gillbret wzruszył ramionami.

— Za chwilę zjawią się kolejni. Biegnij do pokoju Artemizji. Proszę cię! Spiesz się!

Biron uświadomił sobie, że rada brzmi sensownie. Ból w stopie nieco ucichł, sprawiała jednak wrażenie spuchniętej. Włożył skarpetkę i wsunął but pod pachę. Miał już jeden bicz, a teraz odebrał gwardziście drugi i wetknął go niedbale za pas.

Już w drzwiach odwrócił się i spytał z nutką odrazy w glosie:

— Co oni właściwie zobaczyli?

— Nie wiem. Nie potrafię tego kontrolować. Włączyłem po prostu pełną moc, a reszta to sprawa ich własnych kompleksów. Proszę, nie stój tak. Czy masz plan drogi do sypialni Artemizji?

Biron skinął głową i ruszył korytarzem w dół. Wokół było pusto. Nie mógł iść zbyt szybko, natychmiast bowiem zaczynał się zataczać.

Zerknął na zegarek i przypomniał sobie, że jakoś do tej pory nie zdołał nastawić go na lokalny czas Rhodii. Chronometr nadal wskazywał standardowy czas międzygwiezdny, który obowiązywał na statkach i w którym godzina trwała sto minut, a doba tysiąc. Toteż połyskująca różowym blaskiem na metalowej tan liczba 876 nie znaczyła dokładnie nic.

Musiał jednak chyba być już środek nocy, czy też okresu snu (jeśli na tej planecie się nie pokrywały). Inaczej, korytarze byłyby pełne ludzi, a fosforyzujące płaskorzeźby na ścianach nie świeciłyby tak jasno. Przechodząc, dotknął jednej, przedstawiającej sceny koronacji, i odkrył, że jest dwuwymiarowa. Iluzja trójwymiarowości była jednak znakomita.

Na tyle znakomita, że przystanął na chwilę, aby przyjrzeć się dokładniej. Szybko jednak, pomny swej niewesołej sytuacji pospieszył dalej.

Panująca w korytarzach pustka uderzyła go jako jeszcze je‹ objaw upadku Rhodii. Teraz, jako buntownik, był bań wyczulony na podobne oznaki. Jako serce niepodległego królesi pałac byłby zawsze pełen wartowników i nocnych stróżów.

Przyjrzał się odręcznemu planowi Gillbreta i skręcił w prawo, wspinając się po szerokiej, zakrzywionej pochylni. Kiedyś może maszerowały tędy całe procesje, po których teraz nie pozostał żaden ślad.

Oparł się o właściwe drzwi i dotknął fotosygnalizatora. Drzwi uchyliły się, a potem otworzyły.

— Wejdź, młody człowieku.

To była Artemizja. Biron wśliznął się do środka, a drzwi zasunęły się za nim bezszelestnie. Bez słowa spojrzał na dziewczynę. Nagle ze

wstydem uświadomił sobie, że ma rozdartą na ramionach koszulę, jeden rękaw zwisa bezwładnie, całe ubranie pokrywa warstwa brudu, a twarz nosi ślady walki. Przypomniał sobie o bucie, który dalej ściskał pod pachą. Puścił go na podłogę i z trudem wsunął stopę.

— Czy mogę usiąść?

Wraz z nim podeszła do krzesła, ale stanęła obok.

— Co się stało? — spytała z lekkim zniecierpliwieniem. — Co z twoją nogą?

— Trochę ją uszkodziłem — odparł krótko. — Czy jesteś gotowa do drogi?

— A zatem zabierzesz nas? — jej twarz rozpromieniła się.

Biron jednak nie był w radosnym nastroju. Stopa nadal pulsowała boleśnie, więc zaczął ją masować.

— Słuchaj, zaprowadź mnie na statek. Zwiewam z tej przeklętej planety. Jeśli chcesz się zabrać, zapraszam.

— Mógłbyś być nieco bardziej uprzejmy — Artemizja zmarszczyła brwi. — Walczyłeś z kimś?

— Owszem. Z gwardzistami twojego ojca, którzy chcieli mnie aresztować pod zarzutem zdrady stanu. To tyle, jeśli idzie o moje prawo azylu.

— Och! Tak mi przykro!

— Mnie również, Nic dziwnego, że Tyrannejczycy mogą rządzić ponad pięćdziesięcioma światami, dysponując zaledwie garstką ludzi. My im pomagamy. Tacy ludzie jak twój ojciec uczynią wszystko, byle tylko zachować władzę. Sprzeniewierzą się nawet podstawowym obowiązkom szlachectwa. Zresztą mniejsza z tym.

— Powiedziałam już, że mi przykro, mości rządco. — Jego tytuł wymówiła chłodnym, wyniosłym tonem. — Nie sądź. proszę, mojego ojca. Nie znasz wszystkich faktów.

— Nie ma sensu bawić się w dyskusje. Musimy uciekać, zanim zjawią się kolejni wspaniali gwardziści twego ojca. W porządku… nie chciałem cię urazić. Już dobrze — rozdrażnienie brzmiące w głosie Birona odebrało wszelki sens tym przeprosinom, ale w końcu nigdy przedtem nikt nie smagnął go biczem neuronowym, a doświadczenie to wcale nie było zabawne. Poza tym, na przestrzeń, powinni byli zapewnić mu azyl. Przynajmniej to.

Artemizja nie mogła oprzeć się złości. Nie na ojca oczywiście, na tego głupca. Młodzik! Prawie dzieciak, pomyślała, niewiele starszy od niej, jeśli w ogóle.

Nagle zahuczał komunikator.

— Zaczekaj chwilę — powiedziała ostro. — Zaraz ruszamy. To był Gillbret. Jego głos brzmiał bardzo słabo.

— Arta? Czy wszystko w porządku?

— Już tu jest — szepnęła.

— Dobrze. Nic nie mów. Słuchaj uważnie. Nie wychodź z pokoju. Jego też zatrzymaj. Niedługo zaczną przeszukiwać pałac i nie zdołamy ich powstrzymać. Spróbuję coś wymyślić, lecz tymczasem nie ruszajcie się ani na krok. — Nie czekał na odpowiedź. Połączenie urwało się.

— A więc tak się rzeczy mają — stwierdził Biron, który również słyszał rozmowę. — Czy powinienem zostać, przysparzając ci kłopotów, czy też mam od razu oddać się w ręce gwardzistów? Wygląda na to, że nie mogę oczekiwać azylu na Rhodii.

Artemizja stanęła przed nim i wykrzyczała wściekłym, stłumionym szeptem.

— Zamknij się, ty obrzydliwy, bezmierny głupcze!

Spoglądali na siebie ze złością. Słowa dziewczyny dotkliwie zraniły Birona. W pewnym sensie starał się przecież jej pomóc. Dlaczego miała go obrażać?!

— Przepraszam — powiedziała i odwróciła wzrok.

— Nie ma za co — odparł zimno. — Masz prawo do swej opinii.

— Nie powinieneś mówić takich rzeczy o moim ojcu. Nie wiesz, co to znaczy być suwerenem. Cokolwiek o nim myśli wiele zrobił dla ludzi.

— O tak, jasne. Musiał mnie wydać Tyrannejczykom dla dobra swego ludu. To logiczne.

— Żebyś wiedział. W ten sposób zademonstrował im swą lojalność. Inaczej mogliby usunąć go i przejąć bezpośrednie rządy nad Rhodią. Czy to byłoby lepsze?

— Jeśli szlachetnie urodzony nie może uzyskać azylu…

— Myślisz tylko o sobie. W tym cała rzecz.

— Nie sądzę, aby to, że chcę jeszcze trochę pożyć, było szczególną oznaką samolubstwa. Jeśli mam umrzeć, chciałbym przynajmniej wiedzieć za co. Zanim odejdę, zamierzam walczyć Mój ojciec też z nimi walczył. — Zdał sobie sprawę, że zaczyna popadać w ton melodramatyczny, ale to ona tak na niego działa.

— I co mu to dało?

— Chyba nic. Został zamordowany.

Artemizja była nieszczęśliwa.

— Powiedziałam już, że jest mi przykro, i mówiłam szczerze. Przepraszam. — Po chwili, jakby na swą obronę, dodała: — Ja także jestem w kłopotach.

— Tak, wiem. No dobrze, zacznijmy od początku. — Spróbował się uśmiechnąć. Jego stopa była już w znacznie lepszym stanie.

— W gruncie rzeczy nie jesteś brzydki — stwierdziła Artemizja nienaturalnie lekkim tonem.

Biron poczuł się niezręcznie.

— No cóż…

Nagle urwał, a Artemizja przycisnęła dłoń do ust. Oboje odwrócili

głowy ku drzwiom.

Z korytarza dobiegł niespodziewany odgłos wielu rytmicznych kroków, łomoczących głucho na sprężystej plastikowej mozaice. Większość minęła pokój, lecz tuż przed drzwiami rozległ niegłośny, charakterystyczny stukot obcasów. Nocny sygnalizator zamruczał cicho.

Gillbret musiał działać szybko. Przede wszystkim należało ukryć wizisonor. Pierwszy raz pożałował, że nie dysponuje lepszym schowkiem. Przeklęty Hinrik! Że też akurat tym razem tak szybko podjął decyzję, nie zaczekał do rana. Gillbret chciał uciec za wszelką cenę — może już nigdy nie nadarzy się taka szansa.

Wezwał kapitana gwardii. Nie mógł przecież zlekceważyć sprawy dwóch nieprzytomnych strażników i zbiegłego więźnia.

Kapitan wysłuchał jego słów z ponurą miną. Kazał zabrać gwardzistów, po czym stanął przed Gillbretem.

— Książę, z pańskiej relacji nie do końca pojąłem, co zaszło.

— Dokładnie to, co pan widzi — odrzekł Gillbret. — Przyszli tu, aby go aresztować, a ów młodzieniec stawił opór. Teraz uciekł, przestrzeń wie dokąd.

— To nieważne. Dziś wieczór pałac zaszczyciła swą obecnością pewna osobistość, toteż pomimo późnej godziny cały budynek jest dobrze strzeżony. Uciekinier nie zdoła się wydostać i wkrótce wpadnie w nasze sieci. Jak jednak w ogóle udało mu się uciec? Moi ludzie byli uzbrojeni, on — nie.

— Walczył jak lew. Ukryłem się za tym fotelem i stąd…

— Przykro mi, książę, że nie zechciał pan wspomóc żołnierzy w walce ze zdrajcą.

Gillbret spojrzał na niego z wyniosłą pogardą.

— Cóż za zabawny pomysł, kapitanie. Jeśli pańscy ludzie, uzbrojeni i mający przewagę liczebną, potrzebują mojej pomocy, to chyba czas zatrudnić nowych gwardzistów.

— Dobrze więc! Przeszukamy pałac, znajdziemy go i zobaczymy, czy uda mu się powtórzyć tę magiczną sztuczkę.

— Zamierzam wam towarzyszyć. Tym razem to kapitan uniósł brwi.

— Nie radziłbym, książę. To może być niebezpieczne.

Nie zdarzało się, aby ktoś ośmielił się powiedzieć coś takiego w obecności któregoś z Hinriadów. Gillbret zdawał sobie z tego sprawę, lecz w odpowiedzi uśmiechnął się tylko. Jego pociągłą twarz pokryła sieć wesołych zmarszczek.

— Wiem — powiedział — ale czasem niebezpieczeństwo też może być zabawne.

Po pięciu minutach oddział gwardii był już gotowy. W tym czasie

Gillbret, sam w swoim pokoju, wywołał Artemizję.

Słysząc pomruk sygnalizatora Biron i Artemizja zamarli. Dzwonek odezwał się ponownie, po czym rozległo się ostrożne stukanie do drzwi. Nagle przemówił Gillbret.

— Kapitanie, ja spróbuję. — Po czym głośniej: — Artemizjo!

Biron uśmiechnął się z ulgą i ruszył w stronę drzwi, dziewczyna jednak błyskawicznie zakryła mu usta dłonią. Zawołała:

— Chwileczkę, stryju! — i rozpaczliwym gestem wskazała mu ścianę.

Biron patrzył, niczego nie pojmując. Ściana była zupełnie gładka. Artemizja ze znaczącą miną przyłożyła do niej dłoń. Nagle część ściany odsunęła się bezszelestnie, ukazując garderobę.

— Wchodź! — wyszeptały bezdźwięcznie usta dziewczyn podczas gdy jej dłonie manipulowały ozdobną broszką na prawym ramieniu. Gdy ją odpięła, wyłączyła tym samym niewielkie po siłowe, zamykające niewidoczny szew na plecach sukni. Pospiesznie zrzuciła ubranie.

Zanim ściana garderoby zamknęła się za Bironem, zdołał jeszcze zauważyć, jak Artemizja zarzuca na ramiona ozdobiony białym futrem szlafrok. Szkarłatną suknię cisnęła niedbale na krzesło.

Rozejrzał się wokół. Ciekawe, czy przeszukają pokój Artemizji. W takim przypadku byłby zupełnie bezsilny. Garderoba miała tylko jedno wyjście — wprost do sypialni, a wewnątrz nie by nic, co mogłoby posłużyć za schronienie.

Wzdłuż jednej ściany wisiał rząd sukien, otoczony warstwą leciutko migoczącego powietrza. Biron z łatwością przesunął przez nie dłoń, czując jedynie łaskotanie. Pole to miało, rzecz jasna, jedynie zatrzymywać kurz, tak aby chroniona przestrzeń pozostawała klinicznie czysta.

Mógłby ukryć się pod spódnicą. W pewnym sensie zresztą j to uczynił. Z pomocą Gillbreta pokonał w walce dwóch gwardzistów, dostał się tu, by schronić się pod damską spódnicą.

Nagle pożałował, że ściana garderoby nie zasunęła się trochę później, bo Artemizja miała naprawdę wspaniałą figurę. Zachował się jak idiota. Nie powinien tak się na nią wściekać. Nie można winić córki za grzechy ojca.

Teraz mógł już tylko czekać, spoglądając przed siebie martwy wzrokiem — czekać na odgłos kroków w pokoju, na ponów ruch ściany, na wymierzoną w siebie broń. Tyle że tym razem i pomoże mu już żaden wizisonor.

Czekał więc, trzymając bicze w dłoniach.

9. I spodnie władcy

I co chodzi? — Artemizja nie musiała udawać zaniepokojenia. Skierowała swoje słowa do Gillbreta, który stał w drzwiach wraz kapitanem gwardii. Z tym, w stosownej odległości, czekało sszcze kilku żołnierzy. — Czy coś z ojcem?

— Nie, nie — uspokoił ją Gillbret. — Nie zaszło nic, co by dotyczyło ciebie. Spałaś?

— Prawie — odparła. — A pokojówki zwolniłam już parę godzin temu. Toteż sama musiałam otworzyć drzwi. Wystraszyliście mnie śmiertelnie.

Nagle odwróciła się do oficera i spytała ostro:

— Co was do mnie sprowadza, kapitanie? Proszę mówić szybko. Nie jest to właściwa pora na wizyty.

Zanim kapitan zdołał otworzyć usta, znów odezwał się Gillbret.

— Zaszło coś bardzo zabawnego. Ten młody człowiek, jak mu tam — no wiesz — wyrwał się na wolność, rozbijając po drodze parę głów. Teraz my polujemy na niego. Jeden pluton na jednego zbiega. Ja również włączyłem się w tę akcję, aby nasz kapitan mógł w pełni docenić moją odwagę i zaangażowanie.

Artemizji udało się przybrać zupełnie nieprzytomny wyraz twarzy. Kapitan mruknął pod nosem coś bardzo niestosownego. Jego wargi ledwie się poruszyły. Następnie dodał głośno:

— Przepraszam, panie, lecz chyba nie wyrażasz się dostatecznie jasno, a po za tym i tak zbyt długo już tu marudzimy. Mężczyzna, który podaje się za syna byłego rządcy Widemos, został zatrzymany pod zarzutem zdrady stanu. Zdołał uciec i obecnie przebywa na swobodzie. Musimy przeszukać pałac, pokój za pokojem. Artemizja cofnęła się, marszcząc brwi.

— Moją sypialnię także?

— Jeśli Wasza Wysokość pozwoli.

— Nie, nie pozwolę. Gdyby w moim pokoju znajdował się obcy mężczyzna, niewątpliwie wiedziałabym o tym. A sugestie jakobym zadawała się z kimś takim, czy w ogóle jakimkolwiek mężczyzną o tej porze nocy, są wysoce obraźliwe. Proszę kapitanie, aby zechciał pan pamiętać, kim jestem.

Jej słowa odniosły zamierzony skutek. Gwardziście pozostało tylko ukłonić się i powiedzieć:

— Nie zamierzałem sugerować niczego podobnego. Wasza Wysokość. Proszę o wybaczenie, że zakłóciliśmy spokój o tak późnej porze. Samo oświadczenie, że nie widziała pani żadnego zbiega, rzecz jasna, wystarczy. W tych okolicznościach wydawało mi się jednak konieczne upewnić co do pani bezpieczeństwa. Te człowiek jest

bardzo groźny.

— Z pewnością nie tak groźny, byście nie zdołali go pokonać. Do rozmowy ponownie włączył się wysoki głos Gillbreta.

— Chodźmy już, kapitanie. Podczas gdy pan wymienia uprzejmości z moją bratanicą, nasz uciekinier zdążył już zapewne włamać się do zbrojowni. Proponowałbym, aby zostawił pan kogoś na straży przy drzwiach pani Artemizji, by nic już nie zakłóciło jej dalszego snu. Chyba że, moja droga — pstryknął palcami w stronę Artemizji — chciałabyś do nas dołączyć.

— Dziękuję — odparła chłodno — ale będę zadowolona, gdy dokładnie zamknę drzwi i wrócę do łóżka.

— Niech pan wybierze kogoś rosłego! — krzyknął Gillbret. O, ten będzie dobry. Zauważ, Artemizjo, jakie ładne mundury i nasza gwardia. Już z daleka można rozpoznać gwardzistę po stroju.

— Panie — wtrącił niecierpliwie kapitan — nie mamy czasu. Musimy ruszać dalej.

Na jego skinienie jeden z żołnierzy odłączył się od plutonu, zasalutował Artemizji przez zamykające się drzwi, a pot kapitanowi. Po chwili odgłos równych, rytmicznych krok oddalił się w obie strony korytarza.

Artemizja odczekała chwilę, po czym cichutko odsunęła drzwi na parę centymetrów. Gwardzista stał na posterunku na szeroko rozstawionych nogach, prawa ręka uzbrojona, lewa — na przycisku alarmowym. Był to ten sam gwardzista, którego wybrał Gillbret. Wysoki jak Biron z Widemos, choć nie tak szeroki w ramionach.

W tej chwili przez głowę przemknęła jej myśl, że Biron, choć młody i może niezbyt rozsądny, był jednak rosły i dobrze obudowany, co nie było bez znaczenia. To nie było mądre, że potraktowała go tak ostro. Był też dość przystojny.

Zamknęła drzwi i skierowała się w stronę garderoby.

Na dźwięk odsuwających się drzwi Biron napiął mięśnie, wstrzymał oddech, a jego palce zesztywniały. Artemizja spojrzała na jego bicze.

— Uważaj!

Odetchnął z ulgą i wsunął oba do kieszeni. Nie było to zbyt wygodne, nie miał jednak odpowiednich olstrów.

— To na wypadek, gdyby ktoś mnie tu szukał.

— Wychodź. I mów szeptem.

Miała na sobie nocną szatę z gładkiej, nie znanej Bironowi tkaniny, ozdobioną małymi kępkami srebrzystego futra. Dzięki lekkiej elektryzacji materiału szata bez żadnych guzików, haftek, zatrzasków, wiązań czy zaszewek przylegała do ciała Artemizji, uwydatniając linie jej figury.

Biron poczuł, jak czerwienieją mu uszy i uczucie to bardzo mu się podobało.

Artemizja odczekała chwilę, po czym zatoczyła palcem krąg w powietrzu i powiedziała.

— Czy mógłbyś…

Biron spojrzał na nią ze zdumieniem.

— Co takiego? Och, przepraszam.

Odwrócił się i stanął sztywno, zasłuchany w cichy szelest ubrań. Nie przyszło mu nawet na myśl zastanawiać się, dlaczego nie korzystała z garderoby lub nie przebrała się, zanim ją otworzyła, o były tajniki kobiecej psychiki, która niełatwo poddaje się analizie, zwłaszcza gdy komuś brakuje niezbędnego doświadczenia.

Kiedy się odwrócił, Artemizja miała na sobie czarny dwuczęściowy kostium, który sięgał jej zaledwie do kolan. Był to solidny strój stosowany raczej na wycieczki niż do sali balowej.

— Wychodzimy? — spytał Biron bezwiednie. Potrząsnęła głową.

— Najpierw musisz jeszcze coś załatwić. Ty także potrzebujesz innego stroju. Stań tu z boku przy drzwiach, a ja zawołam strażnika.

— Jakiego strażnika? Artemizja uśmiechnęła się lekko.

— Zgodnie z sugestią stryja Gila zostawili na straży gwardzistę.

Prowadzące na korytarz drzwi przesunęły się gładko w prowadnicy. Żołnierz stał nadal, sztywny i nieruchomy.

— Hej, ty — szepnęła Artemizja. — Chodź tu, szybko. Gwardzista bez namysłu usłuchał polecenia córki suweren;

Wkroczył do pokoju, mówiąc:

— Do usług Waszej Wysokości… — i nagle kolana żołnierz ugięły się pod spadającym mu na ramiona ciężarem, ręka zaś, miażdżąc tchawicę, skutecznie ucięła dalsze słowa.

Artemizja pospiesznie zasunęła drzwi i obserwowała walk z uczuciem bliskim mdłości. Życie w pałacu Hinriadów płynęło spokojnym, niemal leniwym nurtem, i nigdy jeszcze nie widziała niczyjej nabiegłej krwią, posiniałej twarzy o ustach desperacko próbujących chwytać powietrze. Odwróciła wzrok.

Biron obnażył zęby z wysiłku, zaciskając pętlę mięśni i kości wokół szyi strażnika. Przez chwilę słabnące ręce gwardzisty bezskutecznie szarpały jego ramie, a stopy zadawały ślepe ciosy w próżnię. Biron nie rozluźniając uchwytu, opuszczał wiotczejące ciało na podłogę.

Wreszcie ręce żołnierza opadły na boki, nogi zwisły bezwładnie, a konwulsyjne ruchy klatki piersiowej w bezsilnych próbach zaczerpnięcia oddechu poczęły słabnąć. Biron ostrożnie złożył na posadzce ciało, które opadło miękko, niczym nagle opróżniony worek.

— Czy on nie żyje? — wyszeptała przerażona Artemizja.

— Nie sądzę. Żeby zabić dorosłego mężczyznę, trzeba czterech

pięciu minut. Ale przez pewien czas będzie nieprzytomny. Czy masz coś, czym można by go związać?

Potrząsnęła głową. Czuła się zupełnie bezradna.

— Musisz mieć choćby parę pończoch z cellitu. Znakomicie się nadadzą — zdążył już pozbawić strażnika odzienia i broni. — Chciałbym też się umyć. Chyba to nawet konieczne.

Przyjemnie było poddać się wpływowi oczyszczającej mgiełki w łazience Artemizji. Co prawda, czuł się teraz stanowczo zbyt wyperfumowany, ale miał nadzieję, że świeże powietrze szybko pozbawi go wszelkiej woni. Był przynajmniej czysty, a to za sprawą krótkiego przejścia przez drobniutkie, wiszące w powietrzu krople, które przemknęły wokół niego niesione silnym, ciepłym podmuchem. Nie trzeba nawet suszarni, łazienkę bowiem opuszczało się nie tylko czystym, ale też całkiem suchym. Nie mieli tego na Widemos, ani na Ziemi.

Mundur gwardzisty był trochę przyciasny i Bironowi niezupełnie odpowiadał sposób, w jaki brzydka, stożkowata czapka wojskowa siedziała na jego krągłej głowie. Z niesmakiem przyjrzał się swemu odbiciu.

— Jak wyglądam?

— Zupełnie jak żołnierz — odparła Artemizja.

— Będziesz musiała zabrać jeden bicz. Nie dam sobie rady z trzema.

Ujęła broń w dwa palce i wrzuciła ją do torebki, zawieszonej na szerokim pasku za pomocą mikropola, dzięki czemu ręce miała zawsze wolne.

— Lepiej już chodźmy. Jeśli kogoś spotkamy, nie odzywaj się ani słowem. Ja będę mówić. Masz zły akcent, a zresztą rozmowa w mojej obecności byłaby bardzo niegrzeczna. Chyba że ktoś zwróciłby się wprost do ciebie. Pamiętaj! Jesteś zwykłym żołnierzem.

Gwardzista na podłodze zaczynał się ruszać i mrugać oczami. Przeguby jego rąk i kostki nóg zostały spętane i związane w tyle pończochami, które były wytrzymalsze niż najsilniejsza stalowa lina. Język poruszał się pod kneblem.

Biron odsunął go na bok. tak aby skrępowane ciało nie blokowało dojścia do drzwi.

— Tędy — szepnęła Artemizja.

Za pierwszym zakrętem usłyszeli z tyłu kroki i na ramię Birona opadła lekka dłoń.

Biron błyskawicznie odskoczył w bok i odwrócił się. jedną ręką chwytając przegub intruza. W drugiej trzymał gotowy do użytku bicz.

Okazało się jednak, że był to tylko Gillbret.

— Spokojnie, człowieku! — powiedział i Biron zwolnił uchwyt. Gillbret roztarł rękę.

— Czekałem na was, nie jest to jednak powód, by łamać mi kości. Pozwól, Farrill, niech ci się przyjrzę. Mundur wygląda, jakby nieco zbiegł się w praniu, ale poza tym całkiem nieźle, całkiem nieźle. W tym stroju nikt nawet na ciebie nie spojrzy. Na tym polega podstawowa korzyść z posiadania munduru. Wszyscy uznają za oczywiste, że wojskowy mundur okrywa żołnierza, a nie kogoś innego.

— Stryju Gil — szepnęła naglące Artemizja. — Nie mów tak dużo. Gdzie inni gwardziści?

— Człowiek powie kilka słów, a wszyscy zaraz się denerwują — mruknął z irytacją Gillbret. — Pozostali żołnierze wspinają się właśnie na wieżę. Zdecydowali, że nasz przyjaciel opuścił niższe poziomy, toteż pozostawili zaledwie kilku ludzi na głównych wyjściach i na pochylniach. Uruchomili też ogólny system alarmowy. Przedostaniemy się bez problemów.

— A czy nie zauważą pańskiej nieobecności? — spytał Biron.

— Mojej nieobecności? Ha! Kapitan mimo swego pozornie pełnego szacunku zachowania bez wątpienia ucieszył się, gdy go opuściłem. Nie będą mnie szukać, to pewne.

Rozmawiali szeptem, teraz jednak ich głosy ostatecznie umilkły. Przy pochylni stał gwardzista, dwóch innych pilnowało wielkich rzeźbionych drzwi, które prowadziły na zewnątrz.

— Czy są jakieś wieści o zbiegłym więźniu?! — zawołał Gillbret.

— Nie, panie — odparł najbliższy strażnik, po czym stuknął obcasami i zasalutował.

— Cóż, miejcie oczy szeroko otwarte. — Przeszli obok żołnierzy i przez drzwi, gdy jeden z gwardzistów ostrożnie zneutralizował odpowiednią część obwodu alarmowego.

Na dworze panowała noc. Niebo było czyste, gwiazdy świeciły jasno i tylko poszarpana plama ciemnej Mgławicy przesłaniała srebrzyste iskierki tuż nad horyzontem. Czarna bryła pałacu pozostała za nimi, a port leżał prawie kilometr stąd.

Lecz po pięciu minutach wędrówki bezludną dróżką Gillbret zaczął się niepokoić.

— Coś jest nie tak — powiedział.

— Stryju, nie zapomniałeś chyba przygotować statku? — spytała Artemizja.

— Oczywiście, że nie — warknął, o ile można warknął szeptem. — Ale dlaczego na wieży portu pali się światło? Powinno być ciemno.

Wskazał ręką wznoszącą się za drzewami wysoką budowlę, której okna płonęły białym blaskiem. Zazwyczaj oznaczało to, że w porcie coś się dzieje: jakiś statek ląduje lub przygotowuje do startu.

— Na dzisiejszą noc rozkład nie przewidywał żadnego lotu. Sprawdzałem — mruczał Gillbret do siebie.

I nagle ujrzeli odpowiedź, a przynajmniej dostrzegł ją Gillbret.

Przystanął i szeroko rozłożył ręce, zagradzając drogę podążaj; za nim parze.

— To koniec — oznajmił i roześmiał się nerwowo. W jego głosie zabrzmiała histeria. — Tym razem Hinrik naprawdę wszystko zepsuł. Idiota! To oni! Tyrannejczycy! Nie rozumiecie? To prywatny krążownik Aratapa!

Biron zobaczył go — smukły statek, połyskujący lekko w blasku portowych świateł, wyraźnie różniący się od innych pojazdów. Był gładszy, zgrabniejszy, sprawiał wrażenie kota wśród bezbronnych myszy.

— Kapitan mówił, że dzisiejszej nocy w pałacu podejmują jakąś „osobistość", ale ja nie zwróciłem na to uwagi. Teraz już nic nie możemy zrobić. Nie sposób walczyć z Tyrannejczykami.

Biron poczuł, jak nagle coś w nim pęka.

— A dlaczego? — spytał gwałtownie. — Czemu nie możemy nimi walczyć? Nie mają cienia powodu, by cokolwiek podejrzewać, a my jesteśmy uzbrojeni. Posłużymy się statkiem komisarza, a jego zostawimy ze spuszczonymi spodniami.

Ruszył naprzód, opuszczając względną osłonę drzew, i wyszedł wprost na otwartą przestrzeń. Artemizja i Gillbret pomaszerowali i nim. Nie mieli powodów, żeby się kryć. Byli członkami królewskiej rodziny, spacerującymi pod eskortą gwardzisty.

Tyle że teraz będą musieli stawić czoło Tyrannejczykom.

Wiele lat temu, kiedy po raz pierwszy zobaczył zespół pałacowy Rhodii, Simok Aratap z Tyranna był naprawdę pod wrażeniem. Wkrótce okazało się jednak, że pod imponującą skorupą kryje się zmurszały zabytek. Dwa pokolenia wcześniej zbierały się tu władze ustawodawcze Rhodii, a większość wyższych przedstawicieli administracji miała tu swe biura. Główny zespół pałacowy stanowił serce kilkunastu światów.

Teraz jednak Rada Ustawodawcza (która istniała nadal, chan bowiem nigdy nie ingerował w miejscowy system władzy) zbierała się raz do roku, aby zatwierdzić przepisy wykonawcze z ostatnich dwunastu miesięcy. Była to czysta formalność. Rada Wykonawcza wciąż — nominalnie — prowadziła nieustające obrady, lecz jej członkowie przebywali na ogół w swych majątkach, bardzo rzadko spotykając się na kolejnej sesji. Biura administracji działały nadal, bez nich bowiem nie da się rządzić, niezależnie od tego, czy u steru stoi suweren, czy chan, lecz ich siedziby rozrzucono o całej planecie, tak aby stały się mniej zależne od dawnego chana i świadome potęgi nowego.

Pałac pozostał majestatyczną budowlą z kamienia i metalu, i niczym więcej. Był teraz siedzibą rodziny suwerena, grupki służby,

ledwie wystarczającej do utrzymania porządku, i zdecydoowanie za małego oddziału miejscowej gwardii.

Aratap czuł się nieswojo. Było późno, nękało go zmęczenie, piekące oczy wołały o uwolnienie ich od szkieł kontaktowych. Przede wszystkim jednak czuł rozczarowanie.

Cała ta historia nie układała się w żadną logiczną całość. Od czasu do czasu zerkał na swego wojskowego zastępcę, major jednak ze stoickim, wystudiowanym spokojem słuchał gadaniny suwerena. Sam Aratap nie zwracał specjalnej uwagi na słowa Hinrika.

— Syn Widemosa? Naprawdę? — rzucił z roztargnieniem. A po chwili: — I aresztowaliście go? Zupełnie słusznie.

Wszystko to jednak nie miało dla niego znaczenia, wydarzenia bowiem nie układały się w spójny wzór. Zdyscyplinowany umysł Aratapa nie mógł znieść myśli, że poszczególne fakty mogą stanowić nie uporządkowany zbiór, nie wiążą się w jedność.

Widemos był zdrajcą, a jego syn usiłował skontaktować się z suwerenem Rhodii. Z początku próbował dotrzeć do niego w tajemnicy, gdy jednak jego wysiłki zawiodły, wymyślił całą tę śmieszną historię spisku, byle tylko zobaczyć się z Hinrikiem. Zaiste powodujący nim impuls musiał być niezwykle naglący. Z pewnością tu właśnie wszystko się zaczynało.

A teraz wszystkie domysły legły w gruzach. Hinrik pozbywał się chłopaka z wręcz nieprzyzwoitym pośpiechem. Nie mógł nawet doczekać ranka. To nie pasowało do sytuacji. Albo Aratap nie poznał jeszcze wszystkich faktów.

Ponownie skupił uwagę na postaci suwerena. Hinrik zaczynał się powtarzać. Aratapa ogarnęła nagła fala współczucia. Władca Rhodii przez ostatnie lata stał się do tego stopnia tchórzliwy, że nawet Tyrannejczycy powoli tracili do niego cierpliwość. A przecież była to jedyna droga. Tylko strach zapewniał całkowitą lojalność. Strach i nic poza tym.

Widemos nie bał się i mimo że jego własny interes nieodwracalnie wiązał go z Tyrannejczykami, zbuntował się. Hinrik natomiast bał się bezustannie. Taka była między nimi różnica.

I ponieważ władał nim strach, siedział teraz przed nimi, bełkocząc coś niezrozumiale, starając się uzyskać choćby gest aprobaty. Aratap doskonale wiedział, że major nigdy nie uczyni podobnego gestu. Jego zastępca był pozbawiony wyobraźni. Aratap westchnął, żałując, że on sam nie jest do niego podobny. Polityka to paskudny interes.

— Oczywiście — powiedział z lekkim ożywieniem — doceniam waszą błyskawiczną decyzję i oddanie chanowi. Z pewnością pochwali wasze działanie.

Hinrik wyraźnie się rozpromienił i odprężył.

— A teraz każcie przyprowadzić tu tego kogucika. Zobaczmy, co

ma do powiedzenia — Aratap z trudem opanował ziewnięcie. Zupełnie nie był ciekaw, co mógł powiedzieć ów „kogucik".

Hinrik miał właśnie wezwać kapitana gwardii, nie było jednak takiej potrzeby, ponieważ nie poprzedzony żadną zapowiedzią oficer stał już w drzwiach.

— Ekscelencjo! — krzyknął i wpadł do środka, nie czekając na pozwolenie.

Suweren wpatrywał się w swoją dłoń, wiszącą w powietrzu kilka centymetrów od przycisku komunikatora, jakby zastanawiając się. czy sama siła jego zamiarów w jakiś sposób zastąpiła akt wezwania.

— O co chodzi, kapitanie? — zapytał niepewnie.

— Ekscelencjo, więzień uciekł — wykrztusił dowódca gwardii. Aratap poczuł, jak jego zmęczenie powoli znika. Co tu się dzieje?

— Szczegóły, kapitanie! — polecił i wyprostował się w krześle. Oficer opowiedział wszystko krótkimi, oszczędnymi zdaniami.

Zakończył słowami:

— Prosiłbym, Ekscelencjo, aby zezwolił pan na ogłoszenie powszechnego alarmu. Nie mogli uciec daleko.

— Tak, oczywiście — wyjąkał Hinrik — oczywiście. Powszechny alarm. Słusznie. Szybko! Szybko! Nie pojmuję, jak do tego doszło, komisarzu. Kapitanie, niech pan pośle wszystkich swoich ludzi. Przeprowadzimy dochodzenie. Jeśli będzie trzeba, przesłuchamy każdego gwardzistę. Każdego! Każdego! — powtarzał histerycznie, a kapitan stał dalej, najwyraźniej pragnąc jeszcze coś powiedzieć.

— Na co pan czeka? — zdziwił się Aratap.

— Czy mógłbym porozmawiać z Waszą Wysokością bez świadków? — zapytał wzburzony oficer.

Hinrik zerknął przerażony na spokojnego, nieporuszonego komisarza. Z trudem udając oburzenie, wymamrotał:

— Nie mamy żadnych sekretów przed żołnierzami chana, naszymi przyjaciółmi i…

— Niech pan mówi, kapitanie — odezwał się łagodnie Aratap. Gwardzista energicznie stuknął obcasami.

— Ponieważ polecił mi pan mówić, Wasza Wysokość, z najwyższym żalem informuję, że Jej Wysokość pani Artemizja i książę Gillbret towarzyszą więźniowi w ucieczce.

— Ośmielił się ich porwać? — Hinrik zerwał się na równe nogi. — I moja gwardia do tego dopuściła?!

— Nie porwano ich. Ekscelencjo. Przyłączyli się do niego z własnej, nieprzymuszonej woli.

— Skąd pan wie? — Aratap był zachwycony, jego senność znikła bez śladu. Wreszcie wszystko układało się w logiczny wzór. I to lepszy, niż mógł się spodziewać.

— Dysponujemy zeznaniem strażnika, którego obezwładnili, oraz

żołnierzy, którzy trzymali wartę przy drzwiach wyjściowych — kapitan zawahał się, po czym dodał ponuro: — Kiedy rozmawiałem z panią Artemizja w drzwiach jej sypialni, powiedziała, że właśnie układała się do snu. Dopiero później uświadomiłem sobie, iż jej twarz była umalowana. Nim wróciłem, by już jednak za późno. Przyjmuję pełną odpowiedzialność za niewłaściwe poprowadzenie tej sprawy. Rano złożę na ręce Wasz Wysokości prośbę o dymisję. Teraz jednak czy mógłbym ogłośić alarm? Bez zgody Ekscelencji nie mogę aresztować członków rodziny królewskiej.

Hinrik chwiał się na nogach i spoglądał na kapitana nie rozumiejącym wzrokiem.

— Kapitanie, lepiej będzie, jeśli zainteresuje się pan zdrowime waszego suwerena — powiedział Aratap. — Radziłbym wezwać lekarza.

— Powszechny alarm! — powtórzył gwardzista.

— Nie będzie żadnego alarmu. Rozumie pan? Żadnego alarmu! I nie próbujcie nawet schwytać uciekinierów. Ten incydent jest już zamknięty! Niech pan rozkaże swoim ludziom, aby wrócili do kwater i podjęli normalne obowiązki. Tymczasem proszę zająć się suwerenem. Chodźmy, majorze.

Gdy pozostawili już za sobą masyw pałacu tyrannejski major odezwał się ostro:

— Aratap, zakładam, że wiesz co robisz. Tylko dlatego milczałem.

— Dziękuję, majorze. — Aratap uwielbiał nocne powietrze planety, przesycone wonią żywych, zielonych roślin. Tyrann był na swój sposób piękniejszy, ale piękniejszy złowrogą urodą nagich skał i górskich szczytów. Był suchy, tak bardzo suchy!

— Nie umiesz postępować z Hinrikiem. majorze Andros. W twoich rękach już dawno załamałby się kompletnie. Je użyteczny, wymaga jednak łagodnego traktowania, jeśli nadal mamy mieć z niego jakikolwiek pożytek.

Major zlekceważył jego słowa.

— Nie myślę o suwerenie. Dlaczego nie pozwoliłeś ogłosić alarmu? Czyżbyś nie chciał ich schwytać?

— A ty? — Aratap przystanął. — Siądźmy tu na chwilę, dobrze? Ławka obok ścieżki przy trawniku. Gdzie można znaleźć piękniejsze miejsce, w dodatku równie bezpieczne przed promieniami podsłuchowymi? Dlaczego pragniesz uwięzić tego młodego człowieka?

— A czemu aresztuje się zdrajców i spiskowców?

— No właśnie, czemu? W ten sposób eliminujemy wyłącznie płotki, pozostawiając nietknięte źródło trucizny. Pomyśl, kogo tu mamy? Szczeniaka, głupią dziewczynę i sklerotycznego idiotę!

W pobliżu szumiała cicho sztucznie wzniesiona kaskada.

Niewielka, lecz bardzo dekoracyjna. Podobna rozrzutność nie przestawała zdumiewać Aratapa. Pomyśleć tylko! Bezcenna woda bezużytecznie wycieka na kamienie i wsiąka w ziemię. Nigdy nie wyzbędzie się oburzenia na myśl o takiej beztrosce.

— Tymczasem jednak — stwierdził major — nie mamy nic.

— Przeciwnie, mamy cały schemat. Kiedy przybył ów młodzieniec, założyliśmy, że jest związany z Hinrikiem, nie dawało nam to jednak spokoju, Hinrik bowiem — cóż, jest, jaki jest. Ale nic innego nie przychodziło nam do głowy. Teraz widzimy, że wcale nie chodziło o suwerena; to był fałszywy trop. Ten młody człowiek przyjechał po jego córkę i kuzyna, a to ma już jakiś sens.

— Dlaczego więc Hinrik nie wezwał nas wcześniej, tylko czekał środka nocy?

— Ponieważ jest tylko narzędziem w rękach każdego, kto potrafi nim manipulować. Z pewnością to Gillbret podsunął mu ten pomysł, zapewne przekonał go, że to nocne zaproszenie zostanie potraktowane jako wyraz szczególnego oddania.

— To znaczy, że specjalnie nas tu wezwano? Abyśmy byli świadkami ich ucieczki?

— Nie, nie dlatego. Pomyśl. Dokąd ci ludzie mają zamiar się udać?

Major wzruszył ramionami.

— Rhodia jest wielka.

— Tak, gdyby chodziło jedynie o młodego Farrilla. Ale gdzie na Rhodii mogliby ukryć się członkowie królewskiego rodu, pozostając nie rozpoznani? Zwłaszcza dziewczyna?

— Muszą zatem opuścić planetę, tak? Owszem, to ma sens.

— A skąd mogliby uciec? Droga do pałacowego portu zabrałaby im piętnaście minut. Czy teraz widzisz już, po co nas tu wezwano?

— Nasz statek? — spytał z niedowierzaniem major.

— Oczywiście. Tyrannejski statek musiał wydawać się im idealnym rozwiązaniem. W przeciwnym razie zmuszeni byliby wybrać któryś z frachtowców. Farrill studiował na Ziemi, jestem pewien, że potrafi pilotować krążownik.

— Słusznie. Czemu właściwie pozwalamy szlachcie, by wysyłała swych synów, dokąd tylko zechcą? Po co poddani mają wiedzieć więcej o świecie, niż potrzeba im w ich pracy? Sami wychowujemy buntowników.

— Niemniej — odrzekł Aratap z uprzejmą obojętnością — w tej chwili Farrill dysponuje taką wiedzą i proponuję, abyśmy uwzględnili ten fakt, nie wpadając w niepotrzebną złość. Nadal jestem pewien, że wykorzystali nasz statek.

— Nie mogę w to uwierzyć.

— Masz przecież naręczny komunikator. Połącz się z załogą —

jeśli zdołasz.

Major spróbował, bezskutecznie.

— W takim razie wywołaj wieżę — poradził Aratap. Posłuchał. W miniaturowym głośniczku natychmiast odezwał się zdenerwowany głos:

— Ależ, Ekscelencjo, nie rozumiem… Musiała zajść jakaś pomyłka. Wasz pilot wystartował dziesięć minut temu.

Aratap uśmiechnął się.

— Widzisz? Wystarczy opracować wzór, a każde najdrobniejsze zdarzenie natychmiast zaczyna pasować do reszty. A teraz, czy dostrzegasz konsekwencje?

Major klepnął się w udo i wybuchnął śmiechem.

— Oczywiście! — krzyknął.

— No cóż — ciągnął Aratap — rzecz jasna, nie mogli o tym wiedzieć, ale sami założyli sobie sznur na szyję. Gdyby zadowolili się nawet najbardziej topornym statkiem z miejscowego portu, z pewnością by uciekli, a ja pozostałbym — jak to się mówi? — ze spuszczonymi spodniami. Tymczasem moje spodnie tkwią na miejscu, a pasek jest starannie zapięty. I nic już nie uratuje naszych zbiegów. A kiedy schwytam ich, w momencie, który sam wybiorę — z satysfakcją podkreślił ostatnie słowa — będę miał w rękach całą resztę spiskowców.

Westchnął i uświadomił sobie, że znów zaczyna odczuwać senność.

— Mieliśmy dzisiaj szczęście i nie musimy się już spieszyć. Wezwij bazę i każ im przysłać po nas statek.

10. Być może!

Ziemskie szkolenie z kosmonautyki, które przeszedł Biron Farrill, miało charakter dość teoretyczny. Zaliczył co prawda różnorodne zajęcia z inżynierii kosmicznej, lecz pół semestru konstrukcji i eksploatacji silników atomowych niewiele mu dało, jeśli idzie o kierowanie statkiem w prawdziwej przestrzeni. Najlepsi i najbardziej doświadczeni piloci uczą się swojego kunsztu w kosmosie, a nie w szkolnych pracowniach.

Udało mu się wystartować bez komplikacji, ale sprawił to bardziej szczęśliwy traf niż jakiekolwiek umiejętności. Bezlitosny reagował na stery szybciej, niż Biron mógł oczekiwać. Pilotował kilka statków, startował z Ziemi i lądował, ale wyłącznie na pokładzie starych, powolnych modeli, przeznaczonych do użytku studentów. Były delikatne, bardzo, bardzo sfatygowane i z wysiłkiem przedzierały się przez atmosferę ku próżni.

Tymczasem Bezlitosny wznosił się bez trudu, ze świstem przecinając atmosferę, tak że Biron wypadł ze swojego fotela i niemal wywichnął ramię. Artemizja i Gillbret, którzy z wielką ostrożnością podeszli do nieznanego i dokładnie przypięli się pasami, zostali posiniaczeni przez siatkę ochronną. Wzięty do niewoli Tyrannejczyk leżał przyciśnięty do ściany i gwałtownie szarpiąc więzy, głośno przeklinał.

Biron stanął na drżących nogach, kopniakiem uciszył Tyrannejczyka i powoli, podciągając się ręka za ręką na biegnącej wzdłuż ściany poręczy, walcząc z przeciążeniem, wrócił na swoje miejsce. Specjalny ciąg hamujący nie pozwalał statkowi rozwinąć nadmiernej szybkości i utrzymywał ją na optymalnym poziomie.

Znajdowali się w górnych warstwach atmosfery. Niebo przybrało ciemnofioletową barwę. Poszycie statku rozgrzało się od tarcia atmosferycznego i temperatura wewnętrzna wyraźnie wzrosła.

Wprowadzenie statku na odpowiednią orbitę wokół Rhodii zajęło mu kilka godzin. Biron nie umiał szybko obliczyć prędkości potrzebnej do przezwyciężenia jej przyciągania. Pracował metodą prób i błędów, zmieniając siłę ciągu, obserwując masometr, który wskazywał odległość od powierzchni planety za pośrednictwem pomiarów jej pola grawitacyjnego. Na szczęście masometr był ustawiony na masę i promień Rhodii. Bez długotrwałych doświadczeń Biron nie zdołałby samodzielnie skalibrować przyrządów.

Ostatecznie masometr ustabilizował się i przez dwie godziny nie wskazywał żadnych odchyleń. Biron pozwolił sobie na chwilę odpoczynku, a reszta pasażerów uwolniła się od pasów.

— Nie masz zbyt delikatnej ręki, mości rządco — powiedziała

Artemizja.

— Jednak lecimy, moja pani — odparł uprzejmie Biron. — Jeśli potrafi pani zrobić to lepiej, proszę spróbować, tylko że wtedy ja wysiadam.

— Spokojnie, spokojnie — wtrącił się Gillbret. — Statek jest zbyt mały na kłótnie. Poza tym, skoro jesteśmy zmuszeni wciąż przebywać ze sobą w tym ciasnym ruchomym więzieniu, proponuję, abyśmy dali sobie spokój z tymi wszystkimi „panami", „paniami" i tytułami, które nieznośnie utrudniają rozmowę. Ja jestem Gillbret, ty Biron, a ona Artemizja. Zapamiętajmy te imiona lub jakiekolwiek zdrobnienia, których zechcemy używać. A co do pilotowania statku, dlaczegóż by nie skorzystać z pomocy naszego tyrannejskiego przyjaciela?

Tyrannejczyk spojrzał na nich wściekłym wzrokiem, a Biron zaprotestował.

— Nie. Żadną miarą nie możemy mu ufać. Mój pilotaż poprawi się, w miarę jak będę poznawał statek. Jak dotąd nie rozbiłem nas, czyż nie?

Ramię wciąż bolało go po pierwszym przechyle, a ból, jak to zwykle bywa, wprawił go w irytację.

— W porządku — zgodził się Gillbret. — Co z nim zrobimy?

— Nie lubię zabijać z zimną krwią — odparł Biron — a zresztą to i tak nic by nam nie dało. Coś takiego jeszcze bardziej rozwścieczyłoby Tyrannejczyków. Zabójstwo jednego z rasy panów jest przewinieniem, którego się nie wybacza.

— Czy mamy jakieś inne wyjście?

— Odeślemy go.

— Zgoda. Tylko gdzie?

— Na Rhodię.

— Co?!

— To jedyne miejsce, gdzie nie będą nas szukać. Poza tym, musimy szybko wylądować, gdziekolwiek.

— Dlaczego?

— Ten statek komisarza używany jest wyłącznie do poruszania się po powierzchni planety. Nie jest przygotowany do dalekich podróży. Zanim gdzieś się udamy, musimy skompletować wyposażenie i upewnić się, że mamy wystarczające zapasy wody i żywności.

Artemizja przytaknęła energicznie:

— Racja. Dobrze! Nie pomyślałam o tym. To bardzo sprytne, Bironie.

Machnął lekceważąco ręką, ale zrobiło mu się ciepło koło serca. Po raz pierwszy użyła jego imienia. Potrafiła być całkiem sympatyczna, kiedy się postarała.

— Przecież natychmiast poda im naszą pozycję przez radio — zaoponował Gillbret.

— Nie przypuszczam — odparł Biron. — Po pierwsze, myślę, że Rhodia ma swoje bezludne obszary. Nie musimy zostawić go w centrum miasta lub w którymś z tyrannejskich garnizonów. Poza tym, zapewne wcale niespieszne mu do spotkania z przełożonymi… No, żołnierzu, powiedz nam, co może spotkać wartownika, który pozwala ukraść powierzony mu statek komisarza chana?

Więzień nie odpowiedział, ale jego usta zacisnęły się w cienką, bladą linię.

Biron nie chciałby znaleźć się na miejscu żołnierza. Choć tak naprawdę, nikt specjalnie by go nie obwiniał. Dlaczego miałby spodziewać się kłopotów po członkach rodziny królewskiej? Zgodnie z tyrannejskim kodeksem wojskowym nie zgodził się, aby weszli na pokład bez okazania pozwolenia od dowódcy wart. Nawet gdyby sam suweren zapragnął wstąpić na statek, też by go nie wpuścił. Oni jednak zdołali go otoczyć i kiedy zorientował się, iż powinien jeszcze ściślej zastosować regulamin i odbezpieczyć broń, było już za późno. Lufa bicza neuronowego niemal dotykała jego piersi.

Nawet wtedy jednak nie poddał się bez walki. Powstrzymało go dopiero uderzenie bicza w pierś. Mimo wszystko jednak na Rhodii mógł oczekiwać jedynie sądu polowego i skazania. Nikt w to nie wątpił, a najmniej on sam.

Wylądowali w dwa dni później na peryferiach miasta Southwark. Po długim namyśle wybrali właśnie te okolice, ponieważ leżały z dala od głównych ośrodków Rhodii. Tyrannejski żołnierz został zamknięty w kapsule ratunkowej i wystrzelony w odległości osiemdziesięciu kilometrów od najbliższego miasteczka.

Lądowanie na pustej plaży było tylko trochę nierówne. Biron, jako najtrudniejszy do rozpoznania, poczynił wszystkie niezbędne zakupy. Pieniędzy, które przytomnie zabrał ze sobą Gillbret, ledwie starczyło na zaspokojenie podstawowych potrzeb, ponieważ większość wydał na mały dwukołowy wózek, którym partiami przywoził zaopatrzenie.

— Starczyłoby na więcej — stwierdziła Artemizja — gdybyś nie wydał tyle na tę tyrannejską papkę.

— Moim zdaniem to najlepsze wyjście. Może dla ciebie to papka, ale w rzeczywistości ten pełnowartościowy pokarm będzie dla nas lepszy niż cokolwiek, co moglibyśmy tu kupić.

Był zirytowany. Cała ta praca, zakupy i dostarczenie ich z miasta na statek, należała do personelu pomocniczego. Podjął duże ryzyko kupując w sklepie prowadzonym przez Tyrannejczyków. Oczekiwał za to uznania.

Prawdę mówiąc, nie mieli wyboru. Tyrannejską flota wprowadzała ciągle nowe technologie w dziedzinie zaopatrzenia, ze względu na typ używanych statków kosmicznych. Małe i lekkie

jednostki nie były w stanie zabierać wielkich zapasów, takich jak inne floty, które ładowały całe tusze zwierzęce, wieszane w ścisłych rzędach. Tyrannejczycy rozwinęli więc produkcję standardowych wysokokalorycznych koncentratów, zawierających wszystkie niezbędne składniki — całkowicie pozbawionych smaku. Zajmowały one jedną dwudziestą przestrzeni, potrzebnej na naturalne produkty o tej samej wartości odżywczej. Można było je przechowywać w niskiej temperaturze w postaci praktycznych paczek.

— Mają wstrętny smak — skrzywiła się Artemizja.

— Przyzwyczaisz się — zareplikował Biron naśladując jej rozdrażnienie. Zarumieniła się i odeszła rozeźlona.

Biron wiedział, że denerwuje ją ciasnota statku i wszystko, co się z tym wiąże. Nie chodziło tylko o konieczność korzystania z monotonnych racji żywnościowych. Raczej o to, że nie było oddzielnych sypialni. Większość statku zajmowały maszynownia i sterówka. (Ostatecznie, pomyślał Biron, to jest statek wojenny, a nie jacht wycieczkowy). Był też magazyn i jedna mała kabina, z sześcioma kojami ustawionymi w dwóch rzędach. Toaleta została umieszczona w małej wnęce tuż obok kabiny.

Oznaczało to ciasnotę, brak jakiejkolwiek prywatności; dla Artemizji także konieczność pogodzenia się z brakiem damskich strojów, luster i przyborów toaletowych.

Cóż, będzie się musiała przyzwyczaić. Biron stwierdził, że zrobił dla niej wystarczająco dużo i poszedł na liczne ustępstwa. Dlaczego ona nie mogła być miła i uśmiechnąć się choć przez chwilę? Miała bardzo ładny uśmiech i Biron wierzył, że nie jest zła, taki ma już temperament. Ale cóż to był za temperament!

Po co zresztą tracić czas na rozmyślania o niej?

Najgorzej wyglądała sprawa wody. Tyrann był planetą pustynną. W świecie, gdzie deficyt wody jest podstawowym problemem i ludzie znają jej wartość, na statkach kosmicznych w ogóle nie przewidziano umywalni. Żołnierze mogli kąpać się po lądowaniu na planecie. Podczas podróży odrobina brudu i zaduchu nikomu nie szkodziła. Nawet woda pitna była ściśle racjonowana i podczas dłuższej podróży ledwie jej starczało. W końcu wody nie można zagęścić ani wysuszyć, trzeba ją transportować w olbrzymich ilościach. Problem dodatkowo komplikował fakt, że koncentraty żywnościowe zawierały jej bardzo mało.

Na statku było urządzenie do odzyskiwania wody wydalanej przez ludzki organizm, ale Bironowi, kiedy poznał jego funkcjonowanie, zrobiło się niedobrze i postanowił usuwać odpady i odchody w naturalny sposób. Wtórny obieg to dobra rzecz, jeśli przywykło się do niego od dziecka.

Drugi start był, w porównaniu z pierwszym, wzorowy. Potem

Biron spędził wiele czasu rozgryzając wyposażenie sterowni. Tablica kontrolna tylko w ogólnych zarysach przypominała przyrządy znane mu ze statków pilotowanych na Ziemi. Tu wszystko połączono w funkcjonalne zestawy. Gdy udało mu się rozpoznać funkcję jakiegoś pokrętła i wskaźnika, pisał krótkie objaśnienia na kartkach i przyklejał w odpowiednich miejscach.

Gillbret wszedł do sterówki.

Biron spojrzał przez ramię.

— Czy Artemizja jest w kabinie?

— A gdzie mogłaby być? Chyba że wyszła na zewnątrz.

Kiedy ją zobaczysz, powiedz jej, że przygotuję sobie posłanie w sterówce. Radziłbym ci zrobić to samo i zostawić kabinę do jej dyspozycji — powiedział Biron i wyjaśniając mruknął: — Jest ogromnie dziecinna.

— Też mi argument! — odparł Gillbret. — Nie zapominaj, do jakiego trybu życia przywykła.

— Dobra. Pamiętam o tym. I co z tego? A do jakiego ja przywykłem? Jak wiesz, nie urodziłem się w osiedlu górniczym w paśmie asteroidów. tylko na największym dworze Nefelos. Ale jeśli sytuacja tego wymaga, trzeba się do niej przystosować. Im prędzej, tym lepiej. Do diabła, nie mogę rozciągnąć statku. I tak jest wyładowany do granic wytrzymałości, zapasami wody i jedzenia. Nic nie mogę poradzić na brak prysznica. A ona wyzłośliwia się, jakbym to ja osobiście był odpowiedzialny za budowę tego statku. — Ulżyło mu, gdy sobie pokrzyczał na Gillbreta. Od dawna miał ochotę kogoś porządnie objechać.

Drzwi kabiny otworzyły się nagle i stanęła w nich Artemizja. Zimnym głosem powiedziała:

— Na pańskim miejscu, panie Farrill. powstrzymałabym się od krzyku. Słychać pana na całym statku.

— Mnie to nie przeszkadza. A jeśli chodzi o ciebie, to pamiętaj, że gdyby twój ojciec nie próbował mnie zabić, a ciebie wydać za mąż, nikogo z nas nie byłoby w tej chwili na tym statku.

— Nie mów o moim ojcu.

— Będę mówił o wszystkim, o czym zechcę. Gillbret zasłonił uszy rękoma.

— Proszę!

Jego okrzyk chwilowo przerwał sprzeczkę.

— Czy możemy porozmawiać o kierunku, w jakim powinniśmy teraz się udać? To oczywiste, że im szybciej dotrzemy na miejsce i opuścimy statek, tym mniej zaznamy niewygód.

— Zgadzam się z tobą, Gil — powiedział Biron. — Chodźmy gdzieś, gdzie nie będę musiał słuchać jej gadania. Kobiety na statku kosmicznym to prawdziwe utrapienie!

Artemizja zignorowała jego wypowiedź i zwróciła się do Gillbreta.

— Dlaczego nie mamy opuścić strefy Mgławicy?

— Nie wiem jak ty — wtrącił Biron — ale ja muszę odzyskać swoje dziedzictwo i wyjaśnić sprawę morderstwa mojego ojca. Toteż zostaję w Królestwach.

— Nie myślałam o wyjeździe na zawsze, tylko do czasu, póki nie ucichnie największa wrzawa. Nie wiem, co zamierzasz zrobić ze swoimi włościami. W każdym razie nie możesz ich odzyskać, dopóki imperium Tyrannejczyków nie legnie w gruzach, a jakoś nie potrafię sobie wyobrazić, byś zdołał do tego doprowadzić.

— Niech cię o to głowa nie boli. To moja sprawa.

— Czy mogę coś zasugerować? — spytał cicho Gillbret. Uznał, iż panujące w kabinie milczenie oznacza zgodę i zaczął:

— Przypuśćmy, że powiem wam, gdzie powinniśmy polecieć i co zrobić, żeby pomóc zniszczyć imperium, tak jak sugerowała Arta.

— Co proponujesz? — spytał Biron.

— Mój drogi chłopcze — uśmiechnął się Gillbret — zachowujesz się nader zabawnie. Nie ufasz mi? Patrzysz na mnie, jakbyś sądził, że cokolwiek zdołam wymyślić, nieuchronnie musi być głupie. Pamiętaj jednak, że to ja wyprowadziłem cię z pałacu.

— Wiem o tym. Z chęcią wysłucham.

— No to uważaj. Czekałem ponad dwadzieścia lat na szansę ucieczki od nich. Gdybym był zwykłym obywatelem, dawno bym to zrobił, ale przez przeklęte dobre urodzenie zawsze znajdowałem się w centrum uwagi. Ale gdybym się nie urodził w rodzie Hinriadów, nigdy nie brałbym udziału w koronacji obecnego chana i nigdy nie poznałbym tajemnicy, która pewnego dnia go zniszczy.

— No, dalej — ponaglał Biron.

— Podróż z Rhodii na Tyranna odbywała się statkiem Tyrannejczyków, podobnie zresztą jak powrót. Statek ów bardzo przypominał ten, był jednak znacznie większy. Drogę na Tyranna przebyliśmy bez przeszkód. Pobyt na planecie miał kilka ciekawych momentów, ale również upłynął bezproblemowo. Jednak w drodze powrotnej uderzył nas meteor.

— Co?

Gillbret podniósł rękę.

— Wiem, to bardzo rzadki przypadek. Prawdopodobieństwo zderzenia z meteorem, zwłaszcza w przestrzeni międzygwiezdnej, jest tak znikome, że praktycznie nie do obliczenia, ale takie rzeczy się zdarzają. I właśnie tak było w tym przypadku. Oczywiście każdy meteor, nawet gdyby był wielkości łebka od szpilki, jak to zwykle bywa, przy zderzeniu ze statkiem może przebić najbardziej wytrzymały pancerz.

— Tak — potwierdził Biron. — To skutek jego pędu, który zależy od masy i szybkości. Bardziej zresztą od prędkości niż od masy — wyrecytował ponuro, jakby wygłaszał wyuczoną lekcję. Przyłapał się, że rzuca ukradkowe spojrzenia w stronę Artemizji.

Dziewczyna usiadła wygodnie, zasłuchana w słowa Gillbreta, i była tak blisko Birona, że prawie stykali się kolanami. Biron zauważył, że ma piękny profil, a nieco potargane włosy nie psują obrazu. Nie miała też na sobie krótkiej kurteczki, a zwiewna biel jej bluzki po czterdziestu ośmiu godzinach wciąż była gładka i czysta. Ciekawe, jak jej się to udaje.

Podróż, pomyślał, byłaby cudowna, gdyby tylko Artemizja zaczęła zachowywać się normalnie, nie jak rozkapryszona księżniczka. Problem polegał na tym, że do tej pory nikt nigdy nie kierował jej postępowaniem. Na pewno nie ojciec. Przywykła kierować się własnym widzimisię. Gdyby urodziła się w normalnej rodzinie, byłoby z niej bardzo sympatyczne stworzenie.

Już prawie zapadł w sen na jawie, w którym to on nią kieruje, a ona okazuje mu należny szacunek, gdy Artemizja nagle zwróciła ku niemu głowę i spojrzała mu prosto w oczy. Biron odwrócił wzrok i skupił się na wypowiedzi Gillbreta. Umknęło mu już kilka zdań.

— Nie mam pojęcia, dlaczego ekrany ochronne statku zawiodły. To był jeden z tych przypadków, których nikt nie potrafi wyjaśnić, ale w końcu awarie czasem się jednak zdarzają. W każdym razie, meteor uderzył w śródokręcie. To był drobny okruch skalny i zderzenie z pancerzem statku na tyle spowolniło jego szybkość, że nie przebił się na wylot. Gdyby się tak stało, nie byłoby problemu. Otwory zostałyby załatane natychmiast.

Tymczasem meteor wpadł do sterówki i odbijał się od ścian, póki nie wyhamował. Trwało to tylko ułamek minuty, ale przy prędkości początkowej kilkuset kilometrów na godzinę, musiał przemierzyć sterówkę setki razy. Obaj członkowie załogi zostali posiekani na kawałki, a ja uratowałem się tylko dzięki temu, że właśnie byłem w kabinie.

Słyszałem odgłos zderzenia meteoru z pancerzem, a potem grzechotanie w sterowni i przerażające, krótkie krzyki obu wachtowych. Kiedy wbiegłem do środka, wszędzie była krew i strzępy ciał. Bardzo słabo pamiętam późniejsze zdarzenia, choć przez lata przeżywałem wszystko, chwila po chwili, w sennych koszmarach.

Gwizd uciekającego powietrza wskazał mi dziurę w pancerzu. Przyłożyłem do niej metalowy krążek, a ciśnienie powietrza przyssało go do ściany. Na podłodze znalazłem mały skalny okruch. Był ciepły w dotyku, ale kiedy rozbiłem go kluczem na dwie części, poczułem chłód. Wewnątrz wciąż miał temperaturę kosmicznej pustki.

Do nadgarstków ciał członków załogi przywiązałem liny

zakończone magnesami holowniczymi, po czym wypchnąłem je przez luk. Usłyszałem szczęk przyczepiających się magnesów i wiedziałem, że zamrożone zwłoki będą lecieć za statkiem. Zdawałem sobie sprawę, że po powrocie na Rhodię potrzebne mi będą dowody, iż zginęli od meteoru, a nie z mojej ręki.

Ale jak miałem wrócić? Byłem zupełnie bezradny. Nie miałem pojęcia, jak poprowadzić statek, i nie śmiałem niczego dotknąć. Nie wiedziałem nawet, jak użyć systemu łączności podprzestrzennej, tak że nie mogłem nadać SOS. Mogłem jedynie pozwolić statkowi lecieć zadanym kursem.

— To jednak też cię nie ratowało, prawda? — spytał Biron. Ciekaw był, czy Gillbret wymyślił sobie to wszystko ot tak. dla zabawy, czy też miał w tym jakiś praktyczny cel. — A co ze skokami przez nadprzestrzeń? Bez nich nie byłoby cię z nami.

— Tyrannejskie statki, jeśli aparatura jest sprawna, po zaprogramowaniu mogą wykonać każdą konieczną liczbę skoków.

Biron spojrzał na niego z niedowierzaniem. Czyżby Gillbret brał go za durnia?

— Wymyśliłeś to sobie — stwierdził.

— Nie. To jeden z tych przeklętych wynalazków militarnych, dzięki którym wygrywali wojny. Nie zdobyliby pięćdziesięciu systemów planetarnych, setki razy przewyższających ich liczebnością mieszkańców, bawiąc się w kotka i myszkę. Oczywiście atakowali nas po kolei, bardzo zręcznie wykorzystując wszelkich zdrajców, mieli jednak nad nami znaczną przewagę wojskową. Wszyscy wiedzą, że ich taktyka była dużo lepsza niż nasza, i częściowo zawdzięczali to umiejętności programowania skoków. Dawało to większe możliwości manewrowania, a przez to pozwalało przygotowywać dużo bardziej skomplikowane plany bitew. Nie potrafiliśmy im w tym dorównać.

Trzeba przyznać, że jest to jedna z ich najlepiej strzeżonych tajemnic. Nigdy nie starałem się jej zgłębić, dopóki nie zostałem samotnie uwięziony na *Krwiopijcy* — Tyrannejczycy maja irytujący zwyczaj nazywania swoich statków niemiłymi słowami, pewnie słusznie uważając to za dobry chwyt psychologiczny — i nie zacząłem obserwować aparatury pokładowej. Przyglądałem się, jak ich pojazd wykonuje skoki bez ręcznego sterowania.

— I myślisz, że ten statek też to potrafi?

— Nie wiem. Ale nie byłbym zdziwiony.

Biron popatrzył na tablicę kontrolną. Znajdowały się na niej tuziny przełączników, których przeznaczenia wciąż nie udało mu się wyjaśnić. No dobrze, później!

Znów zwrócił się do Gillbreta.

— I statek dowiózł cię do domu?

— Nie. Kiedy meteor latał po sterówce, uszkodził część

przyrządów. To musiało się stać. Zegary zostały potrzaskane. obudowy poobijane i powgniatane. Nie znałem sposobu, żeby ocenić, jak bardzo zmienił się zaplanowany kurs. Coś jednak musiało ulec zmianie, nie dotarliśmy bowiem na Rhodię.

W końcu oczywiście zaczęła spadać prędkość i zrozumiałem, że moja podróż teoretycznie dobiega końca. Nie mogłem określić położenia, ale prowadziłem obserwacje astronomiczne i przez teleskop zauważyłem dość blisko dysk planety. Miałem ślepe szczęście, bo dysk się powiększał. Mój pojazd zbliżał się do planety.

Oczywiście nie wprost. To byłby zbyt wielki traf, żeby na niego liczyć. Lecąc samym rozpędem statek minąłby ją o miliony kilometrów, ale w końcu na taką odległość mogłem użyć zwykłego radia. Wiedziałem, jak je obsługiwać dzięki mojemu obeznaniu z elektroniką. Poprzysiągłem sobie wtedy, że nigdy więcej nie dopuszczę do tak beznadziejnej sytuacji. Absolutna bezradność to jedna z tych rzeczy, które nigdy nie bywają zabawne.

— Więc użyłeś radia — domyślił się Biron.

— Tak. I przybyli mnie uratować.

— Kto?

— Ludzie z planety. Okazała się zamieszkana.

— Cóż, miałeś cholerne szczęście. Co to była za planeta?

— Nie wiem.

— Nie powiedzieli ci?

— Zdumiewające, nieprawdaż? Nie, nie powiedzieli. Ale to było gdzieś w obrębie Królestw Mgławicy!

— Skąd wiesz?

— Ponieważ rozpoznali mój statek jako należący do Tyrannejczyków. Poznali go z daleka i o mało nie zniszczyli, zanim poinformowałem ich, że jestem jedynym żywym pasażerem na pokładzie.

Biron splótł dłonie na kolanach.

— Chwileczkę, cofnijmy się. Nie łapię. Skoro wiedzieli, że jest to statek Tyrannejczyków i zamierzali go zniszczyć, czyż nie jest to najlepszy dowód, że ten świat nie leży w Królestwach Mgławicy? Wszędzie, ale nie tu?

— Nie — oczy Gillbreta błyszczały, a w głosie dźwięczał entuzjazm. — On leżał wśród Królestw. Wzięli mnie na powierzchnię. Co to był za świat! Mieszkali tam ludzie ze wszystkich Królestw! Mogłem to określić po akcentach. I nie obawiali się Tyrannejczyków. To był prawdziwy arsenał. Z kosmosu nie dało się tego stwierdzić. Na pozór wyglądała jak zwykła, prowincjonalna planeta rolnicza, ale życie zeszło na niej pod powierzchnię. Gdzieś wśród Królestw, mój chłopcze, gdzieś tam wciąż jest ta planeta, która nie boi się Tyrannejczyków. Kiedyś zniszczy ich tak, jak chciała zniszczyć statek,

którym leciałem, gdyby członkowie jego załogi żyli.

Biron poczuł gwałtowne bicie serca. Przez moment zapragnął uwierzyć w słowa Gillbreta.

Ostatecznie, być może. Być może!

11. A może nie!

A może i nie!

— Jak się dowiedziałeś o tym ich arsenale? Jak długo tam byłeś? Co widziałeś? — spytał Biron.

Gillbret zaczynał okazywać zniecierpliwienie.

— Nie chodzi o to, co widziałem. Nie oprowadzali mnie po planecie, nie zorganizowali mi wycieczki. — Uspokoił się nieco. — Dobrze, posłuchaj, co było dalej. Kiedy wydobyli mnie ze statku, byłem w nie najlepszym stanie. Za bardzo się bałem, żeby jeść normalnie — to przerażające uczucie zagubić się w przestrzeni — i musiałem okropnie wyglądać.

Kiedy mniej więcej udowodniłem swoją tożsamość, zabrali mnie pod powierzchnię. Oczywiście razem ze statkiem. Przypuszczam, że pojazd interesował ich bardziej niż moja osoba. Dałem im szansę zbadania napędu tyrannejskiego statku. Mnie zabrali do czegoś, co musiało być szpitalem.

— Ale co widziałeś, stryju? — spytała Artemizja.

— Czy nigdy ci tego nie opowiadał? — przerwał jej Biron.

— Nie — odpowiedziała.

Gillbret wyjaśnił:

— Do tej chwili nigdy nikomu tego nie opowiadałem. Jak już mówiłem, zostałem zaprowadzony do szpitala. Mijałem różnorodne laboratoria, pod każdym względem przewyższające wszystko, co mamy na Rhodii. Przejeżdżałem obok fabryk, w których przerabiano najprzeróżniejsze metale. Statki, które mnie uratowały, z pewnością nie były podobne do żadnych znanych mi pojazdów.

Wtedy wszystko to wydawało mi się tak oczywiste, że przez minione lata nigdy niczego nie kwestionowałem. Myślałem o tym jako o mojej „planecie rebelii"; wiem, że pewnego dnia roje statków opuszczą ją. by zaatakować Tyrannejczyków, i tamten świat zostanie uznany za przywódcę powstania przeciwko najeźdźcom. Na początku każdego roku myślę w skrytości ducha, że może to właśnie będzie ten rok. I zawsze mam cichą nadzieję, że może jednak nie, bo marzyłem o ucieczce i przyłączeniu się do nich, tak aby wziąć udział w głównym uderzeniu. Nie chciałbym, żeby zaczęli beze mnie.

Zaśmiał się krótko.

— Przypuszczam, że wiele ludzi byłoby zdumionych, gdyby dowiedzieli się, o czym naprawdę myślę. Nikt nie zajmuje się zbytnio moją osobą, rozumiecie.

— To wszystko wydarzyło się ponad dwadzieścia lat temu i wciąż nie zaatakowali? — spytał Biron. — Nie zauważono żadnych śladów ich obecności? Nieznanych statków kosmicznych? Żadnych

incydentów? A ty wciąż myślisz…

— Tak — odpowiedział mu ostro Gillbret. — Dwadzieścia lat to niewiele, żeby przygotować powstanie przeciwko planecie władającej pięćdziesięcioma systemami. Kiedy tam byłem, dopiero zaczynali. Wiem o tym. Powoli od tamtej pory zapewne wyposażają swoją planetę w podziemne składy i fabryki, konstruują nowe statki kosmiczne i broń, szkolą żołnierzy, przygotowują atak.

Tylko w kinie ludzie rzucają się do walki pod wpływem chwilowego impulsu, a nowa broń, potrzebna jednego dnia, zostaje wymyślona drugiego, trzeciego wchodzi do masowej produkcji, czwartego zaś wykorzystuje się ją w walce. Takie rzeczy wymagają czasu. Mieszkańcy powstańczej planety muszą mieć pewność, że są bezbłędnie przygotowani. Nie będą mogli uderzyć drugi raz.

A zresztą, co nazywasz „incydentami”? Zdarza się, że tyrannejskie statki giną i nigdy się nie odnajdują. Można powiedzieć, że kosmos jest wielki i po prostu gdzieś się zagubiły, a jeśli zostały schwytane przez rebeliantów? Pamiętam wypadek *Nieugiętego* sprzed dwóch lat. Doniósł o dziwnym obiekcie, który był tak blisko, że wykrywał go masometr, i przepadł bez wieści. Jak sądzę, nie był to meteor, wiec co?

Poszukiwania trwały miesiącami, ale nic udało się znaleźć statku. Myślę, że schwytali go rebelianci. *Nieugięty* to był nowy statek, model eksperymentalny. Czegoś lakiego mogli potrzebować powstańcy.

— Skoro tam wylądowałeś, dlaczego nie zostałeś u nich? — spytał Biron.

— Myślisz, że nie chciałem? Nie miałem możliwości. Podsłuchałem ich, kiedy myśleli, że jestem nieprzytomny, i dowiedziałem się kilku rzeczy. Właśnie zaczynali przygotowania. Nie mogli sobie pozwolić na ryzyko dekonspiracji. Wiedzieli, że jestem Gillbretem oth Hinriadem, Na statku znaleźli dość dowodów mojej tożsamości, gdybym im nawet me powiedział, i tak wiedzieliby, kim jestem. Zdawali sobie sprawę, że gdybym nie wrócił na Rhodię, rozpoczęłyby się zakrojone na szeroką skalę poszukiwania, które mogłyby doprowadzić do odkrycia ich planety.

Nie mogli ryzykować takich poszukiwań, wiec postarali się, żebym powrócił na Rhodię. I tam mnie odstawili.

— Co? — krzyknął Biron. — Przecież to dopiero było ryzyko! Jak tego dokonali?

— Nie wiem. — Gillbret smukłymi palcami przeczesał siwiejące włosy; jego oczy wyglądały, jakby usiłował zajrzeć w dawne pokłady pamięci. — Przypuszczam, że mnie uśpili. Nic nie pamiętam. Tylko jakieś strzępy… Kiedy otworzyłem oczy, byłem znów na *Krwiopijcy*, w przestrzeni kosmicznej w pobliżu Rhodii.

— Czy ciała członków załogi wciąż leciały za statkiem? Nie

odczepiono ich podczas lądowania na planecie? — spytał Biron.

— Tak.

— Czy po twojej wizycie na planecie rebelii pozostały jakiekolwiek ślady?

— Żadnych. Tylko moje wspomnienia.

— Skąd wiedziałeś, że jesteś w pobliżu Rhodii?

— Nie wiedziałem. Masometr wskazywał obecność planety. Znowu użyłem radia, i tym razem przyleciał statek z Rhodii. Jeszcze tego samego dnia opowiedziałem wszystko tyrannejskiemu komisarzowi, oczywiście z odpowiednimi modyfikacjami, nie wspominając słowem o świecie rebeliantów. Powiedziałem, że meteor uderzył już po ostatnim skoku. Nie chciałem, aby Tyrannejczycy zorientowali się, że wiem o automatycznie dokonywanych skokach.

— Myślisz, że rebelianci odkryli tę drobnostkę? Powiedziałeś im o tym?

— Nie. Nie miałem okazji. Nie byłem tam wystarczająco długo. Świadomy, oczywiście. Nie wiem, jak długo pozostawałem nieprzytomny i nie orientuję się, do czego doszli sami.

Biron patrzył na ekran. Sądząc po ostrości obrazu, statek, na którym się znajdowali, mógłby tkwić nieruchomo w przestrzeni. Bezlitosny podróżował z prędkością szesnastu tysięcy kilometrów na godzinę, ale cóż to oznacza wobec niezmierzonych przestrzeni kosmosu? Gwiazdy lśniły nieruchome. Ich blask wywierał na niego iście hipnotyczny wpływ.

— Dokąd więc się udajemy? — spytał Biron. — Domyślam się, że nie wiesz, gdzie leży planeta rebelii?

— Nie wiem. Ale znam kogoś, kto wie. Jestem tego prawie pewien. — Gillbret był pełen entuzjazmu.

— Kto?

— Autarcha Lingane.

— Lingane? — skrzywił się Biron. Gdzieś słyszał niedawno tę nazwę, ale nie mógł jej skojarzyć. — Dlaczego właśnie on?

— Lingane to ostatnie królestwo podbite przez Tyrannejczyków. Jeszcze nie jest im tak podporządkowane jak inne. Czyż nie brzmi to logicznie?

— Dość logicznie. Ale nie do końca.

— Jeśli chcesz czegoś więcej, jest jeszcze twój ojciec.

— Mój ojciec? — przez chwilę Biron zapomniał, że jego ojciec nie żyje. Ujrzał go oczyma duszy, stojącego przed nim, dostojnego i żywego, ale nagle pamięć wróciła i ogarnął go chłód. — Co ma z tym wspólnego mój ojciec?

— Był u nas sześć miesięcy temu. Miałem pewne podejrzenia co do celu jego wizyty. Podsłuchałem kilka jego rozmów z moim kuzynem Hinrikiem.

— Stryju! — wtrąciła gwałtownie Artemizja.

— Tak, kochanie?

— Nie miałeś prawa podsłuchiwać prywatnych rozmów ojca.

— Oczywiście, że nie — Gillbret wzruszył ramionami. — Ale to zabawne i bardzo użyteczne.

— Chwileczkę — przerwał im Biron. — Mówisz, że mój ojciec złożył wizytę na Rhodii sześć miesięcy temu — ożywił się.

— Tak.

— Powiedz mi, czy interesował się zbiorami starożytnych dokumentów. Mówiłeś, że suweren ma pokaźną kolekcję dotyczącą historii Ziemi.

— Tak mi się zdaje. Biblioteka jest dość znana i zwykle udostępnia się ją dostojnym gościom, jeśli oczywiście wyrażają zainteresowanie. Z reguły nikt jednak z niej nie korzysta, ale twój ojciec — tak. Tak, przypominam sobie bardzo dobrze. Spędził w niej prawie cały dzień.

To by się zgadzało. Pół roku temu ojciec po raz pierwszy poprosił go o pomoc.

— Przypuszczam, że dobrze znasz zbiory?

— Oczywiście.

— Czy w bibliotece znajdują się jakieś materiały mogące sugerować istnienie na Ziemi dokumentu o wielkim znaczeniu militarnym?

Gillbret spojrzał na niego nie rozumiejącym wzrokiem.

— Gdzieś w ostatnich wiekach Ziemi musiał istnieć taki dokument — kontynuował Biron. — Mogę tylko powiedzieć, że mój ojciec uważał go za rzecz najwyższej wagi w Galaktyce. I najbardziej niebezpieczną. Miałem go dla niego zdobyć, ale zbyt pospiesznie opuściłem Ziemię, no i — głos mu zadrżał — ojciec zmarł zbyt wcześnie.

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Nic nie rozumiesz. Ojciec powiadomił mnie o nim przed sześcioma miesiącami. Musiał znaleźć jakieś ślady w bibliotece na Rhodii. Czy domyślasz się, czego mógł się dowiedzieć?

Gillbret przecząco pokręcił głową.

— Dobrze. Kontynuuj swoją opowieść — powiedział Biron.

— Twój ojciec i mój kuzyn rozmawiali o autarsze Lingane. Pomimo ostrożnych sformułowań twojego ojca, Bironie, z jego słów wynikało, że autarcha jest inspiratorem i mózgiem buntu.

Później zaś przybyła — zawahał się — misja z Lingane. Przewodził jej osobiście autarcha. Ja… ja powiedziałem mu o planecie rebeliantów.

— Przed chwilą stwierdziłeś, że nie mówiłeś o tym nikomu.

— Z wyjątkiem autarchy. Musiałem poznać prawdę.

— I co ci odpowiedział?

— Praktycznie nic. Ale był bardzo ostrożny. Czy mógł mi zaufać? Mogłem przecież pracować dla Tyrannejczyków. Skąd miał wiedzieć? Ale nie zatrzasnął drzwi. To nasza jedyna wskazówka.

— Skoro tak — powiedział Biron — to lecimy na Lingane. Przypuszczam, że jest to miejsce równie dobre jak każde inne.

Wspomnienia o ojcu przygnębiły go i na chwilę wszystko straciło znaczenie. Niech będzie Lingane.

Niech będzie Lingane! Łatwo powiedzieć. Ale jak poprowadzić statek na odległość trzydziestu pięciu lat świetlnych? Trzysta bilionów kilometrów. Trójka z czternastoma zerami. Pokonując szesnaście tysięcy kilometrów na godzinę (obecna prędkość *Bezlitosnego*), podróżowaliby ponad dwa miliony lat.

Biron, zdesperowany, przeglądał *Standardowe efemerydy galaktyczne*. Były tam wyliczone dziesiątki tysięcy gwiazd, a pozycję każdej z nich opisywały trzy wielkości, oznaczone greckimi literami: P (rhō), Θ (thēta) i Φ (phī).

P oznaczała odległość od środka Galaktyki w parsekach; Θ — kąt między płaszczyzną Galaktyki a standardową linia Galaktyki (prostą łączącą środek Galaktyki ze słońcem planety Ziemi); Φ — kąt między standardową linią Galaktyki a płaszczyzną prostopadłą do płaszczyzny Galaktyki; dwie ostatnie wartości podane były w radianach. Mając te trzy dane, można określić położenie dowolnej gwiazdy w przestrzeni.

Ale tylko określonego dnia. Dodatkowo, oprócz danych o położeniu w konkretnym dniu, niezbędne były jeszcze informacje o własnym ruchu gwiazdy, zarówno jego prędkość jak i kierunek. Była to niewielka poprawka, ale niezbędna. Milion kilometrów to w relacjach międzygwiezdnych niewiele, ale dla statku kosmicznego jest to znacząca odległość.

Trzeba było także ustalić położenie statku. Odległość od Rhodii czy, ściślej mówiąc, od słońca Rhodii, w przestrzeni kosmicznej bowiem potężne pole grawitacyjne gwiazdy całkowicie tłumi przyciąganie planet, można odczytać ze wskazań masometru. Trudniej wyznaczyć położenie w stosunku do standardowej linii Galaktyki. Biron ustalił współrzędne dwóch innych gwiazd i znając odległość od słońca Rhodii, mógł obliczyć aktualną pozycję statku.

Wszystkie obliczenia były przybliżone, ale miał nadzieję, że wykonał je dostatecznie dokładnie. Znając swoje położenie i pozycję słońca Lingane, Biron musiał tylko ustawić przyrządy sterownicze na właściwy kierunek i wyregulować moc silników.

Czuł się spięty i samotny. Nie był przestraszony! Z pewnością nie. Ale właśnie spięty. Zaczął obliczać parametry skoku z wyprzedzeniem sześciu godzin. Chciał mieć wystarczającą ilość czasu na sprawdzenie

obliczeń. A może uda się wygospodarować chwilę na drzemkę? Przyniósł z kabiny pościel i gotowe posłanie czekało na niego na podłodze.

Artemizja i Gillbret prawdopodobnie już spali w kabinie. Pomyślał, że tak jest najlepiej — nie chciał mieć w pobliżu nikogo, kto by mu zawracał głowę. Kiedy więc usłyszał ciel stąpanie bosych stóp, z irytacją uniósł wzrok.

— Cześć — powiedział. — Dlaczego jeszcze nie śpisz?

W drzwiach stała Artemizja. Wahała się. Wreszcie spytała cicho.

— Nie masz nic przeciw temu, że przyszłam? Nie przeszkadzam ci?

— To zależy, co zamierzasz robić.

— Postaram się robić właściwe rzeczy.

Wydaje się zbyt pokorna, pomyślał Biron podejrzliwie, a ; chwilę prawda wyszła na jaw.

— Jestem potwornie przerażona. A ty nie?

Chciał powiedzieć, że nie, ani trochę, ale nie mógł tego z siebie wykrztusić. Uśmiechnął się nieśmiało i odpowiedział:

— Troszeczkę.

Dziwne, ale to jej wystarczyło. Uklękła przed nim i popatrzy na leżące na podłodze opasłe tomiska i arkusze z obliczeniami.

— Mieli tutaj te wszystkie książki?

— Jasne. Bez nich nie mogliby pilotować statku.

— I wszystko rozumiesz?

— Nie wszystko. Chciałbym, aby tak było. Mam nadzieję, zrozumiałem wystarczająco dużo. Musimy wykonać skok i Lingane, wiesz.

— Trudno to zrobić?

— Nie, jeśli znasz koordynaty, które są tutaj, ustawisz aparaturę, która jest tutaj, i masz doświadczenie, którego mnie braku Można to zrobić kilkoma skokami, ale ja zamierzam wykonać tylko jeden, ponieważ wtedy mniejsze jest ryzyko błędu. Rzecz jasna, oznacza to jednak nieprzyzwoite marnotrawstwo energii.

Nie powinien jej tego mówić; nie było takiej potrzeby. Straszenie jej to tchórzostwo: jeśli teraz owładnie nią lęk, paniczny lęk, gorzej będzie znosić dalszą podróż. Powtarzał to sobie, b rezultatu. Pragnął podzielić się z kimś wszystkimi swoimi obaw mi. Wyrzucić z siebie część wątpliwości.

— Jest kilka rzeczy, które powinienem wiedzieć, a nie ma o nich pojęcia. Czynniki takie jak gęstość materii pomiędzy Linga a tym miejscem mogą mieć wpływ na skok, ponieważ od gęsto: materii zależy krzywizna przestrzeni. *Efemerydy*, to ta wielka księga, podają korekty krzywizny przy najczęściej dokonywanych standardowych skokach i na podstawie tych danych można wyliczyć szczegółowe

poprawki. Ale jeśli w odległości dziesięciu lat świetlnych znajdzie się supergigant, wszystkie obliczenia są na nic. Nie mam nawet pewności czy poprawnie posłużyłem się komputerem.

— A co się może stać, jeśli popełniłeś błąd?

— Możemy pojawić się w przestrzeni zbyt blisko słońca Lingane. Artemizja pomyślała chwilę i stwierdziła:

— Nie zdajesz sobie sprawy, o ile lepiej się czuję.

— Po tym wszystkim, co ci powiedziałem?

— Oczywiście. Leżąc na koi czułam się bezradna i otoczona przez bezdenną otchłań. Teraz wiem, że zmierzamy w określonym kierunku, a cała pustka jest pod naszą kontrolą.

Biron był zaskoczony. Jak bardzo się zmieniła!

— Nie jestem bardzo pewien tej naszej kontroli…

— Ależ oczywiście — przerwała mu. — Jestem przekonana, że dasz sobie radę z pilotowaniem statku.

I Biron poczuł, że być może, istotnie da sobie radę.

Artemizja podwinęła gołe nogi i usiadła przed Bironem. Miała na sobie tylko przejrzystą bieliznę, ale nie wyglądała na skrępowaną. Biron natomiast poczuł, że się rumieni.

— Wiesz — odezwała się po chwili — kiedy leżałam na koi, wydawało mi się, że pływam w powietrzu. Zawsze przerażało mnie takie uczucie. Przy każdym obrocie miałam wrażenie, że unoszę się w powietrze, a po chwili opadam.

— Nie położyłaś się chyba na najwyższej koi?

— Owszem. Ta dolna przyprawia mnie o klaustrofobię; materac piętnaście centymetrów nad głową…

— To wszystko wyjaśnia — roześmiał się. — Sztuczna grawitacja statku wzrasta w pobliżu podłogi, a maleje pod sufitem kabiny. Na wyższej koi prawdopodobnie byłaś lżejsza o dziesięć, może piętnaście kilogramów. Czy leciałaś kiedyś liniowcem? Takim wielkim, pasażerskim.

— Raz. W zeszłym roku, kiedy wraz z ojcem odwiedzałam Tyrann.

— Na takich liniowcach sztuczna grawitacja rośnie w kierunku pancerza, tak że dłuższa oś statku jest zawsze „u góry”, niezależnie od miejsca, w którym się znajdujesz. Dlatego silniki takich „maleństw” zawsze są zlokalizowane w cylindrze biegnącym wzdłuż długiej osi. Zerowa grawitacja.

— Utrzymanie sztucznego ciążenia na takim kolosie musi wymagać olbrzymiej energii.

— Wystarczyłoby jej dla sporego miasta.

— A czy nam nie grozi brak paliwa?

— Nie denerwuj się. Statki są napędzane przez zmianę masy w energię. Paliwo jest ostatnią rzeczą, jakiej mogłoby zabraknąć. Prędzej

rozpadnie się zewnętrzny pancerz.

Siedziała naprzeciw niego. Zauważył, że jej twarz jest zbawiona makijażu, i zastanawiał się, jak go zmyła. Pewnie ni chusteczki i odrobiny wody pitnej. Jej uroda nic na tym straciła. Ciemne oczy i włosy jeszcze bardziej podkreślały skóry. Ma bardzo ciepłe oczy, pomyślał Biron.

Cisza trwała nieco zbyt długo. Pospiesznie powiedział:

— Nie podróżowałaś zbyt wiele? Chodzi mi o to, że tylko raz leciałaś liniowcem.

— O ten jeden raz za dużo. Gdybym nie pojechała wtedy na Tyranna, tamten obleśny szambelan nigdy by mnie zobaczył i… nie chcę o tym mówić.

Biron nie nalegał. Dodał tylko:

— Czy to wasz normalny tryb życia? Mam na myśli rzadkie podróże.

— Niestety, raczej tak. Ojciec ciągle gdzieś jeździ, otwiera wystawy rolnicze, patronuje różnym budowlom. Zwykle wygłasza mowy napisane dla niego przez Aratapa. Jeśli chodzi o nas. więcej czasu spędzamy w pałacu, tym bardziej radzi są Tyrannejczycy. Biedny Gillbret! Jeden jedyny raz opuścił Rhodię jako przedstawiciel ojca na koronacji chana. Nigdy potem nie wpuścili go na statek.

Miała spuszczony wzrok i bezwiednie skubała rękaw Birona.

— Bironie.

— Tak… Arto? — zawahał się, ale wreszcie zdołał wykrztusić jej imię.

— Czy myślisz, że opowieść stryja Gila może być prawdziwa? Nie wydaje ci się, że to tylko wytwór jego wyobraźni? Całymi latami rozmyślał o Tyrannejczykach, ale nigdy nie mógł im nic zrobić; udało mu się jedynie zbudować aparaty szpiegowskie, jednak zwykła dziecinada i on doskonale o tym wie. Mógł stworzyć sobie tę iluzję i po latach w nią uwierzyć. Widzzisz, ja go znam.

— Być może, ale na razie załóżmy, że to prawda. Tak czy inaczej, możemy polecieć na Lingane.

Zbliżyli się do siebie. Mógł wyciągnąć rękę i dotknąć jej, objąć ją i pocałować.

Tak też uczynił.

To było całkiem niespodziewane. Nic, tak mu się wydawało; nie zapowiadało tego, co nastąpiło. Przed chwilą rozmawiali o skokach, grawitacji i Gillbrecie, a po chwili Artemizja znalazła się w jego ramionach, delikatnie pieściła jego usta.

W pierwszym odruchu chciał przeprosić, ale kiedy odchylił się od niej i wreszcie mógł coś powiedzieć, przekonał się, że dziewczyna wcale nie ma zamiaru uciekać. Przeciwnie, nadal opierała głowę o jego lewe ramię. Oczy miała zamknięte.

Nic nie mówiąc, pocałował ją jeszcze raz, powoli i delikatnie. To było najlepsze, co mógł zrobić, wiedział o tym.

W końcu Artemizja spytała z lekkim roztargnieniem:

— Nie jesteś głodny? Przyniosę ci trochę koncentratu i podgrzeję. A jeśli chcesz się zdrzemnąć, przypilnuję wszystkiego. I… i chyba lepiej będzie, jeśli włożę coś na siebie.

Odwróciła się, chcąc odejść.

— Koncentraty są całkiem smaczne, kiedy się do nich przyzwyczaić. Dziękuję, że je kupiłeś.

Te słowa, bardziej niż pocałunek, stały się oznaką rozejmu między nimi.

Kiedy kilka godzin później Gillbret wszedł do sterówki, nie zdziwił się zastawszy Birona i Artemizję pogrążonych w swobodnej rozmowie. Nie zareagował, widząc Birona obejmującego dziewczynę w talii.

Zapytał tylko:

— Kiedy skaczemy?

— Za trzydzieści minut.

Trzydzieści minut minęło; aparatura została ustawiona, rozmowa przycichła i zamarła.

O godzinie zero Biron wziął głęboki oddech i przestawił dźwignię z lewa na prawo, z jednego skrajnego położenia w drugie.

Nie wyglądało to tak jak na liniowcu. *Bezlitosny* miał mniejszą masę i skok był mniej stabilny. Biron zachwiał się. Przez ułamek sekundy wszystko zafalowało.

Po czym wróciło do normy.

Gwiazdy na ekranie zmieniły się. Biron obrócił statek, tak że pokazywany na ekranie gwiezdny obszar poruszył się wolno. Wszystkie gwiazdy zatoczyły majestatyczne łuki. Jedna z nich zajęła centralne miejsce — jaskrawobiała i wyraźniejsza od innych, maleńka kula, płonące ziarno piasku. Biron skierował statek prosto na nią i ustawił teleskop, zakładając przystawkę spektrograficzną.

Zajrzał do Efemeryd i sprawdził w części zatytułowanej „Charakterystyki spektralne”. Wstał z fotela pilota i oznajmił:

— Wciąż jest zbyt daleko. Spróbuję trochę się zbliżyć. W każdym razie, przed nami Lingane.

To był jego pierwszy skok. I był udany.

12. Przybycie autarchy

Autarcha Lingane rozmyślał; jego chłodna, opanowana twarz z trudem skrywała kłębiące się w nim emocje.

— I czekałeś czterdzieści osiem godzin, żeby mi o tym powiedzieć.

— Nie było powodu mówić wcześniej — odparł spokojnie Rizzett. — Gdybyśmy zarzucali cię wszystkimi sprawami, twoje życie stałoby się nieznośne. Mówimy ci teraz, ponieważ wciąż nic w tej sprawie nie robimy. To dziwne, a w naszej sytuacji nie możemy tolerować rzeczy dziwnych.

— Powtórz. Chcę to usłyszeć jeszcze raz.

Autarcha oparł się o parapet i zamyślony wyjrzał przez okno. Samo okno z pewnością przedstawiało największą osobliwość architektoniczną. Było średnich rozmiarów, umieszczone w półtorametrowej zwężającej się do środka niszy. Niezwykle gruba, przejrzysta szyba została tak wyprofilowana, że przypominała raczej soczewkę. Przepuszczała światło z wszystkich stron, tak że wyglądając przez okno można było zobaczyć miniaturową panoramę.

Z każdego okna rezydencji autarchy widoczna była połowa horyzontu od zenitu do nadiru. Na horyzoncie występowały drobne zakłócenia, dodawało to jednak tylko uroku obrazowi planety. Wędrówki maleńkich, spłaszczonych figurek, wielkomiejski ruch, wijące się szlaki pojazdów stratosferycznych opuszczających lotnisko. Po pewnym czasie człowiek tak przyzwyczajał się do tego widoku, że bezbarwna, płaska rzeczywistość, widoczna przez otwarte okno, dziwnie rozczarowywała, jakby uleciała z niej cała tajemniczość. Kiedy padające na soczewkę promienie słońca groziły przegrzaniem wnętrza pokoju, następowała polaryzacja szkła i okno stawało się nieprzeźroczyste.

Z pewnością teorię, że architektura planety jest odbiciem jej miejsca w Galaktyce, zrodziły Lingane i jej okna.

Lingane wcześnie odkryła swoją wartość, co stało się punktem zwrotnym w jej historii. Za najważniejsze zadanie uznano wykorzystanie i umocnienie strategicznej pozycji tej planety. Lingane rozpoczęła eksploatację małych planetoid, nie zasiedlając ich, wybierając tylko te, które można było wykorzystać w handlu zagranicznym. Budowano na nich stacje obsługi. Wszystko, co może służyć statkom kosmicznym, od części zamiennych do podprzestrzennych silników i najnowocześniejszych taśm. Stacje rozrosły się do olbrzymich central handlowych. Z Królestw Mgławicy napływały futra, minerały, zboża, mięso, drewno, a z Królestw Wewnętrznych narzędzia, lekarstwa, sprzęt elektroniczny; wszelkie

towary płynęły szerokim strumieniem.

Tak więc, podobnie jak ich okna, handel Linganejczyków docierał do wszystkich miejsc w Galaktyce. Lingane była samotną planetą, ale doskonale zorganizowaną.

Nie odwracając się od okna, autarcha powiedział:

— Zacznijmy od statku pocztowego, Rizzett. Gdzie po raz pierwszy zauważył ten krążownik?

— Około stu pięćdziesięciu tysięcy kilometrów od planety. Dokładne współrzędne nie grają roli. Od tamtej pory są pod stałą obserwacją. Problem polega na tym, że tyrannejski krążownik jest prawie na orbicie.

— I co, nie zamierzają lądować, na coś oczekują?

— Tak.

— Czy można ustalić, jak długo już tam są?

— Obawiam się, że to niemożliwe. Nikt inny ich nie widział. Sprawdziliśmy to.

— Dobrze. Przejdźmy do innej sprawy. Zatrzymali statek pocztowy, co jest sprzeczne z naszą umową o współpracy z Tyrannem.

— Wątpię, żeby tam byli Tyrannejczycy. Ich niepewne zachowanie świadczy o tym, że są raczej uciekinierami, więźniami statku.

— Masz na myśli tych ludzi na krążowniku? Może to oni chcą, żebyśmy tak myśleli. W każdym razie, jak dotąd, prosili tylko o dostarczenie mi informacji.

— Zgadza się. Prosili, żeby dostarczyć ją autarsze osobiście.

— Nic więcej?

— Nic.

— I nie weszli na statek?

— Nie. Cała rozmowa odbywała się przez radio. Pocztowa kapsuła została wystrzelona w stronę statku i schwytana w sieć.

— Czy był tylko dźwięk, czy także obraz.

— Pełna wizja. W tym problem. Mówca został opisany przez kilku rozmówców jako młody człowiek o „arystokratycznym wyglądzie", właśnie tak.

Autarcha powoli zaciskał pięść.

— Doprawdy? I nikt nie zrobił żadnego zdjęcia? To błąd.

— Niestety. Kapitan pocztowca nie miał podstaw, aby traktować tę sprawę ze szczególną powagą. Jeśli w ogóle należy ją tak traktować! Cóż to ma za znaczenie dla pana?

Autarcha nie odpowiedział.

— I to jest ta wiadomość?

— Tak. Dziwna wiadomość składająca się z jednego słowa którą mieliśmy przekazać panu osobiście. Nie uczyniliśmy tego oczywiście. To mogła być, na przykład, kapsuła wybuchowa Zdarzało się, że w ten

sposób ginęli ludzie.

— Tak, nawet autarchowie — zgodził się autarcha. — Tylko słowo „Gillbret". Jedno słowo, „Gillbret".

Autarcha zachował niezmącony spokój, ale poczuł się niepewnie. Nie przepadał za tym uczuciem. Nie lubił niczego, co uświadamiało mu jego ograniczone możliwości. Działań autarchy nie powinno nic ograniczać i na Lingane ograniczały go tylko prawa natury.

Na Lingane nie zawsze rządzili autarchowie. Dawniej rządy sprawowały dynastie kupieckich książąt. Rodziny, które pierwsze założyły pozaplanetarne stacje, stały się arystokracją. Nie miały posiadłości ziemskich, dlatego nie mogły równać się z rodami rządców i władców sąsiednich planet, ale były wystarczająco zasobne, aby wykupić ich włości, co zresztą czasami czyniły.

I na Lingane trwał wynikający z tego faktu zwykły porządek (czy raczej nieporządek). Wpływy i władza przechodziły z rąk i jednej rodziny do drugiej. Różne rody zmuszane były do opuszczenia planety. Intrygi i przewroty pałacowe były tak częste, że o ile Rhodię uważano za wzorcowy przykład stabilności i porządku, Lingane słynęła z ciągłych zmian i bałaganu. „Zmienny jak Lingane" głosiło porzekadło.

Spoglądając z perspektywy historycznej, łatwo można było przewidzieć skutki. Kiedy sąsiednie planety łączyły się w unie i rosły w siłę, wojny domowe na Lingane doprowadziły do sytuacji groźnej dla państwa. Mieszkańcy skłonni byli w końcu poświęcić wszystko dla powszechnego spokoju. Tak wiec zamienili plutokrację na autokrację, tracąc nieco swobód. Potęga kilku rodów skoncentrowała się w jednym ręku, lecz nawet wtedy panująca rodzina z rozmysłem starała się zyskać popularność wśród ludu, aby jeszcze wzmocnić swoją pozycję pośród stale walczących dynastii kupieckich.

Pod rządami autarchów Lingane zyskiwała na znaczeniu i potędze. Nawet Tyrannejczycy, atakujący trzydzieści lat temu całą swoją potęgą, napotkali opór. Nie zostali pokonani, ale zostali zatrzymani. Wywołany tym szok wciąż trwał. Od czasu ataku na Lingane żadna planeta nie została przez nich podbita.

Inne planety Królestw Mgławicy były wasalami Tyrannejczyków. Lingane pozostała tylko planeta stowarzyszoną, teoretycznie podległą Tyrannowi. ale z zagwarantowanymi w Akcie stowarzyszenia prawami.

Autarcha zdawał sobie sprawę z położenia. Planetarni nacjonaliści dali się zwieść pozorną wolnością, ale on wiedział, że niebezpieczeństwo inwazji zostało tylko chwilowo zażegnane.

Teraz jednak długo oczekiwane ostateczne starcie zbliżało się nieuchronnie. A on najprawdopodobniej sam je przyspieszył. Stworzona przez niego organizacja, zapewne niesprawna, była

wystarczającym pretekstem do akcji odwetowej Tyrannejczyków. Ostatecznie Lingane rzeczywiście złamała prawo.

Czy ten krążownik to awangarda nadchodzącego ataku?

— Czy ten statek jest pod obserwacją? — spytał autarcha.

— Już mówiłem. Dwa nasze „frachtowce" — uśmiechnął się znacząco Rizzett — trzymają się w zasięgu masometrów.

— Dobrze, co z nim zrobicie?

— Nie wiem. Jedyny znany mi Gillbret, którego imię może coś znaczyć, to Gillbret oth Hinriad z Rhodii. Czy ma pan z nim jakieś kontakty?

— Widziałem go podczas mojej ostatniej wizyty na Rhodii.

— I oczywiście niczego mu pan nie powiedział, tak?

— Oczywiście.

— Obawiam się — Rizzett zmrużył oczy — że mógł pan popełnić jakąś nieostrożność. Tyrannejczycy mogli też przyłapać na jakiejś nieostrożności Gillbreta, Hinriadzi ostatnio podupadli i to może być próba wymuszenia na panu przyznania się.

— Wątpię. Ta wiadomość nadeszła w dziwnym momencie. Ponad rok przebywałem z dala od Lingane. Przyjechałem w zeszłym tygodniu i wyjeżdżam za kilka dni. Wiadomość dotarła w chwili, kiedy jestem w stanie ją odebrać.

— Nie uważa pan, że jest to zbieg okoliczności?

— Nie wierzę w zbiegi okoliczności. Istnieje tylko jeden sposób żeby to wyjaśnić. Odwiedzę ten statek. Sam.

— To niemożliwe, panie — przestraszył się Rizzett. Na prawej skroni miał małą, nierówną bliznę, która gwałtownie zabarwiła się na czerwono.

— Zabraniasz mi? — spytał oschle autarcha.

Był jednak autarchą, Rizzett skłonił się i powiedział:

— Jak sobie życzysz, panie.

Na pokładzie Bezlitosnego oczekiwanie stawało się nieznośne. Dwa dni nie ruszali się ze swojej orbity.

Gillbret przyglądał się aparaturze z wielką uwagą. W jego głosie zabrzmiały ostre nuty.

— Nie sądzisz, że się poruszają?

Biron spojrzał przelotnie. Golił się, z przesadną ostrożnością posługując się tyrannejskim sprayem depilującym.

— Nie, nie ruszają się. Dlaczego mieliby to robić? Obserwiuą nas i na tym poprzestaną.

Skoncentrował się na kawałku skóry nad górną wargą i wzdrygnął się gwałtownie, czując na języku kwaśny smak sprayu. Tyrannejczycy potrafili operować pojemnikiem z poetycką wręcz gracją. To była bez wątpienia najszybsza, najdokładniejsza i najłagodniejsza metoda

golenia. Polegała na delikatnym ścieraniu włosów strumieniem powietrza, przy czym na skórze nie czuło nic poza lekkim muśnięciem.

Jednak Biron odczuwał wobec tej metody pewne opory. Mów się powszechnie — trudno stwierdzić, czy były to fakty czy tył opowieści — że wśród Tyrannejczyków jest więcej przypadków raka twarzy niż w innych grupach etnicznych, i niektórzy uważają, że jest to skutek stosowania sprayu do golenia. Biron zastanawiał się, czy nie byłoby lepiej zdepilować twarz na stałe. W niektórych regionach Galaktyki był to rutynowy zabieg. Odrzucił ten pomysł. Depilacja była nieodwracalna. Tymczasem moda może kiedyć przywrócić wąsy czy baki.

Biron przeglądał się w lusterku, zastanawiając się, jak obejrzeć skórę pod szczęką, kiedy od drzwi rozległ się głos Artemizji:

— Myślałam, że położyłeś się spać.

— Tak. I już wstałem. Spojrzał na nią i uśmiechnął się.

Poklepała go po policzku i delikatnie pogłaskała czubkami palców.

— Jest gładka. Wyglądasz jak osiemnastolatek. Przycisnął jej dłoń do ust.

— Niech cię to nie zmyli.

— Wciąż nas obserwują? — spytała.

— Tak. Czy to nie irytujące, te nudne okresy bezczynności, które dają tyle czasu na siedzenie i myślenie.

— Nie uważam ich za nudne.

— Mówisz o innych aspektach sprawy, Arto.

— Dlaczego nie możemy ich ominąć i wylądować na Lingane?

— Myśleliśmy o tym. Ale nie wydaje mi się, żebyśmy byli gotowi na podjęcie takiego ryzyka. Możemy pozwolić sobie na oczekiwanie, dopóki nie zabraknie nam wody.

Rozległ się donośny głos Gillbreta.

— Mówię ci, że się ruszają.

Biron podszedł do aparatury pomiarowej i sprawdził wskazania masometru. Popatrzył na Gillbreta i powiedział:

— Może masz rację.

Przez chwilę coś liczył na kalkulatorze i wpatrywał się w jego wyświetlacz.

— Nie. Te statki nie poruszają się względem nas. Wskazania masometru zmienił trzeci statek, który dołączył do pilnującej nas pary. Na razie mogę powiedzieć, że jest w odległości ośmiu tysięcy kilometrów, około 46 stopni P i 192 stopni Φ od linii łączącej nas z planetą. Jeśli przyjąłem prawidłowe położenie wyjściowe. Jeśli nie, wielkości są odpowiednio 314 i 168 stopni.

Przerwał na chwilę, żeby odczytać nowy wynik.

— Myślę, że się zbliża. To mały statek. Gillbrecie, myślisz, że uda

ci się z nim połączyć?

— Spróbuję.

— W porządku. Ale bez wizji. Zostaw tylko dźwięk, dopóki nie będziemy wiedzieli, kto nadlatuje.

Biron z zachwytem obserwował Gillbreta obsługującego radio podprzestrzenne. Ten starszy mężczyzna miał wrodzony talent. Dotarcie do konkretnego punktu w kosmosie za pomocą ukierunkowanego promienia radiowego nie jest zadaniem łatwym, a urządzenia pokładowe mogą w tym pomóc w nieznacznym stopniu. Dysponował tylko przybliżoną pozycją pojazdu, w rzeczywistości mógł on znajdować się setki kilometrów bliżej lub dalej. Znał też dwa kąty, które mogły różnić się od rzeczywistego o pięć lub sześć stopni w każdym kierunku.

Dawało to przestrzeń o objętości szesnastu milionów kilometrów sześciennych, w której mógł znajdować się poszukiwany statek. Reszta należała do operatora i próbnego strumienie radiowego o średnicy nie przekraczającej ośmiuset metrów Niektórzy utrzymywali, że doświadczony operator, obserwujący reakcje przyrządów pomiarowych, może określić, w jakiej odległości od celu przemknął próbny strumień. Z naukowego punktu widzenia teoria ta była nonsensem, ale często okazywało się, że nie istnieje żadne inne wiarygodne wytłumaczenie takich przypadków.

Nie upłynęło nawet dziesięć minut, gdy aktywny promień został wysłany i *Bezlitosny* nawiązał kontakt.

Po następnych dziesięciu Biron był w stanie porozumieć się i uzyskać odpowiedź.

— Zamierzają przysłać nam na pokład jednego człowieka.

— Czy go przyjmiemy? — spytała Artemizja.

— Dlaczego nie? Jednego człowieka? Jesteśmy uzbrojeni.

— Ale jeśli dopuścimy ich statek zbyt blisko?

— Arta, jesteśmy na tyrannejskim krążowniku. Siła naszego ognia przekracza cztero-, pięciokrotnie ich możliwości, nawet gdyby użyli najlepszego statku, jakimi dysponuje Lingane. Zapis w Akcie stowarzyszenia nie pozwalają im na więcej. Zresztą mamy pięć blasterów wysokiej mocy.

— Umiesz je obsługiwać? Nie wiedziałam.

Biron nie cierpiał przyznawać się do swoich braków, ale powiedział:

— Niestety nie. Na razie. Ale Linganejczycy o tym nie wiedzą.

Pół godziny później na ekranie ukazała się sylwetka statku. Mały cylindryczny statek z dwoma rzędami ustawionych po cztery stateczników, służących do lotów stratosferycznych.

Gdy tylko statek pojawił się w polu widzenia teleskop Gillbret

krzyknął z radości:

— To okręt autarchy! — na jego twarzy pojawił i uśmiech. — To jego prywatny statek. Jestem tego pewien.

Mówiłem wam, że samo moje imię jest pewnym sposobe zwrócenia jego uwagi.

Statek z Lingane przyspieszał i hamował, aż wreszcie znieruchomiał.

Z głośnika dobiegł słaby głos:

— Gotowi do cumowania?

— Gotowi! — potwierdził Biron. — Tylko jedna osoba.

— Jedna osoba — nadeszła odpowiedź.

Z luku przybysza z Lingane wystrzeliła stalowa lina i mknęła ku nim jak harpun. Znajdujący się u jej zakończenia zaczep magnetyczny rósł w polu widzenia ekranu. W miarę jak się zbliżał, jego obraz przesuwał się ku granicy pola widzenia kamery, aż wreszcie zniknął zupełnie.

Rozległ się donośny, głuchy odgłos. Magnetyczny zaczep zakotwiczył. Pomiędzy statkami rozpięła się cienka, pajęcza nić, która z powodu braku ciążenia nie zwisła, zachowując skręty. Poskręcane pętle biegły wciąż do przodu dzięki sile inercji.

Powoli i delikatnie linganejski statek oddalił się i lina została napięta. Wisiała, naprężona i tak cienka, że prawie niewidoczna, delikatnie połyskując w świetle słońca Lingane.

Biron spojrzał w wizjer teleskopu, w którego polu widzenia tkwił powiększony do monstrualnych rozmiarów statek. Można było zobaczyć początek ośmiusetmetrowej łączącej statki liny i małą sylwetkę, która rozpoczynała podróż po linie.

Nie był to zwyczajny sposób przeprawy. Normalnie dwa statki manewrują w przestrzeni tak długo, aż stabilizowane polem magnetycznym, mogą zetknąć się śluzami powietrznymi. W przestrzeni powstaje tunel łączący oba statki i ludzie mogą swobodnie przechodzić z jednego pokładu na drugi, bez żadnej dodatkowej ochrony.

Przy przeprawie po linie niezbędny jest kombinezon próżniowy. Zbliżający się Linganejczyk miał na sobie wielki, wykonany ze stalowego włókna, kosmiczny osprzęt. Poruszanie się w nim wymagało olbrzymiego wysiłku. Nawet z tej odległości Biron mógł dojrzeć, jak jego ramiona zginają się z trudem i wolno zmieniają położenie.

Prędkość obu statków została ostrożnie skorygowana. Każda gwałtowniejsza zmiana napięcia liny mogłaby spowodować odpadnięcie podróżnika. Mógłby polecieć w kierunku odległego słońca.

Nadchodzący Linganejczyk poruszał się pewnie i szybko. Kiedy

się zbliżył, łatwo można było zauważyć, że nie przemieszczał się systemem ręka za ręką. Gdy ręka poprzedzająca ciało podciągała go do przodu, puszczał się liny i szybował kilkanaście metrów przed siebie, po czym drugą ręka łapał linę. przygotowując się do nowego ruchu.

To była brachiacja w przestrzeni kosmicznej. Linganejczyk przypominał metalowego gibbona[1].

— Co by się stało, gdyby nie złapał liny? — spytała Artemizja.

— Wygląda na to, że jest prawdziwym mistrzem — odpowiedział Biron. — Ale gdyby się tak stało, będzie lśnił w świetle słońca. Złapiemy go.

Linganejczyk był już całkiem blisko. Wyszedł z pola widzenia kamery. W ciągu kilku sekund usłyszeli odgłos stóp stąpających po zewnętrznym pancerzu.

Biron sięgnął do dźwigni otwierającej drzwi śluzy. Po chwili, w odpowiedzi na serię sygnałów dobiegających od strony śluzy, otworzył zewnętrzny luk. Za ścianą sterówki rozległ się głuchy odgłos. Zewnętrzny luk zamknął się i odsunęła się ściana w sterówce. Gość wszedł.

Jego kombinezon natychmiast pokrył się szronem, który przesłonił też szybę hełmu mleczną powłoką i zmienił całą sylwetkę w białego bałwana. Wiało od niego chłodem. Biron włączył ogrzewanie i do sterówki wpadł ciepły, suchy podmuch. Jeszcze przez chwilę utrzymywał się szron na kombinezonie i po paru sekundach roztopił się.

Niezgrabne metalowe palce Linganejczyka niecierpliwie grzebały przy zatrzaskach hełmu, jakby jak najszybciej chciał pozbyć się wywołanej śniegiem ślepoty. W pewnej chwili nakrycie głowy uniosło się, a pokrywająca je od wewnątrz gruba i miękka ściółki zmierzwiła włosy przybysza.

— Ekscelencjo! — zawołał Gillbret, po czym dodał triumfalnie. — Bironie, to autarcha we własnej osobie.

Biron, oszołomiony, zdołał jedynie wykrztusić:

— Jonti!

13. Autarcha składa wizytę

Autarcha delikatnie odłożył kombinezon na bok i usiadł wyścielanym fotelu.

— Dawno już nie uprawiałem tego rodzaju gimnastyki — powiedział. — Powiadają, że czego się raz nauczysz, zawsze będziesz umiał, ale w moim przypadku to się nie sprawdziło. Cześć, Farrill! Witam, książę — zwrócił się do Gillbreta. — A to, o ile pamiętam, córka suwerena, pani Artemizja!

Włożył w usta długiego papierosa i zapalił go, zaciągając się głęboko. Powietrze wypełnił zapach wonnego tytoniu.

— Nie spodziewałem się, że zobaczę cię tak szybko, Farrill — dodał.

— A może w ogóle? — skwitował kwaśno Biron.

— Nigdy nic nie wiadomo — zgodził się autarcha. — Jakkolwiek krótka wiadomość „Gillbret", moja pewność, że Gillbret nie potrafi pilotować statków kosmicznych, fakt, że sam skierowałem na Rhodię młodzieńca znającego pilotaż i zdolnego do porwania tyrannejskiego krążownika, by uciec, a także to, że jeden z pasażerów tego krążownika został opisany jako młody człowiek o arystokratycznym wyglądzie — wszystko prowadziło do oczywistego wniosku. Nie jestem zaskoczony.

— Myślę, że jesteś, i to bardzo — wybuchnął Biron. — Jako morderca, powinieneś być zaskoczony. Wydaje ci się, że rozumuję mniej sprawnie niż ty?

— Mam o tobie jak najlepsze mniemanie, Farrill. Autarcha nie wydawał się zakłopotany i Biron poczuł się niezręcznie z powodu swojego nieopanowania. Zwrócił się gwałtownie do pozostałych.

— Ten człowiek to Sander Jonti, ten, o którym wam mówiłem. Może sobie być autarchą Lingane, a nawet jeszcze pięćdziesięciu innych światów. To bez znaczenia. Dla mnie jest Sanderem Jontim.

— To jest człowiek, który… — powiedziała Artemizja.

— Opanuj się, Bironie. Oszalałeś?

— To jest ten człowiek! Nie oszalałem! — krzyknął Biron. Z trudem hamował zdenerwowanie. — W porządku. Nie ma się o co sprzeczać. Opuść mój statek, Jonti. Mówię wyraźnie. Opuść mój statek.

— Dlaczego, mój drogi Farrillu?

Gillbret wydawał jakieś nieartykułowane dźwięki, ale Biron odsunął go na bok i stanął przed siedzącym autarchą.

— Popełniłeś jeden błąd, Jonti. Tylko jeden. Nie mógł przewidzieć, że wychodząc z pokoju, tam na Ziemi, zostawię w środku mój ręczny zegarek. Widzisz, w jego bransoletkę jest wtopiony pasek,

czujnik promieniowania.

Autarcha wypuścił kółko dymu i uśmiechnął się.

— Ten pasek nigdy nie zabarwił się na niebiesko — kontynuował Biron. — Tamtej nocy nie było w moim pokoju żadnej bomby. To była starannie zaplanowana prowokacja! Jeśli teraz zaprzeczasz, jesteś kłamcą, Jonti, autarcho czy jak tam chcesz żeby cię tytułować.

Co więcej, to ty ją zaplanowałeś. Uśpiłeś mnie hypnitem i zaaranżowałeś całą komedię. Doskonale wiesz, że to ma ręce i nogi. Gdybyś mnie pozostawił sobie samemu, przespałbym ca noc i w ogóle nie zauważyłbym nic podejrzanego. Któż więc zadzwonił do mnie w środku nocy, żeby mieć pewność, że się obudzę? Obudzę się i znajdę bombę, która została umieszczona tuż obok licznika, żebym jej nie przeoczył? Kto wypalił blasterem zablokowany zamek w drzwiach do mojego pokoju, żebym mógł go opuścić, zanim stwierdzę, że bomba jest atrapą? Musiałeś się dobrze bawić tamtej nocy, Jonti.

Biron czekał na reakcję, ale autarcha zaledwie uprzejmie skinął głową. Biron poczuł przypływ furii. Zupełnie jakby tłukł poduszki, bił wodę albo kopał powietrze.

Powiedział ostro:

— Mój ojciec nie był jeszcze stracony. Dowiedziałbym się o tym wystarczająco wcześnie. Mógłbym pojechać na Nefelos albo nie. Mógłbym kierować się własnym rozeznaniem sytuacji, przeciwstawić się Tyrannejczykom jawnie lub skrycie, w zależności od mojej decyzji. Znałbym swoje szansę. Mógłbym się przygotować na różne ewentualności.

Ale ty chciałeś, żebym pojechał na Rhodię i spotkał się z Hinrikiem. Wiedziałeś, że w normalnej sytuacji nie uda ci się zmusić mnie, żebym zrobił to, czego ty chcesz. Nigdy bym nie poszedł do ciebie po radę. Dlatego zaaranżowałeś całą tę sytuację!

Uwierzyłem, że miałem zginąć od bomby i nie wiedziałem dlaczego. Ale ty wszystko wiedziałaś. Ty rzekomo uratowałeś mi życie. Wydawało się, że wiesz wszystko, co powinienem zrobić dalej. Byłem wytrącony z równowagi. Zrobiłem, co radziłeś.

Bironowi zabrakło tchu i czekał na odpowiedź. Nie było jej.

— Nie raczyłeś mnie poinformować, że statek, którym odleciałem z Ziemi, należał do floty Rhodii ani że kapitan został uprzedzony, kim jestem. Nie powiedziałaś mi, że twoim zamiarem jest, bym natychmiast po wylądowaniu na Rhodii znalazł się w rękach Tyrannejczyków. Czy temu też zaprzeczysz?

Zapadła długa chwila ciszy. Jonti wyrzucił niedopałek papierosa.

Gillbret zirytował się.

— Jesteś śmieszny, Biron. Autarcha nie mógłby… Nagle Jonti spojrzał i powiedział cicho:

— Ale autarcha mógł. Potwierdzam wszystko. Prawie masz rację,

Biron, i gratuluję ci zdolności wnioskowania. Podłożenie nieprawdziwej bomby było przeze mnie zaplanowane, wysłałem cię też na Rhodię, abyś został zaaresztowany przez Tyrannejczyków.

Twarz Birona odprężyła się. Kolejna zagadka została wyjaśniona.

— Pewnego dnia, Jonti — odezwał się Biron — wyrównamy rachunki. W tej chwili wygląda na to, że jesteś autarchą Lingane i oczekują na ciebie trzy statki kosmiczne. Trochę krępuje mi to ruchy. Ale *Bezlitosny* jest mój, a ja jestem pilotem. Włóż kombinezon i wynoś się! Lina jest jeszcze na miejscu.

— To nie jest twój statek, a ty jesteś raczej piratem niż pilotem.

— Jedynym prawem tutaj jest prawo własności. Masz pięć minut na włożenie kombinezonu.

— Nie dramatyzuj, proszę. Jesteśmy sobie potrzebni i wcale nie mam zamiaru odejść.

— Ty nie jesteś mi potrzebny. Nie byłbyś mi potrzebny, nawet gdyby zjawiła się tu cała tyrannejska flota, a ty mógłbyś usunąć ją z kosmosu.

— Farrill — powiedział Jonti — mówisz i zachowujesz się jak dziecko. Pozwoliłem ci powiedzieć wszystko, co chciałeś, czy pozwolisz, że teraz ja zabiorę głos?

— Nie. Nie widzę powodów, dla których miałbym cię słuchać.

— A ten widzisz?

Artemizja krzyknęła. Biron poruszył się i zamarł. Poczerwieniał z wrażenia, spięty i bezradny.

— Poczyniłem pewne przygotowania — ciągnął Jonti. — Przykro mi, że muszę być tak brutalny i użyć broni jako argumentu. Ale wydaje mi się, że to jedyna droga, abyś mnie wysłuchał.

Trzymał w ręku kieszonkowy blaster, który nie służył do obezwładniania, lecz do zabijania!

Od lat prowadzę Lingane do walki z Tyrannejczykami — podjął Jonti. — Wiecie, co to oznacza? To nie jest łatwe, prawie niemożliwe. Wewnętrzne Królestwa nie zaoferują żadnej pomocy. Wiemy to z wieloletniego doświadczenia. Jedynym ratunkiem dla Królestw Mgławicy jest to, co one same dla siebie zrobią. Ale przekonać naszych przywódców to nie jest bezpieczna gra. Twój ojciec był aktywny i został stracony. Z pewnością to nie jest bezpieczne. Pamiętaj o tym.

Uwięzienie twojego ojca było dla nas szokiem. Jego życie i okropna śmierć. On był w naszym wewnętrznym kręgu i Tyrannejczycy omal nie schwytali nas wszystkich. Zostali skierowani na fałszywy ślad. Żeby to zrobić, musiałem bardzo dyplomatycznie rozgrywać moją grę. Nic nie zyskali.

Nie mogłem przyjść do ciebie i powiedzieć: „Farrill, musimy

skierować Tyrannejczyków na fałszywy trop. Jesteś synem rządcy i dlatego także podejrzanym. Wyjedź stąd i nawiąż przyjaźń z Hinrikiem z Rhodii, tak żeby Tyrannejczycy skierowali swoje podejrzenia na niewłaściwy obiekt. To może być niebezpieczne, może cię kosztować życie, ale ideały, dla których zginął twój ojciec, są najważniejsze".

Być może, zgodziłbyś się na to, ale ja nie mogłem podjąć takiego ryzyka. Wplątałem cię bez twojej wiedzy. To było ciężkie przeżycie, ale ja ci je wynagrodzę. Nie miałem jednak wyboru. Obawiałem się, że nie uda ci się przeżyć, ale powiedziałem ci o tym otwarcie. Ale miałeś szansę, i to ci też szczerze powiedziałem. Jak się okazało, przeżyłeś i jestem z tego bardzo zadowolony.

Jest jeszcze jedna rzecz, chodzi o dokument…

— Jaki dokument? — spytał Biron.

— Masz refleks. Mówiłem już, że twój ojciec pracował dla mnie. Tak więc wiem to, co on. Miałeś odnaleźć ten dokument i wydawało się, że jesteś do tego doskonały. Przebywałeś na Ziemi oficjalnie. Byłeś młody i nikt cię nie podejrzewał. Ale jak powiedziałem, tak się tylko wydawało.

Po aresztowaniu ojca znalazłeś się w niebezpieczeństwie. Dla Tyrannejczyków stałbyś się pierwszym podejrzanym. Nie mogliśmy więc dopuścić, aby dokument znalazł się w twoim posiadaniu, mógłby bowiem dostać się w ich ręce. Musieliśmy odesłać cię z Ziemi, zanim zdążyłeś wypełnić swoją misję. Jak widzisz, wszystko się ze sobą łączy.

— Masz go teraz? — spytał Biron.

— Nie, nie mam — odparł autarcha. — Dokument, który mógłby być tym, o który nam chodzi, zniknął z Ziemi przed laty. Jeśli to był właśnie ten, nie wiem, w czyim może być posiadaniu. Mogę już schować blaster? Trochę mi ciąży.

— Odłóż go — zgodził się Biron. Autarcha schował broń.

— Co ci ojciec mówił o tym dokumencie? — spytał Jonti.

— Nic, czego byś nie wiedział, przecież pracował dla ciebie.

— Właśnie! — w uśmiechu autarchy nie było wesołości.

— Czy już powiedziałeś wszystko, co miałeś do powiedzenia?

— Tak.

— W takim razie — powiedział Biron — wynoś się.

— Poczekaj, Biron — wtrącił Gillbret. — Tu nie chodzi tylko o twoje osobiste porachunki. Jeszcze jest Artemizja i ja. My też mamy coś do powiedzenia. Przynajmniej dopóki to, co mówi autarcha, ma sens. Przypominam ci, że na Rhodii uratowałem ci życie, tak więc moje zdanie też powinno być wzięte pod uwagę.

— W porządku. Uratowałeś mi życie! — krzyknął Biron. Wskazał na luk. — Wyjdź razem z nim. Chciałeś znaleźć autarchę. Znalazłeś!

Zgodziłem się zawieźć cię do niego i dotrzymałem obietnicy. Nie mów mi, co mam robić.

Zwrócił się do Artemizji. Kipiał ze złości.

— A co z tobą? Ty też uratowałaś mi życie. Każde z was uratowało mi życie. Chcesz iść razem z nimi?

— Nie wypowiadaj się w moim imieniu, Biron — powiedziała chłodno. — Jeśli będę chciała iść z nim, to powiem.

— Nie czuj się zobowiązana. Możesz odejść w każdej chwili. Widział, że ją zranił, i odwrócił głowę. Jakąś rozsądniejszą częścią własnej osoby wiedział, że zachował się dziecinnie. Wygłupił się przed Jontim i czuł się bezradny wobec targających nim emocji. A jednak — dlaczego tak łatwo pogodzili się ze stwierdzeniem, że Birona Farrilla rzucono na pożarcie Tyrannejczykom jak psom kość, tylko po to, aby uratować skórę Jontiego. A niech ich! Co oni sobie myślą, że kim jest?

Pomyślał o niby-bombie, o liniowcu z Rhodii, Tyrannejczykach, nerwowej nocy na Rhodii i poczuł litość nad sobą.

— No i co, Farrill? — spytał autarcha.

— No i co, Biron? — spytał Gillbret.

— A co ty myślisz? — zwrócił się Biron do Artemizji.

— Sądzę, że on ma trzy statki w pobliżu i w dodatku jest autarchą Lingane. Nie wydaje mi się, żebyś miał jakiś wybór.

Autarcha spojrzał na Artemizję, a w jego wzroku Biron zauważył podziw.

— Jest pani bardzo inteligentną dziewczyną. To bardzo miło, że taki intelekt ma tak atrakcyjne opakowanie — Jonti zmrużył oczy.

— No dobrze, o co chodzi? — odezwał się Biron.

— Pozwólcie mi wykorzystać wasze nazwiska i kontakty, a ja doprowadzę was do nazwanej tak przez księcia Gillbreta planety rebelii.

— Myślisz, że jest taka? — spytał gorzko Biron.

— Przecież to twoja… — powiedział równocześnie Gillbret.

— Myślę, że jest taka planeta, jaką opisałeś, książę, ale to nie moja — uśmiechnął się autarcha.

— Nie twoja? — wyraził rozczarowanie Gillbret.

— A czy to ma jakieś znaczenie, jeśli potrafię ją znaleźć?

— Jak? — zdziwił się Biron.

— To nie takie trudne, jak wam się wydaje — powiedział autarcha. — Jeśli uznamy, że historia, którą nam opowiedziano, jest prawdziwa, musimy uwierzyć w istnienie planety przygotowującej powstanie przeciwko Tyrannejczykom. Musimy przyjąć, że jest gdzieś w sektorze Mgławicy i przez dwadzieścia lat Tyrannejczykom nie udało się jej odkryć. Jeśli to wszystko prawda, istnieje tylko jedno miejsce w sektorze, gdzie taka planeta może się znajdować.

— I gdzie to jest?

— Jeszcze nie wpadliście na oczywiste rozwiązanie? Czyż nie jest jasne, że taki świat może znajdować się tylko wewnątrz Mgławicy?

— Wewnątrz Mgławicy!

— No tak! Wielka Galaktyka! — wykrzyknął Gillbret.

I rzeczywiście, w tej chwili rozwiązanie stało się jasne i oczywiste.

— Czy na planetach wewnątrz Mgławicy mogą żyć ludzie? — spytała nieśmiało Artemizja.

— Dlaczego nie? — odpowiedział autarcha. — Masz błędne wyobrażenie o Mgławicy. W przestrzeni występuje ciemna mgła, ale to nie jest trujący gaz, tylko niezwykle rozrzedzona masa pyłu absorbującego i wygaszającego światło gwiazd wewnątrz Mgławicy. Oraz oczywiście gwiazd leżących za obłokiem. W każdym razie pył jest zupełnie nieszkodliwy i w bezpośrednim sąsiedztwie gwiazdy praktycznie niewyczuwalny.

Przepraszam, jeśli wydam się pedantyczny, ale spędziłem kilka ostatnich miesięcy na Uniwersytecie Ziemskim zbierając dane dotyczące Mgławicy.

— Dlaczego tam? — spytał Biron. — To nie ma wielkiego znaczenia, ale spotkałem cię na Ziemi i po prostu jestem ciekaw.

— To żadna tajemnica. Opuściłem Lingane w prywatnych sprawach, nieważne jakich. Około pół roku temu odwiedziłem Rhodię. Mój agent z Widemos, twój ojciec, Bironie, poniósł porażkę w negocjacjach z suwerenem, którego mieliśmy nadzieję przeciągnąć na naszą stronę. Usiłowałem pomóc, ale także i mnie się nie udało. Hinrik, za pani przeproszeniem, nie jest materiałem na takiego współpracownika.

— Proszę, proszę — mruknął Biron.

— Ale spotkałem Gillbreta — kontynuował autarcha — pewnie już wam mówił. Tak więc, poleciałem na Ziemię, ponieważ jest ona kolebką ludzkości. Wszyscy najlepsi badacze Galaktyki pochodzili z Ziemi i właśnie tam jest najwięcej źródeł informacji. Mgławica Końska Głowa została dość dokładnie zbadana, a przynajmniej dokonano przez nią licznych przelotów. Nigdy nie założono tam kolonii, ponieważ trudności nawigacji w przestrzeni kosmicznej, w której nie można korzystać z obserwacji astronomicznych, były zbyt wielkie. Mnie interesowały jednak tylko wyniki badań naukowych.

Teraz słuchajcie uważnie. Tyrannejski statek, na którym książę Gillbret został rozbitkiem, został uszkodzony przez meteor po pierwszym skoku. Zakładając, że podróż z Tyranna na Rhodię przebiegała wzdłuż rutynowej trasy, a nie ma podstaw, żeby to kwestionować, punkt, w którym statek opuścił trasę, może być obliczony. Pomiędzy pierwszym a drugim skokiem statek nie mógł przelecieć w zwyczajnej przestrzeni więcej niż osiemset tysięcy

kilometrów. Taką odległość w kosmosie możemy uznać za punkt.

Możliwe jest także inne założenie. Jest całkiem prawdopodobne, że uszkadzając aparaturę kontrolną meteor mógł zmienić kierunek skoków. Wystarczyłoby tylko zakłócenie równowagi żyroskopu. To jest trudne, ale nie niemożliwe. Zmiana mocy napędu mogłaby nastąpić przy uszkodzeniu silników, które jednak nie zostały przez meteor naruszone.

Przy nie zmienionej mocy silników długość czterech skoków nie uległaby zmianie, ani też ich kierunki. Można by to porównać do długiego, pogiętego drutu; znamy jego początek, ale nie wiemy, w jakim kierunku ani pod jakim kątem wobec niego znajduje się jego koniec. Końcowa pozycja statku powinna leżeć na powierzchni umownej kuli, której środek jest umieszczony w miejscu, gdzie uderzył meteoryt, a promień równy jest sumie odbytych skoków.

Wykreśliłem tę kulę i jej powierzchnia przecięła się z Końską Głową. Około jednej czwartej powierzchni tej sfery znalazło się na terenie Mgławicy. Pozostało tylko odnaleźć gwiazdę należącą do Mgławicy i leżącą w odległości nie większej niż półtora miliona kilometrów od powierzchni naszej kuli. Pamiętacie, ż kiedy statek Gillbreta znalazł się u celu, był w bezpośrednim sąsiedztwie gwiazdy.

A teraz powiedzcie mi, ile gwiazd w Mgławicy odnaleźliśmy w takiej odległości od powierzchni kuli? Pamiętajcie, że w Galaktyce świeci sto miliardów gwiazd.

— Przypuszczam, że setki — powiedział Biron, który niejaki wbrew sobie słuchał całego wywodu.

— Pięć! — odpowiedział autarcha. — Tylko pięć. Nie dajcie się zwieść tym stu miliardom. Galaktyka ma około siedmiu bilionów sześciennych lat świetlnych objętości, tak więc na jedną gwiazdę przypada około siedemdziesięciu takich jednostek. Szkoda, że nie wiem, która z tych pięciu gwiazd ma dające się zasiedlić planety. Moglibyśmy ograniczyć nasze poszukiwania. Niestety dawni badacze nie mieli zbyt wiele czasu na szczegółowe obserwacje. Określili tylko położenie gwiazd, kierunek ich ruchu i przeprowadzili analizę spektralną.

— W jednym z tych pięciu układów leży świat rebeliantów? — spytał Biron.

— Taki wniosek wypływa ze znanych nam faktów.

— Pod warunkiem że przyjmujemy opowieść Gilla.

— Zrobiłem takie założenie.

— Moja historia jest prawdziwa — gwałtownie przerwał Gillbret. — Przysięgam.

— Jestem gotowy wyruszyć — powiedział autarcha — na wyprawę badawczą do tych pięciu układów. Moje motywy są oczywiste. Jako autarcha Lingane mogę wziąć czynny udział w ich

przygotowaniach.

— I mając dwójkę z rodu Hinriadów i jednego z Widemos po swojej stronie, możesz złożyć poważną ofertę i prawdopodobnie zapewnić sobie mocną i pewną pozycję w nowym, wolnym świecie, który nadejdzie — dowodził Biron.

— Twój cynizm mnie nie odstrasza, Farrill. Odpowiedź oczywiście brzmi tak: Jeśli ta rewolucja zakończy się sukcesem, dobrze będzie być po zwycięskiej stronie.

— Inaczej, jakiś zdolny pirat lub rewolucjonista mógłby zostać obrany autarchą Lingane.

— Lub rządcą Widemos. Właśnie o to chodzi.

— A jeśli rewolucja się nie powiedzie?

— Właściwa chwila na rozstrzygnięcie tej kwestii nadejdzie dopiero wtedy, kiedy znajdziemy obiekt naszych poszukiwań.

— Jadę z tobą — wyrzekł powoli Biron.

— Dobrze! Trzeba więc poczynić przygotowania do przeniesienia cię z tego statku.

— Dlaczego?

— Tak będzie lepiej dla ciebie. Ten statek to zabawka.

— To statek wojenny Tyrannejczyków. Nie biorąc go, postąpimy nierozważnie.

— Jako tyrannejski statek wojenny, będzie niebezpiecznie rzucać się w oczy.

— Nie w Mgławicy. Przykro mi, Jonti. Przyłączam się do ciebie dlatego, że odpowiada to również moim celom. Mogę być szczery. Też chcę odnaleźć rebeliantów, ale między nami nie ma przyjaźni. Zostaję pod własnymi rozkazami.

— Bironie — wtrąciła Artemizja — ten statek jest zbyt mały dla nas trojga.

— W tej chwili tak. Ale można przyłączyć do niego naczepę. Jonti doskonale o tym wie, tak jak ja. Możemy mieć dość przestrzeni i nadal być panami siebie samych. A poza wszystkim to doskonale zamaskuje prawdziwy charakter tego statku.

— Skoro nie ma mowy o pełnym zaufaniu i przyjaźni, Farrill — zgodził się autarcha — muszę zadbać o siebie. Możesz mieć własny statek i naczepę, wszystko uzbrojone jak tylko zechcesz. Ale ja muszę mieć gwarancje, że będziesz zachowywał się jak trzeba. Księżniczka Artemizja pojedzie ze mną.

— Nie! — krzyknął Biron.

— Nie? — Autarcha, zdziwiony, uniósł brwi. — Pozwól wypowiedzieć się damie. — Gdy zwrócił się do Artemizji, nozdrza mu drżały. — Nie wątpię, że ma tu pani wszelkie wygody…

— Moja obecność na pańskim statku zagraża pańskim wygodom — odpowiedziała. — To pewne. Zaoszczędzę panu kłopotów i

pozostanę tutaj.

— Myślę, że mogłaby pani to jeszcze przemyśleć… — zaczął autarcha, a zmarszczka na jego czole zburzyła wrażenie dobrotliwości, jakie do tej pory starał się wywołać.

— A ja myślę, że nie — przerwał mu Biron. — Księżniczka Artemizja dokonała już wyboru.

— I ty go popierasz, Farrill? — Autarcha znowu się uśmiechał.

— W całej rozciągłości! Wszyscy troje pozostaniemy na pokładzie *Bezlitosnego*. Nie będzie żadnych kompromisów w tym względzie.

— Dobrałeś sobie osobliwe towarzystwo.

— Czyżby?

— Tak sądzę — autarcha z zainteresowaniem oglądał swoje paznokcie. — Jesteś na mnie zły, bo oszukałem cię i naraziłem na niebezpieczeństwo. To jednak dziwne, że utrzymujesz tak przyjacielskie stosunki z córką człowieka takiego jak Hinrik, który dla mnie jest mistrzem zdrady.

— Znam Hinrika. Twoja opinia o nim niczego nie zmieni.

— Nie wiesz o nim wszystkiego.

— To, co wiem, wystarcza mi.

— A czy wiesz, że to on zabił twojego ojca? — Palec autarchy oskarżycielsko skierował się ku Artemizji. — Czy zdajesz sobie sprawę, że dziewczyna, którą tak bardzo chcesz wziąć pod swoje skrzydła, jest córką mordercy twojego ojca?

14. Autarcha odchodzi

Na chwilę wszyscy zamarli w bezruchu. Autarcha zapalił następnego papierosa. Był całkowicie rozluźniony, na jego twarzy nie malowały się żadne uczucia. Gillbret skulił się w jednym z foteli pilotów, jego skrzywiona twarz przybrała taki wyraz, jakby za chwilę miał wybuchnąć płaczem. Zwisające bezwładnie pasy zestawu antyprzyspieszeniowego wzmagały ponury wydźwięk tej sceny.

Biron, pobladły, zaciskając pięści, wpatrywał się w autarchę. Artemizja, z twarzą pełną napięcia, nie zważała na Jontiego. Patrzyła tylko na Birona.

Nagle rozległ się sygnał wezwania radiowego. Ciche dźwięki rozbrzmiały w małej sterówce jak głos cymbałów.

Gillbret poderwał się, po czym z powrotem opadł na fotel.

— Obawiam się, że rozmawialiśmy dłużej, niż planowałem — powiedział wolno autarcha. — Poleciłem Rizzettowi, żeby mnie wezwał przez radio, jeśli nie wrócę przed upływem godziny.

Na ekranie pojawiła się siwiejąca głowa Rizzetta. Gillbret przekazał wiadomość autarsze:

— Twój adiutant chce z tobą rozmawiać — ustąpił Jontiemu miejsca przy konsolecie radia.

Autarcha wstał ze swojego fotela i podszedł do aparatury, tak że jego głowa znalazła się w strefie transmisji.

— Wszystko w porządku, Rizzett. Następne pytanie było doskonale słyszalne.

— Kto jest na pokładzie tego statku?

Nagle Biron podszedł do kamery i stanął za autarcha.

— Jestem rządcą Widemos — oświadczył dumnie.

Rizzett uśmiechnął się radośnie. Na ekranie mignęła jego ręka w krótkim salucie.

— Witam pana.

— Wkrótce wracam w towarzystwie młodej damy — przerwał autarcha. — Przygotujcie się do manewru połączenia śluz.

Przerwał połączenie wyłączając aparaturę i zwrócił się do Birona.

— Przekonałem ich, że to ty jesteś na pokładzie. Przedtem mieli mnóstwo obiekcji przeciw mojej samotnej wyprawie. Twój ojciec był bardzo popularny wśród moich ludzi.

— Dlatego możesz teraz wykorzystać moje nazwisko. Autarcha wzruszył ramionami.

— Ale tylko nazwisko — ciągnął Biron. — Ostatnie zdanie, które wygłosiłeś do swojego adiutanta, nie odpowiada prawdzie.

— To znaczy?

— Artemizja oth Hinriad zostaje ze mną.

— Jednak? Po tym, co ci powiedziałem?

— Niczego mi nie powiedziałeś — odparł ostro Biron. — Wygłosiłeś oświadczenie nie poparte żadnymi dowodami, a ja nie zamierzam wierzyć ci na słowo. Mówię to, nie owijając w bawełnę, i mam nadzieję, że zrozumiałeś.

— Czy tak dobrze znasz Hinrika, że moje stwierdzenie jest dla ciebie niewiarygodne?

Biron zawahał się. Uwaga Jontiego wzbudziła w nim widoczne wątpliwości. Nie odpowiedział.

— Ja twierdzę, że się mylisz — odezwała się Artemizja. — Czy masz jakieś dowody?

— Nie bezpośrednie. Nie byłem świadkiem żadnej rozmowy twojego ojca z Tyrannejczykami. Ale mogę przedstawić trochę znanych mi faktów, a wy wyciągniecie wnioski. Po pierwsze, stary rządca Widemos odwiedził Hinrika pół roku temu. Już to zresztą mówiłem. Mogę dodać, że był ogromnym entuzjastą i, być może, zbytnio zaufał dyskrecji Hinrika. W każdym razie powiedział więcej, niż powinien. Książę Gillbret może to potwierdzić.

Przygnębiony Gillbret przytaknął. Spojrzał na Artemizję, która przyglądała mu się ze łzami w oczach.

— Przykro mi, Arto, ale to prawda. Mówiłem ci o tym. O autarsze usłyszałem właśnie od rządcy Widemos.

— Na szczęście dla mnie — kontynuował Jonti — Gillbret od lat ulepszał aparaty podsłuchowe, dzięki którym mógł śledzić poczynania suwerena. Zostałem ostrzeżony przed niebezpieczeństwem, prawie przez przypadek, podczas pierwszego spotkania z Gillbretem. Wyjechałem najszybciej jak mogłem, ale zło już się stało.

Teraz wiemy, że było to jedyne potknięcie rządcy, no a Hinrik nie cieszy się szczególnie dobrą reputacją. Z pewnością nie można go nazwać człowiekiem niezależnym i odważnym. Nie minęło pół roku, a twój ojciec, Farrill, został aresztowany. Czyja to może być sprawka jeśli nie Hinrika, ojca tej dziewczyny?

— Nie ostrzegłeś go? — spytał Biron.

— Nieraz wiele ryzykujemy, Farrill, ale on został ostrzeżony. Potem przestał się z nami kontaktować i zniszczył wszystkie dowody świadczące o jakichkolwiek powiązaniach z nami. Niektórzy wierzyli, że uda mu się opuścić sektor lub w ostateczności ukryje się. Jednak nie zrobił tego.

Wydaje mi się, że rozumiem jego pobudki. Jakakolwiek poważniejsza zmiana w jego życiu mogłaby potwierdzić podejrzenia Tyrannejczyków i narazić na niebezpieczeństwo nasz cały ruch. Zdecydował się zaryzykować głowę i zrezygnował z ukrycia. Niemal przez pół roku Tyrannejczycy oczekiwali na jego fałszywy krok. Są bardzo cierpliwi. Ponieważ twój ojciec nie popełnił błędu, nie mogli

czekać dłużej. Nie udało im się jednak znaleźć dowodów przeciwko niemu.

— Kłamstwo! — krzyknęła Artemizja. — Same kłamstwa! To obłudna i zakłamana historia, w której nie ma jednego słowa prawdy. Gdyby to wszystko było prawdą, Tyrannejczycy nie spuściliby ciebie z oka. Sam znalazłbyś się w niebezpieczeństwie. Nie siedziałbyś tu uśmiechając się i tracąc czas po próżnicy.

— Ja nie tracę czasu, moja pani. Postarałem się już zrobić wszystko co możliwe, aby zdyskredytować twojego ojca jako źródło informacji. I wydaje się, że odniosłem sukces. Tyrannejczycy nie dadzą wiary człowiekowi, którego córka i kuzyn są zdrajcami. A jeśli nawet dalej będą mu ufać, właśnie wyruszam do wnętrza Mgławicy, gdzie już mnie nie znajdą. Tak więc, moje postępowanie przemawia na rzecz prawdziwości tej historii.

Biron odetchnął głęboko.

— Uznajmy tę rozmowę za zakończoną. Zgodziliśmy się towarzyszyć ci, a ty zobowiązałeś się dostarczyć nam konieczne wyposażenie. To wystarczy. Nawet jeśli wszystko, co od ciebie usłyszeliśmy, jest najszczerszą prawdą, i tak nie ma to związku z obecną sytuacją. Córka suwerena Rhodii nie odpowiada za jego zbrodnie. Artemizja oth Hinriad zostaje ze mną, o ile sama nie zdecyduje inaczej.

— Zostaję — oznajmiła Artemizja.

— Doskonale. To definitywnie zamyka sprawę. Przy okazji chcę cię ostrzec. Jesteś uzbrojony, ale my też. Ty dysponujesz kilkoma marnymi myśliwcami, ja — tyrannejskim krążownikiem.

— Nie bądź dzieckiem, Farrill. Mam przyjazne zamiary. Chcesz, żeby dziewczyna została z tobą? Niech tak będzie. Czy mogę wyjść przez połączone śluzy?

Biron skinął głową.

— Na tyle mogę ci zaufać.

Dwa statki manewrowały zbliżając się do siebie, dopóki wyrastające z ich śluz elastyczne korytarze nie znalazły się naprzeciwko. Zbliżały się, dążąc do idealnego połączenia. Gillbret utrzymywał łączność radiową.

— Za dwie minuty spróbują znowu — oznajmił. Trzykrotnie statki uruchamiały swoje pola magnetyczne, a wystające rękawy mijały się.

— Dwie minuty — powtórzył Biron i oczekiwał w napięciu. Kolejny ruch i pola magnetyczne zostały zaktywowane po raz czwarty. Światła przygasły, ponieważ silniki gwałtownie zwiększyły pobór mocy. Tunele ponownie sięgnęły ku sobie, przez ułamek sekundy zastygły w przestrzeni, po czym połączyły się w bezdźwięcznym uderzeniu, które wstrząsnęło całym statkiem Zatrzaski zaskoczyły

automatycznie. Po chwili osiągnięto pełną hermetyczność.

Biron wolno otarł czoło wierzchem dłoni. Poczuł, jak opuszcza go napięcie.

— Proszę — powiedział.

Autarcha podniósł swój kombinezon. Została pod nim mokra plama.

— Dziękuję — odrzekł uprzejmie. — Za chwilę zjawi się mój oficer. Omówicie z nim wszystkie szczegóły dotyczące niezbędnego wyposażenia.

Autarcha wyszedł.

— Zajmij się przez chwilę oficerem Jontiego, dobrze? — poprosił Biron Gillbreta. — Kiedy wejdzie, przerwij połączenie śluz. Wystarczy wyłączyć pole magnetyczne. Naciśnij ten guzik.

Odwrócił się i wyszedł ze sterówki. Potrzebował trochę czasu dla siebie. Przede wszystkim chciał pomyśleć.

Za jego plecami rozległ się jednak dźwięk pospiesznych kroków i delikatny głos. Zatrzymał się.

— Chcę z tobą porozmawiać — powiedziała Artemizja. Odwrócił się do niej.

— Później, Arto, jeśli nie masz nic przeciw temu. Patrzyła na niego w napięciu.

— Nie, teraz.

Trzymała wyciągnięte ręce, jakby zamierzała go objąć, ale nie była pewna jego reakcji.

— Nie wierzysz chyba w to, co autarcha mówił o moim ojcu?

— To nie ma znaczenia — odparł.

— Bironie… — zaczęła i przerwała. Słowa przychodziły jej z trudem. Spróbowała jeszcze raz. — Bironie, zdaję sobie sprawę, że to, co zaszło między nami, stało się po części dlatego, że oboje byliśmy samotni w obliczu niebezpieczeństwa, ale… — Znowu przerwała.

— Jeśli chcesz mi powiedzieć, że należysz do rodu Hinriadów, Arto, to nie ma takiej potrzeby. Wiem o tym. Nie chcę cię do niczego zmuszać.

— Nie — chwyciła go za rękę i przytuliła się do jego ramienia. — To nie o to chodzi. Rody Hinriadów i Widemosów nie mają tu nic do rzeczy. Ja… ja cię kocham, Bironie.

Spojrzała mu w oczy.

— Myślę, że ty też mnie kochasz. Myślę też, że przyznałbyś się do tego, gdybyś zdołał zapomnieć, że jestem jedną z Hinriadów. Może uda ci się to teraz, kiedy pierwsza wyznałam ci miłość. Powiedziałeś Jontiemu, że nie zamierzasz obwiniać mnie o czyny mojego ojca. Nie miej mi też za złe jego stanowiska.

Objęła go za szyję. Biron poczuł miękkość jej piersi na swym ciele i ciepły oddech na wargach. Powoli jego dłonie przesunęły się ku

górze i delikatnie pogłaskały ramiona dziewczyny. Ostrożnie ujął jej ręce i uwolnił się z ich uścisku. Równie delikatnie odsunął się od niej.

— Jeszcze nie skończyłem z Hinriadami, moja pani — powiedział cicho.

Była wstrząśnięta.

— Powiedziałeś Jontiemu, że… Odwrócił wzrok.

— Przykro mi, Arto. Nie sugeruj się tym, co mówiłem Jontiemu.

Miała ochotę płakać, krzyczeć, że to nieprawda, że jej ojciec nie mógł zrobić tego wszystkiego…

Ale Biron wszedł do kabiny i zostawił ją samą w korytarzu. W jej oczach malowały się ból i wstyd.

15. Dziura w przestrzeni

Tedor Rizzett obejrzał się, słysząc, jak Biron wchodzi do kabiny pilota. Choć włosy starszego oficera już posiwiały, jego ciało nadal kipiało energią. Twarz miał szeroką, rumianą i uśmiechniętą.

Jednym krokiem pokonał odległość, dzielącą go od młodzieńca i z radością pochwycił jego dłoń.

— Na gwiazdy! — wykrzyknął. — Nawet gdybyś mi nie powiedział i tak poznałbym, że jesteś synem starego rządcy. Zupełnie jakbym widział go przed sobą!

— Chciałbym, aby tu teraz był — stwierdził poważnym tonem Biron.

Uśmiech Rizzetta zniknął.

— Tak jak i my wszyscy, bez wyjątku. Nazywam się Ted Rizzett — przedstawił się. — Jestem pułkownikiem oficjalnych wojsk linganejskich, ale w naszej grze nie używamy tytułów. Nawet do autarchy zwracamy się „proszę pana". — Jego twarz przybrała ponury wyraz. — Na Lingane nie mamy szlachty ani nawet rządców. Mam nadzieję, że zostanie mi darowane, jeśli czasem zapomnę właściwego zwrotu.

Biron wzruszył ramionami.

— Kogo to obchodzi? Jak sam powiedziałeś, w naszej grze nie liczą się tytuły. Ale co z naczepą? O ile pamiętam, to z tobą miałem wszystko omówić.

Zerknął w drugi koniec pomieszczenia. Gillbret siedział w fotelu i przysłuchiwał się rozmowie. Artemizja stała zwrócona do nich plecami, jej smukłe jasne palce wystukiwały skomplikowany rytm na konsoli komputera. Głos Rizzetta wyrwał Birona z zamyślenia.

Linganejczyk rozejrzał się uważnie po kabinie.

— Pierwszy raz oglądam tyrannejski statek od środka. Niespecjalnie mi się podoba. Śluza awaryjna jest na rufie, tak? A wyloty silników okrążają korpus w połowie jego długości?

— Zgadza się.

— Doskonale. Nie będzie więc żadnych problemów. Niektóre statki starego typu mają wyloty silników na rufie i naczepy trzeba mocować pod kątem. Trudno wtedy dopasować grawitację, a o możliwości manewrowej w atmosferze lepiej nie mówić.

— Jak długo to potrwa, Rizzett?

— Niedługo. A jak duża ma być naczepa?

— Największa, jaką dysponujecie.

— Super de luxe? Jasne. Rozkaz autarchy jest dla nas święty. Możemy podłączyć taką, która jest praktycznie samodzielnym, statkiem kosmicznym. Ma nawet silniki wspomagające.

— Może są tam też kwatery mieszkalne?

— Dla panny Hinriad? Z pewnością lepsze niż to, czym dysponujecie tutaj… — urwał gwałtownie.

Na dźwięk swego nazwiska Artemizja omiotła ich lodowatym spojrzeniem i wolno wypłynęła z kabiny. Rizzett odprowadził ją wzrokiem.

— Chyba nie powinienem był nazywać ją panną Hinriad.

— Nie, nie, to nic. Nie zwracaj na nią uwagi. O czym mówiłeś?

— Och, o naczepie. Są tam co najmniej dwa spore pokoje, prysznic. Do tego normalna garderoba. Rozwiązania hydrauliczne jak na dużym liniowcu. Będzie jej wygodnie.

— Świetnie. Potrzebujemy żywności i wody.

— Oczywiście. Zbiornik wody wystarczy na dwa miesiące, gdybyście chcieli zainstalować na pokładzie basen — na krócej. Dostaniecie też mrożone połcie mięsa. Teraz jecie tyrannejskie koncentraty?

Biron skinął głową i Rizzett skrzywił się z obrzydzeniem.

— Smakują zupełnie jak trociny, prawda? Co jeszcze?

— Zapas ubrań dla pani Artemizji.

Czoło Rizzetta przecięła głęboka zmarszczka.

— Tak, oczywiście. Ale to już ona…

— Nie. Podamy wam wymiary, a wy dostarczycie stroje wedle aktualnie obowiązującej mody.

Pułkownik roześmiał się i potrząsnął głową.

— To jej się nie spodoba, rządco. Nie będzie zadowolona ze strojów, których sama nie wybrała. Nawet jeśli będą to te same modele, które podobałyby się jej, gdyby decydowała sama. Nie żartuję. Miałem już do czynienia z damami.

— Wiem, że masz rację, Rizzett, ale będzie tak, jak powiedziałem.

— W porządku, ale proszę pamiętać, że ostrzegałem. W razie czego — nie na mnie będzie się wściekać. Co jeszcze?

— Drobiazgi. Zupełne drobiazgi. Zapas detergentów. Och, i kosmetyki, perfumy — wszystko, czego używają kobiety. Szczegóły omówimy później. Na razie zajmijmy się samą naczepą.

Teraz Gillbret bez słowa opuścił kabinę. Biron spojrzał za nim i poczuł, jak zaciska mu się szczęka. Hinriadzi! Oboje Hinriadzi. Cóż można na to poradzić? On i ona — oboje Hinriadzi.

— Rzecz jasna, pan Hinriad i ja również potrzebujemy ubrań. Nic specjalnego, nie mamy żadnych wymagań — powiedział głośno.

— Dobrze. Czy mogę skorzystać z waszego radia? Lepiej pozostanę na pokładzie, póki nie poczynimy wszystkich przygotowań.

Biron czekał, aż pierwsze rozkazy popłyną w eter. Wtedy Rizzett odwrócił się w fotelu i stwierdził:

— Nie mogę się przyzwyczaić do twego widoku, do tego, jak się

poruszasz, chodzisz, mówisz. Tak bardzo jesteś do niego podobny. Rządca często o tobie opowiadał. Chodziłeś do szkoły na Ziemi, prawda?

— Owszem. Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, ponad tydzień temu odebrałbym dyplom.

Rizzett wyglądał, jakby coś nie dawało mu spokoju.

— Posłuchaj, co do tego, w jaki sposób znalazłeś się na Rhodii. Nie powinieneś mieć nam tego za złe. Nam też się to nie podobało. Między nami mówiąc, niektórym chłopcom bardzo się to nie podobało. Oczywiście autarcha nie zasięgał naszej opinii, jak zwykle zresztą. Szczerze mówiąc, w tym przypadku sporo ryzykował. Część z nas — nie będę wymieniał nazwisk — zastanawiała się nawet, czy nie powinniśmy zatrzymać twojego liniowca i wyciągnąć cię z niego. Rzecz jasna, byłoby to najgorsze z możliwych rozwiązań. Mogliśmy jednak posunąć się nawet do tego, gdyby nie to, iż po szczegółowej analizie doszliśmy do wniosku, że autarcha najlepiej wie, po robi.

— Przyjemnie wzbudzać podobne zaufanie.

— Znamy go. Nie da się zaprzeczyć, że tu — postukał się w czoło — ma nieźle poukładane. Czasem nikt nie wie, czemu autarcha wybiera akurat dany kurs. Ale zawsze okazuje się, że było to właściwe posunięcie. Przynajmniej dotąd zawsze udawało mu się przechytrzyć Tyrannejczyków. Wszyscy inni przegrywali, wcześniej czy później.

— Na przykład mój ojciec.

— Nie o nim myślałem, ale w pewnym sensie masz rację. Nawet rządca wpadł wreszcie w ich sidła. Ale był też zupełnie inny niż autarcha. Jego myśli biegły zawsze prostym szlakiem. Nigdy nie uciekał się do nieczystych zagrań. Szanował każdego, nawet najprostszego człowieka. I to właśnie najbardziej w nim ceniliśmy. Wszystkich traktowa! jednakowo.

Mimo iż doszedłem do stopnia pułkownika, urodziłem się prostym człowiekiem. Mój ojciec był zwykłym hutnikiem. A jednak twój ojciec traktował mnie jak równego sobie. I nie odnosiło się to jedynie do oficerów. Kiedy spotkał na korytarzu pomocnika inżyniera, podchodził do niego i zamieniał z nim kilka miłych słów. Przez resztę dnia pomocnik czuł się jak naczelny inżynier planety. Było w nim coś takiego…

Nie żeby był miękki. Jeśli ktoś zasłużył na naganę, dostawał ją, ale nic ponadto. Każdy dostawał to, na co zasłużył, i na tym się kończyło. Taki był twój ojciec.

Natomiast autarcha jest zupełnie inny. To sam mózg. Nie sposób się do niego zbliżyć, nieważne, kim się jest. Jest, na przykład, zupełnie pozbawiony poczucia humoru. Z nim nie mógłbym rozmawiać tak, jak rozmawiam teraz z tobą. Teraz po prostu mówię. Jestem odprężony, nie zastanawiam się nad każdym słowem. Z nim trzeba wyrażać się

precyzyjnie, bez żadnych zbędnych ozdobników. I pamiętać o właściwych zwrotach, inaczej, stwierdzi, że się zapominasz. Ale cóż, autarcha to autarcha.

— Muszę się z tobą zgodzić, jeśli chodzi o umysł autarchy — odrzekł Biron. — Wiedziałeś, że drogą dedukcji doszedł to tego, iż to ja muszę być na tym statku? Zanim tu dotarł?

— Naprawdę? Nie mieliśmy pojęcia. To właśnie to, o co mi chodziło. Wybrał się na pokład tyrannejskiego krążownika — sam. Dla nas wyglądało to na samobójstwo. Nie byliśmy zachwyceni. Założyliśmy jednak, że autarcha wie, co robi — i słusznie. Mógł nam powiedzieć, że najprawdopodobniej ty jesteś na tym statku. Na pewno wiedział, że wieść o ucieczce syna rządcy uradowałaby wszystkich. Ale milczał. To typowe dla niego.

Artemizja przysiadła w kabinie na najniższej koi. Musiała się skulić, by krawędź wyższego łóżka nie wpijała się jej w kark. Niewiele ją to jednak obchodziło.

Odruchowo wycierała dłonie o spódnicę. Czuła się brudna, lepka i bardzo zmęczona.

Miała dosyć wycierania twarzy i rąk wilgotnymi chusteczkami, noszenia przez tydzień tego samego ubrania, włosów, zwisających w tłustych strąkach.

Nagle zerwała się na równe nogi, gotowa uskoczyć w bok. Nie chcę go widzieć, nie spojrzę na niego.

Okazało się jednak, ze intruzem był Gillbret. Artemizja opadła na łóżko.

— Witaj, stryju.

Gillbret usiadł naprzeciw niej. Przez chwilę jego pociągła twarz wyrażała niepokój, potem jednak pomarszczył ją uśmiech.

— Ja też uważam, że tydzień na tym statku to nic zabawnego. Miałem nadzieję, że mnie pocieszysz.

— Stryju, nie próbuj używać wobec mnie swoich psychologicznych sztuczek — odparła. — Jeśli sądzisz, że zdołasz wymanewrować mnie tak, bym poczuła się za ciebie odpowiedzialna, to się mylisz. Prędzej rzucę się na ciebie.

— Jeśli przez to poczujesz się lepiej…

— Ostrzegam cię raz jeszcze. Jeśli nadstawisz rękę do ciosu, nie zawaham się. A jeśli powtórzysz: „Czy dzięki temu poczułaś się lepiej?”, zrobię to jeszcze raz.

— Od razu widać, że pokłóciłaś się z Bironem. O co?

— Nie widzę powodów, aby o tym dyskutować. Po prostu zostaw mnie samą. — I po chwili milczenia: — On uważa, że ojciec zrobił to, o co go oskarżył autarcha. Nienawidzę go za to!

— Ojca?

— Nie! Tego głupiego, dziecinnego, uroczystego durnia!

— Zapewne chodzi o Birona. Świetnie. Nienawidzisz go. Co prawda na moje kawalerskie oko nienawiść, która sprawia, że siedzisz tu i płaczesz, wygląda raczej jak wybuch miłości.

— Stryju? Czy on naprawdę mógłby zrobić coś podobnego?

— Biron? Co takiego miałby zrobić?

— Nie! Ojciec. Czy mógłby tak postąpić? Zdradzić rządcę? Gillbret zamyślił się. Jego oczy były poważne, niemal smutne.

— Nie wiem — zerknął na nią z ukosa. — W końcu wydał Birona Tyrannejczykom.

— Bo wiedział, że to pułapka — odrzekła z ogniem. — I tak było. Ten okropny autarcha wszystko zaplanował. Sam to powiedział. Tyrannejczycy wiedzieli, kim jest Biron, i specjalnie wysłali go do ojca. Musiał tak postąpić. To powinno być jasne dla każdego.

— Nawet jeśli przyjmiemy, że masz rację — znów rzucił jej j ukradkowe spojrzenie — próbował przekonać cię do mało zabawnego małżeństwa. Jeśli Hinrik zdobył się na coś takiego… |

Artemizja przerwała mu. |

— Tu także nie miał innego wyjścia.

— Moja droga, jeśli zamierzasz usprawiedliwiać każdy akt uległości wobec Tyrannejczyków jako coś, co musiał zrobić, to skąd wiesz, że nie musiał poinformować ich o działalności rządcy?

— Jestem pewna, że nie zrobiłby tego. Nie znasz ojca tak dobrze jak ja. On nienawidzi Tyrannejczyków. Naprawdę. Wiem o tym. Nie kiwnąłby palcem, aby im pomóc. Przyznaję, że się ich boi i nie śmie otwarcie im się sprzeciwić, lecz gdyby mógł tego uniknąć, nigdy by im nie pomógł.

— A skąd wiesz, że mógł tego uniknąć?

Ona jednak potrząsnęła gwałtownie głową, aż zmierzwione włosy spadły jej na twarz. Częściowo ukryły też łzy.

Gillbret przyglądał jej się przez chwilę, po czym bezradnie rozłożył ręce i wyszedł.

Naczepę podłączono do *Bezlitosnego* wąziutkim korytarzem, wychodzącym ze śluzy awaryjnej na rufie statku. Była kilkakrotnie większa niż tyrannejski krążownik, który w zestawieniu z nią wyglądał wręcz humorystycznie.

Podczas ostatniej inspekcji do Birona dołączył autarcha.

— Czy potrzebujecie jeszcze czegoś? — spytał.

— Nie. Sądzę, że będzie nam tu wygodnie.

— To dobrze. Przy okazji, Rizzett mówi, że pani Artemizja niezbyt dobrze się czuje, a przynajmniej tak wygląda. Jeśli wymaga opieki medycznej, rozsądniej byłoby przenieść ją na mój statek.

— Pani Artemizja czuje się zupełnie dobrze — oznajmił krótko

Biron.

— Skoro tak mówisz. Czy będziecie gotowi do drogi w ciągu dwunastu godzin?

— Nawet dwóch, jeśli sobie życzysz.

Biron przeszedł korytarzykiem (musiał się lekko schylić) do właściwego Bezlitosnego.

— Masz tam osobny apartament, Artemizjo — oznajmił wyważonym, beznamiętnym tonem. — Większość czasu i tak będę spędzał tutaj.

Ona zaś odparła zimno:

— Nie przeszkadza mi pan, rządco. Zupełnie nie interesuje mnie, gdzie pan przebywa.

Nagle statki odpaliły i po wykonaniu zaledwie jednego skoku znalazły się na skraju Mgławicy. Odczekały parę godzin, podczas gdy na statku Jontiego dokonywano ostatecznych obliczeń. Wewnątrz Mgławicy nawigacja odbywać się będzie praktycznie na ślepo.

Biron ponurym wzrokiem wpatrzył się w ekran. Tam nic nie było! Połowę gwiezdnej sfery zasłaniała nieprzenikniona czerń, której nie rozpraszała nawet jedna jaśniejsza iskierka. Po raz pierwszy uświadomił sobie, jak ciepłe i przyjazne są gwiazdy, jak bardzo wypełniają kosmos.

— To zupełnie jakby wpaść w dziurę w przestrzeni — mruknął do Gillbreta.

I wtedy statek ponownie skoczył, wprost w Mgławicę.

Niemal w tym samym momencie Simok Aratap, komisarz Wielkiego Chana, dowodzący dziesięcioma uzbrojonymi krążownikami, wysłuchawszy słów swojego nawigatora, powiedział:

— To nieważne. Ruszajcie za nimi.

I o niecały rok świetlny od miejsca, gdzie *Bezlitosny* zanurzył się w Mgławicę, tyrannejskie statki uczyniły to samo.

16. Ogary!

Simok Aratap czuł się nieswojo w mundurze. Tyrannejskie uniformy szyto z szorstkiego materiału, poza tym na nikogo nie pasowały zbyt dobrze. Wszelako żołnierzowi nie przystoi narzekać na takie drobnostki. Co więcej, tradycja wojskowa wymagała, by żołnierze odczuwali pewną niewygodę. Podobno doskonale wpływało to na dyscyplinę.

Aratap jednak potrafił zdobyć się na odruch buntu przeciw tradycji.

— Ten ciasny kołnierz obciera mi skórę — stwierdził ponuro. Major Andros, którego kołnierz był równie ciasny, a którego nigdy, jak sięgnąć pamięcią, nie widziano w stroju innym niż mundur wojskowy, odezwał się karcąco.

— Kiedy jest pan sam, regulamin zezwala na rozpięcie kołnierza. W obecności innego oficera lub żołnierzy każde odstępstwo od przepisowego uniformu byłoby gorszącym przykładem.

Aratap wciągnął powietrze. To jeszcze jedna przykra konsekwencja quasi-militarnego charakteru obecnej ekspedycji. Oprócz obowiązku noszenia munduru Aratap narażał się na bezustanne wysłuchiwanie swego adiutanta wojskowego, którego pewność siebie stale rosła. Zresztą ich konflikt zaczął się, zanim jeszcze opuścili Rhodię.

Andros wystąpił śmiało.

— Komisarzu, potrzeba nam dziesięciu statków.

Aratap, poirytowany, uniósł wzrok. Do tej pory zamierzał udać się w pościg za młodym Widemosem jednym dużym statkiem. Odsunął na bok kapsuły, w których przygotowywał raport dla Kolonialnego Biura Chana i które miały być wysłane natychmiast w razie niefortunnego końca wyprawy.

— Dziesięciu, majorze?

— Tak jest. Ani jednego mniej.

— Dlaczego?

— Wymagają tego rozsądne granice bezpieczeństwa. Ten młody człowiek dokądś się udaje. Pan twierdzi, iż istnieje doskonale zakonspirowany spisek. Być może, oba te fakty łączą się ze sobą.

— A zatem?

— A zatem musimy być gotowi na spotkanie ze spiskiem o sporym zasięgu. Takim, dla którego pojedynczy statek nie stanowi zagrożenia.

— Ani dziesięć statków. Może nawet setka. Gdzie przebiega granica bezpieczeństwa?

— Ktoś musi podjąć decyzję. W przypadku akcji militarnych

należy to do mnie. Proponuję dziesięć.

W świetle lampy ściennej szkła kontaktowe Aratapa zabłysły nienaturalnie, gdy komisarz uniósł pytająco brwi. Opinie wojskowych zawsze się liczyły. Teoretycznie w czasach pokoju decyzje podejmowali cywile, trudno jednak zlekceważyć odwieczną tradycję.

— Rozważę to — odparł ostrożnie.

— Dziękuję. Ma pan oczywiście prawo — obcasy majora stuknęły głośno, lecz Aratap wiedział, jak niewiele znaczy ta demonstracja szacunku — nie przyjąć mojej sugestii, bo zapewniam, że jest to jedynie sugestia. Wówczas jednak będę zmuszony zrezygnować z dalszego pełnienia swej funkcji.

Aratap nie miał innego wyjścia jak tylko wybrnąć z honorem z zaistniałej sytuacji.

— Nie mam najmniejszego zamiaru podważać pańskich decyzji w kwestiach czysto wojskowych, majorze. Mam nadzieję, iż par zachowa się podobnie wobec mnie w sprawach politycznych.

— Jakie to sprawy?

— Na przykład, jeśli idzie o Hinrika. Wczoraj wysunął pan liczne obiekcje co do mojej propozycji, by zabrać go z sobą.

— Uważam, że to całkiem niepotrzebne — odrzekł suche major. — Obecność obcych podczas akcji źle działa na morale żołnierzy.

Aratap westchnął cicho. Mimo wszystko jednak Andros był w swoim fachu niezwykle kompetentny. Nie ma sensu okazywać mu zniecierpliwienie.

— Tu także zgadzam się z panem. Proszę jedynie, aby rozważył pan polityczne implikacje obecnej sytuacji. Jak pan wie, egzekucja starego rządcy Widemos nie była zbyt szczęśliwym posunięciem. Niepotrzebnie wzburzyła Królestwa. I — choćby nawet była konieczna — teraz powinniśmy się starać dążyć do tego, aby nie przypisano nam również śmierci syna. Obywatele Rhodii wiedzą jedynie, że młody Widemos porwał córkę suwerena, dziewczynę bardzo popularną i chyba najbardziej lubianą z całej rodziny Hinriadów. Wydaje się więc rzeczą oczywistą i całkowicie zrozumiałą, że suweren winien osobiście dowodzić karną ekspedycją. Byłoby to spektakularne posunięcie, znakomicie zadowalające uczucie patriotyzmu mieszkańców Rhodii. Rzecz jasna, suweren poprosiłby Tyrannejczyków o wsparcie i otrzymałby je, tego jednak można by nie nagłaśniać. Opinia publiczna byłaby przekonana, iż to Rhodia zorganizowała całą wyprawę. Gdybyśmy odkryli spisek, byłoby to ich odkrycie. Gdyby młody Widemos został stracony, Królestwa uznałyby to za wewnętrzną sprawę Rhodii.

— A jednak — upierał się major — zgoda na to, by statki z poddańczej planety towarzyszyły tyrannejskiej ekspedycji militarnej, stanowiłaby niedobry precedens. Przeszkadzaliby nam w walce. W

tym momencie problem nabiera znaczenia wojskowego.

— Nie powiedziałem wcale, mój drogi majorze, że Hinrik dowodziłby statkiem. Z pewnością zna go pan na tyle, by wiedzieć, że nie ma do tego zdolności, ani nawet ochoty próbować. Zamieszka na naszym statku. Będzie jedynym obywatelem Rhodii, jakiego zabierzemy.

— W takim razie cofam swój sprzeciw, komisarzu — oświadczył major.

Tyrannejska eskadra przez kilka dni utrzymywała pozycję o dwa lata świetlne od Lingane. Powoli sytuacja stawała się nie do zniesienia.

Major Andros zalecał natychmiastowe lądowanie na planecie.

— Autarcha Lingane — twierdził — uczynił wszystko, abyśmy uważali go za przyjaciela chana, ja jednak nie ufam ludziom, którzy podróżują za granicę. Przychodzą im do głowy dziwaczne pomysły. To dziwne, że akurat gdy autarcha wrócił z wyprawy, młody Widemos postanowił złożyć mu wizytę.

— Nie próbował jednak ukrywać ani swych podróży, ani powrotu, majorze. Zresztą nie wiemy, czy Widemos przybył tu właśnie na spotkanie z autarchą. Nadal siedzi na orbicie. Czemu nie ląduje?

— A dlaczego tkwi na orbicie? Zastanówmy się nad tym, co robi, nie nad tym, czego nie robi.

— Mogę zaproponować rozwiązanie, które pasuje do wzoru.

— Z radością go wysłucham.

Aratap wsunął palec za kołnierz i bezskutecznie spróbował nieco go rozluźnić.

— Ponieważ ten młody człowiek czeka, możemy założyć, iż czeka na coś lub na kogoś. Byłoby głupotą sądzić, że skoro udał się bezpośrednio na Lingane, i to tak szybko — ściślej mówiąc, jednym skokiem — waha się teraz wyłącznie z niezdecydowania. Twierdzę zatem, że czeka na przybycie przyjaciół. Fakt, że nie ląduje na Lingane, wskazywałby na to, iż nie uważa, aby podobne posunięcie było dla niego bezpieczne. Oznaczałoby to, że sama Lingane — szczególnie zaś jej autarchą — nie należy do spisku, choć mogą w nim uczestniczyć niektórzy obywatele.

— Nie jestem pewien, czy powinniśmy zawsze wierzyć, że najbardziej oczywiste wnioski to są wnioski właściwe.

— Mój drogi majorze, ten wniosek nie jest jedynie najbardziej oczywisty. Jest też logiczny. Doskonale pasuje do wzoru.

— Może i tak. Mimo wszystko jednak jeśli w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin nic się nie zdarzy, nie będę miał innego wyjścia jak ruszyć w kierunku Lingane.

Aratap krzywiąc się spojrzał na drzwi, za którymi zniknął major. Kierowanie zarówno niespokojnymi poddanymi, jak i krótkowzrocznymi zdobywcami wymagało wiele wysiłku. Dwadzieścia cztery godziny. Może coś się wydarzy; jeśli nie — będzie musiał wymyślić jakiś sposób, by powstrzymać Androsa.

Nagle zadźwięczał sygnalizator drzwi i komisarz z irytacją uniósł wzrok. Czyżby to znów Andros? Nie. W wejściu ujrzał wysoką przygarbioną sylwetkę Hinrika z Rhodii, za jego plecami majaczyła nieodłączna postać strażnika, który towarzyszył mu od chwili, gdy suweren stanął na pokładzie statku. Teoretycznie Hinrik cieszył się nieograniczoną swobodą ruchów. Zapewne sam również w to wierzył. W każdym razie nigdy nie zwracał uwagi na swą eskortę

— Nie przeszkadzam, Komisarzu? — Hmnk uśmiechnął się żałośnie.

— Oczywiście, że nie. Proszę usiąść, suwerenie — Aratap stał nadal. Hinrik zdawał się tego nie dostrzegać.

— Mam do pana ważną sprawę, którą chciałbym przedyskutować — oświadczył. Z jego głosu zniknęło dotychczasowe napięcie. Rozejrzał się i dodał, zupełnie innym tonem: — Cóż to za wielki, piękny statek!

— Dziękuję, suwerenie — Aratap uśmiechnął się blado. Pozostałe jednostki eskadry to było dziewięć typowych niewielkich krążowników tyrannejskich, lecz okręt flagowy, na pokładzie którego znajdowali się w tej chwili, był rzeczywiście ogromny. Przypominał dawne okręty bojowe Rhodii. Być może, pojawienie się coraz liczniejszych statków tego typu było pierwszym objawem stopniowego złagodzenia obyczajów Tyrannejczyków. Klasyczne eskadry bojowe nadal składały się z maleńkich, dwu-, trzyosobowych krążowników, lecz dowództwo coraz częściej znajdowało powody, by sztaby floty umieszczać na dużych statkach.

Aratap nie miał nic przeciwko temu. Niektórzy żołnierze, zwłaszcza starsi, uważali, że złagodzenie rygorów to najprostsza droga do degeneracji, on jednak uważał, że raczej zbliża ich to do cywilizacji. W końcu — choć zapewne potrwa to wiele stuleci — Tyrannejczycy może nawet znikną jako naród, zmieszają się i rozpłyną wśród podbitych społeczeństw Królestw Mgławicy. I może nie będzie to taka zła rzecz.

Oczywiście nigdy nie wyrażał podobnych opinii na głos.

— Przyszedłem, aby coś panu powiedzieć — oznajmił Hinrik. Myślał chwilę, po czym ciągnął dalej: — Dziś wysłałem wiadomość do moich rodaków. Informuję ich, że czuję się dobrze, złoczyńca wkrótce zostanie schwytany, a moja córka bezpiecznie powróci do domu.

— To dobrze — odparł Aratap. Nie była to dla niego nowina. Sam napisał ową wiadomość, choć możliwe, że Hinrik zdołał już sobie

wmówić, że to on jest jej autorem, czy nawet że osobiście dowodzi wyprawą. Aratap poczuł nagłe współczucie — biedak z dnia na dzień coraz bardziej oddalał się od rzeczywistości.

— Moi poddani byli bardzo zaniepokojeni tym śmiałym napadem na pałac, zorganizowanym przez tak sprawną grupę bandytów. Sądzę, że mogą być ze mnie dumni, prawda, komisarzu? Zadziałałem wszak szybko i zdecydowanie. Przekonają się, że ród Hinriadów nadal wiele znaczy — zakończył triumfalnie.

— Uważam, że będą zachwyceni — potwierdził Aratap.

— Czy mamy już wroga w zasięgu?

— Nie, suwerenie, nieprzyjaciel pozostał tam, gdzie był: niedaleko Lingane.

— Nadal? Och, przypomniało mi się, co miałem panu powiedzieć — Hinrik, podniecony, zaczął mówić chaotycznie i nieskładnie. — To bardzo ważne, komisarzu. Muszę z panem pomówić. Na pokładzie są zdrajcy. Sam to odkryłem. Trzeba natychmiast coś zrobić. Zdrada… — wyszeptał.

Aratapa ogarnęło zniecierpliwienie. Musiał oczywiście uprzejmie wysłuchiwać gadaniny tego biednego idioty, lecz zaczynał mieć dosyć marnowania czasu. Jeśli tak dalej pójdzie, suweren niedługo kompletnie zwariuje i stanie się bezużyteczny nawet jako marionetka. Szkoda.

— Nie ma żadnej zdrady — powiedział głośno. — Nasi ludzie są wierni i lojalni. Ktoś wprowadził pana w błąd. Jest pan zmęczony.

— Nie, nie — Hinrik odsunął rękę Aratapa, która przez moment spoczęła na jego ramieniu. — Gdzie jesteśmy?

— Jak to gdzie? Tutaj!

— Chodzi mi o statek. Przyglądałem się ekranom. W pobliżu nie ma żadnej gwiazdy. Znajdujemy się w głębokiej przestrzeni. Wiedział pan o tym?

— Ależ oczywiście.

— Lingane nie leży nigdzie w sąsiedztwie. O tym też pan wiedział?

— Dwa lata świetlne stąd.

— Aha! Komisarzu, czy nikt nas nie słyszy? Jest pan pewien? — nachylił się ku niemu, Aratap zaś z trudem powstrzymał chęć odsunięcia się. — Skąd zatem wiemy, że wrogowie znajdują się w pobliżu Lingane? Są poza zasięgiem naszych detektorów. Ktoś udziela nam fałszywych informacji, a to oznacza zdradę.

Cóż, może to i szaleniec, lecz w tym przypadku rozumował całkiem prawidłowo. Aratap odparł:

— To problem obsługi technicznej, suwerenie. Wyżsi dowódcy nie muszą zaprzątać sobie głowy podobnymi sprawami. Sam ledwie to rozumiem.

— Ale jako dowódca ekspedycji powinienem wiedzieć, jak te się dzieje. Jestem przecież dowódcą, prawda? — Rozejrzał się podejrzliwie. — Szczerze mówiąc, czasami odnoszę wrażenie, że major Andros nie zawsze wypełnia moje rozkazy. Czy możni mu ufać? Oczywiście nieczęsto wydaję mu jakiekolwiek polecenia. Dziwnie się czuję, rozkazując tyrannejskiemu oficerowi. Ale muszę odnaleźć córkę. Ona ma na imię Artemizja. Odebrano mi ją i wyruszyłem z całą tą flotą tylko po to, by ją odzyskać. Widzi pan wiec, że muszę wiedzieć. To znaczy, skąd wiadomo, że nieprzyjaciel znajduje się obok Lingane. Moja córka też tam będzie. Zna pan moją córkę? Ma na imię Artemizja.

Jego oczy wpatrzyły się błagalnie w twarz komisarza. Nagle zakrył je dłonią i wymamrotał coś, co zabrzmiało jak ciche: „Przepraszam".

Aratap poczuł, jak zaciskają mu się szczęki. Chwilami zapominał, że ma przed sobą oszalałego z rozpaczy ojca i że nawet zidiociały suweren Rhodii ma uczucia rodzicielskie. Nie mógł pozwolić, by ten człowiek cierpiał.

— Spróbuję to panu wyjaśnić — powiedział łagodnie. — Wie pan, że istnieje urządzenie zwane masometrem? Służy do wykrywania statków w przestrzeni.

— Tak, tak.

— Masometr reaguje na pola grawitacyjne. Wie pan, o czym mówię?

— Och, tak. Wszystko ma grawitację — Hinrik nachylał się nad Aratapem, nerwowo zaciskając dłonie.

— Doskonale. Oczywiście masometru można używać, jedynie kiedy statek znajduje się w pobliżu, w odległości mniejszej niż półtora miliona kilometrów. Musi też być w rozsądnej odległości od jakiejkolwiek planety, w przeciwnym bowiem razie czujniki zarejestrują wyłącznie ją, jako dużo większą.

— I wykazującą silniejszą grawitację.

— Właśnie — potwierdził Aratap i Hinrik uśmiechnął się nieśmiało. — My, Tyrannejczycy, dysponujemy innym urządzeniem. To nadajnik, który wysyła sygnały we wszystkich kierunkach przez nadprzestrzeń. Jego sygnał to szczególne zakłócenie samej przestrzeni, a nie fale elektromagnetyczne. Innymi słowy, nie przypomina światła, fal radiowych, ani nawet podprzestrzennych. Rozumie pan?

Hinrik nie odpowiedział. Wyglądał na kompletnie zdezorientowanego.

— Cóż, po prostu jest inny — ciągnął pospiesznie Aratap. — Nieważne, na czym to polega. Potrafimy wykrywać ten sygnał, dzięki czemu zawsze wiemy, gdzie znajduje się każdy statek tyrannejski, nawet gdyby był po drugiej stronie Galaktyki albo krył się za gwiazdą.

Hinrik z powagą skinął głową.

— A zatem gdyby młody Widemos uciekł zwyczajnym statkiem, mielibyśmy duże kłopoty ze zlokalizowaniem go. Ponieważ jednak wybrał tyrannejski krążownik, wiemy dokładnie, gdzie kiedy jest, choć on sam nie zdaje sobie z tego sprawy. Stąd właśnie wiadomo, iż w tej chwili przebywa w pobliżu Lingane. Co więcej, nie może nam uciec, na pewno więc uratujemy pańską córkę.

Hinrik uśmiechnął się.

— To świetnie. Gratuluję panu, komisarzu. Bardzo sprytny pomysł.

Aratap nie miał złudzeń. Hinrik niewiele zrozumiał z całego wywodu, nie to jednak było ważne. Przede wszystkim zdołał uspokoić go co do bezpieczeństwa córki i zaszczepić w głębi jego mętnego umysłu świadomość, iż jej uratowanie zawdzięczać może jedynie tyrannejskiej nauce.

Tłumaczył sobie, że podejmował trud wyjaśniania zawiłych problemów technicznych nie z powodu współczucia dla żałosnego władcy Rhodii. Chciał uchronić go przed ostatecznym załamaniem z czysto politycznych przyczyn. Może powrót córki suwerena poprawi nieco sytuację. Aratap miał taką nadzieję.

Znów rozległ się sygnalizator u drzwi i tym razem do kabiny wszedł major Andros. Ręka Hinrika zesztywniała na poręczy fotela, jego twarz przybrała wyraz przestrachu. Uniósł się pospiesznie i zaczął:

— Majorze An…

Andros jednak już mówił, całkowicie ignorując Rhodianina.

— Komisarzu, *Bezlitosny* zmienił pozycję.

— Nie wylądował chyba na Lingane — odparł ostro Aratap.

— Nie. Wykonał skok, i to bardzo daleki.

— To dobrze. Być może, dołączył do niego inny statek.

— Albo inne statki. Jak pan doskonale wie, możemy wykryć jedynie jego.

— W każdym razie ruszamy za nim.

— Wydałem już stosowne rozkazy. Chciałbym jedynie zauważyć, iż ów skok doprowadził go na krawędź mgławicy Końska Głowa.

— Co takiego?

— We wskazanym kierunku nie istnieje żaden większy układ planetarny. Może to oznaczać tylko jedno.

Aratap zwilżył językiem wargi i szybkim krokiem ruszył w kierunku kabiny pilotów. Major dotrzymywał mu kroku.

Hinrik pozostał na środku nagle opustoszałego pokoju. Przez minutę wpatrywał się w drzwi. Po chwili z lekkim wzruszeniem ramion znów zasiadł w fotelu. Jego twarz nie wyrażała niczego. Przez dłuższy czas trwał nieruchomo.

Sprawdziliśmy koordynaty przestrzenne Bezlitosnego — oznajmił nawigator. — Bez wątpienia znajduje się wewnątrz Mgławicy.

— To nieważne — odparł Aratap. — Ruszajcie za nim. Odwrócił się do majora Androsa.

— Widzi pan zatem, że cierpliwość popłaca. W tej chwili wiele się już wyjaśniło. Gdzież indziej mogłaby znajdować się kwatera główna spiskowców, jeśli nie w Mgławicy? Gdzie jeszcze nie zdołalibyśmy jej wykryć? Prześliczny wzór.

I tak tyrannejska eskadra wkroczyła w głąb Mgławicy.

Aratap po raz chyba dwudziesty zerknął odruchowo na ekran. Wszystkie te spojrzenia, rzecz jasna, nic nie dawały, ekran bowiem ukazywał jednolitą czerń. Nie było widać żadnej gwiazdy.

— To ich trzeci postój bez lądowania — stwierdził Andros. — Nie rozumiem. O co im chodzi? Czego szukają? Każdy z tych postojów trwa kilka dni. I nigdzie nie lądują.

— Może tak wiele czasu zajmują im obliczenia następnego skoku — odparł Aratap. — W końcu widzialność jest zerowa.

— Tak pan sądzi?

— Nie. Ich skoki są zbyt precyzyjne. Za każdym razem trafiają w pobliże gwiazdy. Nie mogliby dokonać tego, posługując się wyłącznie wskazaniami masometrów, chyba że od początku znali położenie tych gwiazd.

— A wiec czemu nie lądują?

— Myślę, że szukają nadających się do zamieszkania planet. Być może, sami nie wiedzą, gdzie leży ośrodek buntu. Lub przynajmniej nie są tego pewni. — Aratap uśmiechnął się. — Wystarczy lecieć za nimi.

Nawigator stanął na baczność.

— Komisarzu!

— Tak? — Aratap uniósł wzrok.

— Nieprzyjaciel wylądował na planecie. Aratap wezwał majora Androsa.

— Czy już pana powiadomiono; — spytał, gdy major wszedł do kabiny.

— Tak. Rozkazałem zejść na powierzchnię i rozpocząć pościg.

— Proszę poczekać. Może znowu byłoby to działanie pochopne, jak wtedy gdy chciał pan interweniować na Lingane. Uważam, że powinien polecieć tylko ten statek.

— A powody?

— Gdybyśmy potrzebowali wsparcia, pan będzie w pobliżu, wraz z całą eskadrą. Jeśli naprawdę natrafimy na potężny ośrodek rebelii,

to będą mogli sądzić, iż dotarł do nich tylko jeden statek. Wtedy jakoś przekażę panu wiadomość, a pan wycofa się na Tyranna.

— Wycofa!

— I powróci na czele całej floty. Andros zastanowił się chwilę.

— Zgoda — odparł w końcu. — Zresztą to i tak nasz najmniej użyteczny statek. Jest stanowczo za duży.

W miarę jak tyrannejski okręt opadał w dół, planeta stopniowo wypełniała cały ekran.

— Powierzchnia wygląda na całkowicie jałową — zameldował nawigator.

— Czy ustaliliście już dokładne położenie *Bezlitosnego*?

— Tak jest, komisarzu.

— Zatem lądujcie najbliżej jak można, ale tak, by was nie zauważyli.

Właśnie wchodzili w atmosferę. Kiedy przelatywali ponad dzienną półkulą, Aratap dostrzegł, że niebo ma tu odcień jasnego fioletu. Komisarz z uśmiechem obserwował przybliżającą się powierzchnię planety. Długi pościg miał się wreszcie ku końcowi.

17. I zwierzyna!

Tym, którzy nigdy nie byli w przestrzeni kosmicznej, badania układów gwiezdnych w poszukiwaniu odpowiednich do zasiedlenia planet mogą wydawać się czymś niezwykle fascynującym, a przynajmniej ciekawym. Dla prawdziwych kosmonautów nie ma nic nudniejszego.

Zlokalizowanie gwiazdy, która stanowi ogromną płonącą kulę wodoru przekształcającego się w hel, jest dziecinnie łatwe. Po prostu ją widać. Nawet pośród mroków Mgławicy jest to jedynie kwestia odległości. Podejdźcie na osiem miliardów kilometrów i natychmiast ujrzycie swój cel.

Natomiast planeta, stosunkowo niewielki skalisty glob, świecący jedynie odbitym blaskiem, to już zupełnie inna sprawa. Można sto tysięcy razy przelecieć przez układ gwiezdny, pod najróżniejszymi kątami, i nie natrafić na planetę, ani nawet nie minąć jej w odległości pozwalającej na identyfikację — chyba że pomoże przypadek. Prawdopodobieństwo takiego przypadku jest jednak niesłychanie małe.

Opracowano więc procedurę poszukiwawczą. Statek zajmuje w przestrzeni pozycję w odległości od gwiazdy równej dziesięciu tysiącom jej średnic. Statystyki galaktyczne wykazują, iż zaledwie jedna na pięćdziesiąt tysięcy planet krąży w większej niż ta odległości od swego słońca. Co więcej, praktycznie nigdy nie zdarza się, by na planecie oddalonej od swej gwiazdy o więcej niż tysiąc długości średnicy jej słońca panowały warunki dające szansę ludziom.

Oznacza to, iż z pozycji statku jakakolwiek „możliwa” do zasiedlenia planeta musi znajdować się na obszarze najwyżej sześciu stopni od gwiazdy, co stanowi zaledwie jedną trzechtysięczną sześćsetną część nieba. Ta niewielka przestrzeń da się zbadać stosunkowo łatwo.

Ruch telekamer można tak zgrać z wędrówką statku po orbicie, by konstelacje gwiezdne w sąsiedztwie słońca pozostawały nieruchome; oczywiście w tym celu trzeba wyeliminować blask samego słońca, nie jest to jednak zbyt trudne. Poruszające się w przestrzeni planety wystąpią na filmie w postaci drobnych kreseczek.

Jeśli takowych nie zaobserwowano, zawsze istnieje jeszcze możliwość, iż planety są zasłonięte słońcem. Wówczas powtarza się cały manewr, rzecz jasna od drugiej strony i zazwyczaj nieco bliżej gwiazdy.

Jest to bardzo monotonna procedura, a kiedy powtórzyło się ją już trzy razy, z jednoznacznie negatywnym wynikiem, nieuniknione jest pewne obniżenie morale.

I tak na przykład nastrój Gillbreta pogarszał się od dłuższego czasu. Coraz rzadziej zdarzało mu się znaleźć coś „zabawnego”.

Przygotowywali się właśnie do skoku na czwarty cel z listy autarchy, i Biron powiedział:

— Zawsze trafiamy jednak na jakąś gwiazdę. Przynajmniej w tym dane Jontiego okazały się prawdziwe.

— Statystyka głosi, że co trzecia gwiazda ma układ planetarny — odrzekł Gillbret.

Biron skinął głową. To nie było żadne odkrycie. Każde dziecko uczyło się tego na pierwszych zajęciach z galaktografii.

— To znaczy — ciągnął Gillbret — że prawdopodobieństwo trafienia na trzy kolejne gwiazdy pozbawione planet — wszelkich planet — równa się dwóm trzecim do kwadratu, czyli ośmiu dwudziestym siódmym, czyli mniej niż jednej trzeciej.

— I co z tego?

— A my nie znaleźliśmy ani jednej planety. To znaczy, że popełniamy jakiś błąd.

— Sam widziałeś wyniki. Poza tym, jaka to statystyka? Z tego co wiemy — wewnątrz Mgławicy mogą panować zupełnie inne warunki. Może obłok cząsteczkowy nie pozwalał na formowanie się planet albo wręcz powstał zamiast nich.

— Nie mówisz chyba poważnie. — Gillbret był wstrząśnięty.

— Masz rację. Gadam, żeby gadać. Nie znam się na kosmogonii. Właściwie dlaczego w ogóle powstają planety? Nigdy nie słyszałem o takiej, z którą nie byłoby kłopotów. — Biron też wyglądał marnie. Ciągle jeszcze wypisywał karteczki i przyklejał je do tablicy kontrolnej. — W każdym razie — stwierdził — rozpracowaliśmy już blastery, wskaźniki zasięgu, kontrolę mocy…

Trudno było nie spoglądać bez przerwy na ekran. Wkrótce znów będą skakać — w ciemno.

— Wiesz, skąd wzięła się nazwa Końska Głowa, Gil? — spytał, by zmienić temat.

— Bo pierwszym człowiekiem, który tu dotarł, był Horace Hedd[2]. Chcesz powiedzieć, że to nieprawda?

— Możliwe. Na Ziemi inaczej to objaśniają.

— Jak?

— Twierdzą, że nazwa pochodzi od kształtu głowy konia.

— Co to jest koń?

— Zwierzę, które żyje na Ziemi.

— To zabawny pomysł. Na moje oko Mgławica nie przypomina żadnego zwierzęcia, Bironie.

— Wszystko zależy od kąta, pod jakim się patrzy. Z Nefelos Mgławica wygląda jak ręka o trzech palcach, ale raz oglądałem ją z obserwatorium na Ziemskim Uniwersytecie. Naprawdę była podobna

do głowy konia. Może stąd właśnie wzięła się jej nazwa. Może Horace Hedd nigdy nie istniał. Kto wie? — Biron poczuł nagłe znużenie. Temat rozmowy zupełnie go nie interesował. Nadal mówił wyłącznie po to, by słyszeć swój głos.

Zapadła cisza. Na krótką chwilę, ale o tyle za długą, że dała Gillbretowi możność poruszenia sprawy, której Biron za wszelką cenę starał się uniknąć, chociaż jego myśli nieustannie wokół niej krążyły.

— Gdzie jest Arta? — zapytał Gillbret. Biron zerknął na niego.

— Chyba w naczepie. Nie śledzę jej ruchów.

— W przeciwieństwie do autarchy. Równie dobrze mógłby tu mieszkać, tak często go widuję.

— To zaszczyt dla niej.

Pobrużdżona twarz Gillbreta przybrała dziwny wyraz.

— Och, nie bądź głupcem. Artemizja jest z rodu Hinriadów. Nie może znieść tego, jak ją traktujesz.

— Daj temu spokój.

— Nie dam. Od dawna chciałem to powiedzieć. Czemu jej to robisz? Ponieważ Hinrik może być odpowiedzialny za śmierć twojego ojca? To mój kuzyn! A w stosunku do mnie nie zmieniłeś się.

— Zgadza się — odrzekł Biron. — Traktuję cię tak jak przedtem. Rozmawiam z tobą, jak zawsze. Rozmawiam również z Artemizja.

— Tak jak przedtem? Biron milczał.

— Popychasz ją w ramiona autarchy — stwierdził Gillbret.

— To jej wybór.

— Wcale nie. Twój. Posłuchaj, Bironie — stary mężczyzna poufałym gestem położył mu dłoń na kolanie. — Pojmujesz chyba, że niechętnie mieszam się do tych spraw. Ale Artemizja te w tej chwili jedyna osoba w naszej rodzinie, która jest cokolwiek warta. Może rozśmieszy cię, gdy powiem, że ją kocham. Nie mam własnych dzieci.

— Nie kwestionuję twoich uczuć.

— Zatem pozwól, że coś ci poradzę, dla jej dobra. Powstrzyma autarchę, Bironie.

— Wydawało mi się, że mu ufasz.

— O, tak — jako autarsze. Jako przywódcy ruchu, skierowanego przeciw Tyrannejczykom. Ale jako mężczyźnie, partnerów dla Artemizji — nie.

— Powiedz jej to.

— Nie posłucha mnie.

— Uważasz, że mnie by posłuchała?

— Gdybyś właściwie podszedł do sprawy.

Biron zdawał się wahać. Nerwowo zwilżył językiem spieczeni wargi. Nagle jednak odwrócił się i rzekł ostro.

— Nie mam ochoty o tym mówić.

— Kiedyś tego pożałujesz — odparł ze smutkiem Gillbret. Biron

nie odpowiedział. Czemu nie zostawią go w spokoju'

Już nieraz nawiedzała go myśl, że będzie żałował tego, co robi Zresztą niełatwo mu było zachować zimną krew. Cóż jednał miał począć? Teraz nie może już cofnąć się z godnością.

Odetchnął głęboko, aby pozbyć się nieoczekiwanego dławiącego uczucia, które ściskało mu gardło.

Po następnym skoku sytuacja zmieniła się diametralnie. Biron ustawił przyrządy zgodnie z instrukcjami pilota autarchy, pozostawiając ich obsługę Gillbretowi. Miał zamiar przespać całą operację. Nagle jednak Gillbret zaczął szarpać go za ramię.

— Biron! Biron!

Obrócił się na koi i skoczył na równe nogi, zaciskając pięści.

— Co się stało?

Gillbret cofnął się pospiesznie.

— Spokojnie, nie denerwuj się. Tym razem mamy F dwa. Do Birona powoli dotarło znaczenie jego słów. Odetchnął głęboko i rozluźnił napięte mięśnie.

— Nigdy nie budź mnie w ten sposób. F dwa, tak? Domyślam się, że chodzi ci o nową gwiazdę.

— Oczywiście. Wygląda bardzo zabawnie.

W pewnym sensie rzeczywiście wyglądała zabawnie. Średnio dziewięćdziesiąt pięć procent planet nadających się do zasiedlenia okrąża gwiazdy typu widmowego F albo G: średnica od miliona dwustu tysięcy do dwóch milionów czterystu tysięcy kilometrów, temperatura powierzchni pięć do dziesięciu tysięcy stopni Celsjusza. Słońce Ziemi jest typu G2, Rhodii F8, Lingane G2, podobnie jak Nefelos. Typ F2 oznaczał gwiazdę gorętszą, ale nie za gorącą.

Pierwsze trzy gwiazdy, do jakich dotarli, należały do typu widmowego K: raczej niewielkie i czerwonawe. Nawet gdyby miały planety, zapewne nie nadawałyby się one do zamieszkania.

Natomiast dobra gwiazda to dobra gwiazda! Już pierwszego dnia na zdjęciach wykryto pięć planet, z których najbliższa znajdowała się o dwieście czterdzieści milionów kilometrów od słońca.

Dane te przekazał im osobiście Tedor Rizzett. Podobnie jak autarcha często odwiedzał Bezlitosnego, wnosząc swoją osobą nieco radości i beztroski. Tym razem wpadł do kabiny zdyszany, nie odpocząwszy nawet po wymagającym sporego wysiłku przejściu między statkami.

— Nie mam pojęcia, jak autarcha to robi. Nigdy się nie męczy. Przypuszczam, że to kwestia wieku — gwałtownie zmienił temat. — Pięć planet!

— Wokół tej gwiazdy? Jesteś pewien? — spytał Gillbret.

— Absolutnie. Cztery z nich jednak należą do typu J.

— A piąta?

— Piąta może pasować. W każdym razie w atmosferze wykryliśmy tlen.

Gillbret wydał z siebie cichy okrzyk triumfu, Biron jednak powiedział tylko:

— Cztery typu J. No cóż, nam potrzebna tylko jedna.

Uświadomił sobie, że proporcja jest całkiem rozsądna. Przeważająca większość planet w Galaktyce miała atmosfery o sporej zawartości wodoru. Ostatecznie gwiazdy składają się głównie z wodoru, one zaś stanowią podstawowe źródło materii do budowy planet. Planety typu J miały atmosfery metanowe lub amoniakalne, czasem z domieszką cząsteczkowego wodoru i sporym dodatkiem helu. Podobne atmosfery są zazwyczaj dość głębokie i niezwykle gęste. Same planety mają niemal zawsze około pięćdziesięciu tysięcy kilometrów średnicy, a ich średnia temperatura powierzchniowa rzadko wynosi więcej niż minus pięćdziesiąt stopni Celsjusza. Życie na nich jest praktycznie niemożliwe.

Na Ziemi nieraz mówiono mu, iż „J", określające typ tych planet, pochodzi od nazwy Jowisza, który w ziemskim Układzie Słonecznym stanowi najlepszy przykład podobnej planety. Może i mieli rację. W końcu inny typ planet nazwano Z, a Z oznacza Ziemię. Planety typu Z były zwykle niewielkie — stosunkowo! — a ich słabsze pole grawitacyjne nie mogło utrzymać wodoru ani gazów, które go zawierają, szczególnie że typ Z znajdował się zazwyczaj bliżej swej gwiazdy i panowały na nim wyższe temperatury. Atmosfera globów, na których rozwijało się życie, zazwyczaj płytsza, zawierała tlen i azot, czasami z domieszką chloru. Ta ostatnia nie wróżyła zbyt dobrze.

— Jakieś ślady chloru? — spytał Biron. — Czy udało się zbadać atmosferę?

Rizzett wzruszył ramionami.

— Z przestrzeni możemy przeanalizować jedynie górne warstwy. Jeśli nawet jest tam chlor, to zalega przy powierzchni zobaczymy. Poklepał Birona po muskularnym ramieniu.

— To co, chłopcze? Zaprosisz mnie do siebie na drinka? Gillbret odprowadził ich pełnym niepokoju spojrzeniem. Odkąd autarcha począł zalecać się do Artemizji, a jego najbliższy adiutant stał się ulubionym kompanem Birona, *Bezlitosny* coraz bardzie przypominał inne statki linganejskie. Ciekawe, czy Biron wie, o robi? Wkrótce jednak myśli Gillbreta powędrowały ku nowej planecie.

Gdy statek wkroczył w atmosferę, w kabinie pilotów znajdował się również Artemizja. Na jej twarzy malował się lekki uśmiech, wyglądała na zadowoloną. Biron spojrzał na nią kilka razy. Kiedy

weszła do kabiny, powiedział:

— Dzień dobry, Artemizjo. — Ostatnio nieczęsto się pojawiała, toteż, zaskoczony, nie zdołał w porę powstrzymać słów powitania. Ona jednak nie odpowiedziała.

— Witaj, stryju — zwróciła się do Gillbreta i dodała radośnie: — Czy to prawda, że lądujemy?

Gillbret zatarł ręce.

— Na to wygląda, moja droga. Możliwe, że już za kilka godzin wydostaniemy się z tego statku i będziemy mogli odbyć przechadzkę po twardym gruncie. Co ty na to? Zabawny pomysł, nieprawdaż?

— Mam nadzieję, że to właściwa planeta — wtrącił Biron. — Jeśli nie, nie będzie to takie zabawne.

— Jest jeszcze jedna gwiazda — ciągnął Gil, lecz jego brwi zmarszczyły się nagle.

Artemizja zaś odwróciła się do Birona i spytała chłodnym tonem:

— Czy pan coś mówił, panie Farrill?

Biron, ponownie zaskoczony, spojrzał na nią ze zdumieniem.

— Nie, nic ważnego.

— Przepraszam zatem. Musiałam się przesłyszeć.

Przeszła obok niego, tak blisko, że syntetyczna tkanina sukni musnęła kolano Birona i przez chwilę otoczył go obłok perfum. Jego mięśnie napięły się aż do bólu.

Rizzett nadal przebywał na pokładzie. Jedną z korzyści posiadania naczepy była możliwość przenocowania ewentualnego gościa.

— Zbierają teraz szczegółowe dane, dotyczące składu atmosfery. Mnóstwo tlenu, prawie trzydzieści procent, do tego azot i inne obojętne gazy. Wszystko w normie. Ani śladu chloru — nagle urwał i po chwili dodał: — Hmmm.

— O co chodzi? — chciał wiedzieć Gillbret.

— Brak dwutlenku węgla. Niedobrze.

— Dlaczego? — wtrąciła Artemizja ze swej strategicznej pozycji obok ekranu, nie odrywając przy tym wzroku od powierzchni planety, która przesuwała się pod nimi z prędkością ponad trzech tysięcy kilometrów na godzinę.

— Nieobecność dwutlenku węgla — wyjaśnił krótko Biron — oznacza brak roślinności.

— Ach, tak? — spojrzała na niego i uśmiechnęła się ciepło. Biron, wbrew swej woli, odwzajemnił jej uśmiech. Ona jednak — zauważył to dopiero po chwili — uśmiechała się nie do niego, lecz jakby w przestrzeń, wyraźnie nie dostrzegając jego istnienia. Szybko powściągnął swój niestosowny odruch.

Dobrze, że jej unikał. W jej obecności trudno mu było zachować spokój. Na widok Artemizji znikał znieczulający wpływ pracy. I znów

odzywał się ból.

Gillbret był wyraźnie w ponurym nastroju. Właśnie lądowali. W dolnych, gęściejszych warstwach atmosfery, *Bezlitosny*, któremu niezgrabna naczepa odbierała wszelką aerodynamikę, zachowywał się bardzo kapryśnie. Biron zaciekle walczył z opornymi przyrządami.

— Rozchmurz się, Gil! — powiedział.

Sam jednak też nie czuł się szczególnie radośnie. Jak dotąd, wezwania radiowe nie spotkały się z żadną odpowiedzią, a jeśli nie była to planeta rebelii, dalsze oczekiwanie nie miało sensu.

Musiał działać!

— To nie wygląda na właściwe miejsce — stwierdził Gillbret. — Ten świat jest skalisty i martwy, nie ma też zbyt wiele wody — odwrócił się. — Czy próbowali znaleźć dwutlenek węgla, Rizzett?

— Tak — rumiana twarz Rizzetta była niezwykle poważna. — Śladowe ilości. Jedna tysięczna procenta czy coś koło tego.

— Trudno powiedzieć coś pewnego — stwierdził Biron. — Mogli specjalnie wybrać taką planetę, właśnie dlatego że pozornie jest zupełnie beznadziejna.

— Ale ja widziałem farmy — zaprotestował Gillbret.

— W porządku. Jak sądzisz, ile mogliśmy obejrzeć, przelatując nad planetą tych rozmiarów kilka razy? Doskonale wiesz, że kimkolwiek by byli, nie mają dość ludzi, aby zasiedlić cały glob. Mogli osiąść w jakiejś dolinie, gdzie w powietrzu znajduje się odpowiednia dawka' dwutlenku węgla, na przykład pochodzenia wulkanicznego, i gdzie w pobliżu znajdują się źródła wody. Moglibyśmy przelecieć trzydzieści kilometrów od nich i nigdy ich nie dostrzec. Oczywiście póki nie sprawdzą, kim jesteśmy, nie odpowiedzą na nasze sygnały.

— Nie da się tak łatwo osiągnąć właściwego stężenia dwutlenku węgla — wymamrotał Gillbret, wpatrując się zafascynowanym wzrokiem w ekran.

Nagle Biron poczuł absurdalną nadzieję, że nie trafili na właściwą planetę. Zdecydował, iż nie może dłużej czekać. Trzeba to rozstrzygnąć, i to już!

To było dziwne uczucie.

Na całym statku wyłączono sztuczne oświetlenie i przez iluminatory wpadały do środka promienie słoneczne. I choć światło dzienne nie dorównywało jasnością tradycyjnemu systemowi oświetleniowemu, stanowiło miłą odmianę. Co więcej, iluminatory zostały nie tylko odsłonięte, lecz i otwarte, tak że można było bez przeszkód oddychać miejscową atmosferą.

Rizzett odradzał całkowite rozhermetyzowanie statku, twierdząc, iż brak dwutlenku węgla może zakłócić funkcjonowanie układów

oddechowych załogi, Biron jednak uznał, że przez krótki czas da się to znieść.

Właśnie kiedy naradzali się z Rizzettem, do kabiny wszedł Gillbret. Obaj, Biron i Linganejczyk, pospiesznie odsunęli się od siebie i unieśli wzrok.

Gillbret roześmiał się. Wyjrzał przez otwarty iluminator i westchnął:

— Skały!

— Chcemy zainstalować nadajnik radiowy na jakimś wzniesieniu — stwierdził łagodnie Biron. — W ten sposób uzyskamy większy zasięg. W każdym razie nasze wezwania obejmą całą tę półkulę. Jeśli nie będzie odpowiedzi, spróbujemy po drugiej stronie planety.

— Czy o tym rozmawialiście z Rizzettem?

— Właśnie. Zrobimy to we dwóch z autarchą. On to zresztą zaproponował. I dobrze, bo w przeciwnym razie ja musiałbym wystąpić z podobną sugestią — rzucił przelotne spojrzenie na Rizzetta, lecz twarz linganejskiego pułkownika nie wyrażała niczego.

Biron wstał.

— Chyba najlepiej będzie, jeśli założę na siebie podpinkę kombinezonu. Zaraz ją odepnę.

Rizzett skinął głową. Na zewnątrz świeciło słońce, w powietrzu znajdowała się ledwie śladowa ilość pary wodnej, nie było chmur, lecz panowało przejmujące zimno.

Autarcha stał w głównej śluzie *Bezlitosnego*. Miał na sobie płaszcz z pianitu, który ważył zaledwie kilka gramów, stanowił jednak doskonałą izolację cieplną. Do piersi przypięto mu niewielki pojemnik z dwutlenkiem węgla. Dzięki niemu powietrze wokół osoby Jontiego zawierało odpowiednie stężenie CO_2.

— Czy chciałbyś mnie obszukać, Farrill? — spytał autarcha, unosząc ręce. Odczekał tak chwilę, a na jego pociągłej twarzy pojawił się drwiący uśmieszek.

— Nie — odparł Biron. — A ty? Chcesz sprawdzić, czy mam przy sobie broń?

— Nawet o tym nie myślałem.

Z pozoru uprzejme słowa były lodowate, jak temperatura na zewnątrz.

Biron wyszedł, zanurzył się w oślepiające światło słoneczne i złapał jeden z dwóch uchwytów walizki, w której mieścił się sprzęt radiowy. Autarchą ujął drugi.

— Nie jest zbyt ciężka — stwierdził Biron i odwrócił się. W otworze wejściowym stała Artemizja i przyglądała się im w milczeniu.

Jej gładka, biała suknia, upięta na ramionach, falowała w porywach wiatru. Półprzeźroczyste szerokie rękawy łopotały, osłonięte

nimi ręce miały barwę jasnego srebra.

Biron poczuł, że mięknie. Przez chwilę pragnął wrócić, pobiec z powrotem do statku, chwycić ją w ramiona tak mocno, by jego palce zostawiły ślady na jej plecach, poczuć dotyk jej warg…

Pozdrowił ją skinieniem głowy. Ale jej uśmiech, lekki ruch ręki — wszystko to przeznaczone było dla autarchy.

Po pięciu minutach Biron odwrócił się i spojrzał w stronę statku. W otwartej śluzie nadal widać było białą postać. Po chwili jednak wzniesienie gruntu zasłoniło statek przed ich oczami. Wokół piętrzyły się jedynie nagie, poszarpane skały.

Biron pomyślał o tym, co go czeka i czy jeszcze kiedykolwiek zobaczy Artemizję. I czy zmartwiłaby się, gdyby nigdy nie wrócił.

18. Po klęsce…

Artemizja obserwowała, jak ich sylwetki zmieniają się w maleńkie figurki, mozolnie wspinające się po nagim granicie, wreszcie niknące z zasięgu wzroku. Tuż przedtem nim zniknęli, jeden z nich obejrzał się. Nie była pewna który, ale jej serce przez moment zaczęło bić szybciej.

Nie powiedział ani słowa na pożegnanie. Ani słowa. Odwróciła się od słońca i skał w stronę ciasnego metalowego wnętrza statku. Czuła się samotna, przerażająco samotna, nigdy jeszcze przez całe życie nie była tak bardzo sama.

Z pewnością dlatego odczuwała dreszcze, ale przyznanie się, że nie były one wywołane przez chłód, stanowiłoby akt niewybaczalnej słabości.

— Stryju Gillbrecie! — zawołała zirytowana. — Dlaczego nie zamknąłeś włazu? Można zamarznąć na śmierć.

Termometr wskazywał siedem stopni Celsjusza, mimo że grzejniki statku pracowały pełną mocą.

— Moja droga Arto — powiedział łagodnie Gillbret — jeśli nadal będziesz trwała przy swoim śmiesznym zwyczaju noszenia delikatnych mgiełek tu i ówdzie, musisz być przygotowana na chłód.

Ale nacisnął kilka przełączników i z delikatnym szczęknięciem zatrzasnęła się pokrywa śluzy, a osłony zsunęły się tworząc gładką, lśniącą powierzchnię. W tym samym czasie grube szkło uległo polaryzacji i stało się nieprzejrzyste. Zapłonęły światła statku, rozpraszając ponure cienie.

Artemizja usiadła w miękkim fotelu pilota i zaczęła bezmyślnie przebierać palcami. Jego dłonie często tu spoczywały. Na tę myśl ogarnęła ją fala ciepła. Próbowała sobie wmówić, że to jedynie na skutek zamknięcia otworów.

Minęło kilka długich minut, nie była w stanie już dłużej czekać. Mogła przecież iść razem z nim! Natychmiast skorygowała buntowniczą myśl i zmieniła „z nim” na „z nimi”.

— Dlaczego właściwie muszą ustawić przekaźnik radiowy na zewnątrz? — spytała Artemizja.

Gillbret wpatrywał się w ekran, regulując go delikatnymi ruchami palców, wiec w odpowiedzi mruknął coś tylko niewyraźnie.

— Usiłowaliśmy skontaktować się z nimi z przestrzeni — kontynuowała — i niczego nie złapaliśmy. Co daje przekaźnik umieszczony na powierzchni planety?

Gillbret był zakłopotany.

— Trzeba próbować, moja droga. Musimy znaleźć świat rebelii. — I dodał, kierując to słowo tylko do siebie. — Musimy!

Po dłuższej chwili znów się odezwał.

— Nie mogę ich znaleźć.

— Kogo?

— Birona i autarchy. Góry ekranują sygnały niezależnie od tego, jak ustawiam zewnętrzne anteny. Widzisz?

Nie widziała niczego oprócz migających, oświetlonych słonecznym światłem skał. Gillbret dał spokój aparaturze i stwierdził:

— W każdym razie widzimy przynajmniej statek autarchy.

Artemizja obdarzyła linganejski pojazd jednym krótkim spojrzeniem. Stał w głębi doliny, w odległości niecałych dwóch kilometrów. Błyszczał oślepiająco w słońcu. W tej chwili prawdziwym wrogiem wydał się jej autarcha. Autarcha, a nie Tyrannejczycy. Gwałtownie zapragnęła, żeby nigdy nie polecieli na Lingane, tylko pozostali w przestrzeni, we troje. To były piękne dni, mimo niewygód i gorąca. A teraz pragnęła go tylko zranić, Coś ją do tego pchało, mimo że wolałaby…

— A ten czego chce? — spytał Gillbret.

Artemizja spojrzała na stryja i widząc go jak przez mgłę musiała szybko zamrugnąć oczami.

— Kto?

— Rizzett. Przynajmniej wydaje mi się, że to Rizzett. Ale z pewnością nie idzie w naszą stronę.

Artemizja podeszła do ekranu.

— Musisz powiększyć obraz — powiedziała tonem rozkazu.

— Na tak krótki dystans? — zaprotestował Gillbret. — Nic nie zobaczysz. Nie da się utrzymać ostrości.

— Zrób to, stryju.

Mrucząc coś pod nosem, Gillbret podszedł do przyrządów i powiększył wybrany fragment skał. Przybliżyły się szybciej, niż mogło zareagować ludzkie oko. Przez chwilę na ekranie mignęła wielka sylwetka o zacierających się konturach i szybko znikła z pola widzenia. Ta chwila wystarczyła jednak, by go ostatecznie zidentyfikować. Gillbret gwałtownie cofnął obraz, ponownie złapał maleńką postać. Nagle Artemizja zawołała:

— On jest uzbrojony. Widzisz?!

— Nie.

— Ma karabin laserowy dalekiego zasięgu. Mówię ci! Wstała i rzuciła się do wyjścia.

— Arta! Co ty robisz?

Rozpinała suwak jednego z kombinezonów.

— Wychodzę. Rizzett idzie za nimi. Nie rozumiesz? Autarcha wcale nie chce instalować aparatury radiowej. To pułapka na Birona — zdyszana, wcisnęła na siebie szorstki kombinezon.

— Przestań! To wytwór twojej wyobraźni!

Dziewczyna spojrzała na Gillbreta nie widzącym wzrokiem, jej

twarz była blada i napięta. Powinna była zorientować się wcześniej, do czego zmierza Rizzett schlebiając Bironowi. Ciągle wychwalał jego ojca, opowiadał, jak wielkim człowiekiem był rządca Widemos, a Biron, sentymentalny głupiec, radośnie łykał gładkie słówka. Wszystkie jego działania były podporządkowane myślom o ojcu. Czy normalny człowiek może dopuścić, aby owładnęła nim tego rodzaju obsesja?

— Nie wiem, jak się obsługuje luk. Otwórz go — powiedziała.

— Arto, nie możesz opuścić statku. Nie wiesz nawet, gdzie ich szukać.

— Znajdę ich. Otwórz luk. Gillbret potrząsnął głową.

Ale kosmiczny kombinezon, który nałożyła, miał również kaburę.

— Stryju, jeszcze chwila i użyję tego. Przysięgam.

Gillbret ujrzał wycelowany w siebie bicz neuronowy. Zmusił się do uśmiechu.

— Daj spokój!

— Otwórz luk! — warknęła.

Posłuchał i Artemizja wyszła. Targana wichurą, potykając się o kamienie, skierowała się w kierunku pasma gór. Krew tętniła jej w uszach. Była tak samo głupia jak on, flirtowała z autarchą tylko dlatego, by zranić Birona. Teraz to wszystko wydawało się pozbawione sensu. Jak mogła w ogóle zadawać się z autarchą? Był taki zimny, bezkrwisty i sztuczny! Zadrżała ze wstrętu.

Wspięła się na szczyt pasma. Przed nią nie było już nic. Powoli ruszyła naprzód, trzymając bicz neuronowy przed sobą.

W czasie marszu Biron i autarchą nie zamienili ze sobą ani jednego słowa. Doszli wreszcie do miejsca, gdzie grunt był mniej więcej płaski. Przez tysiąclecia skały popękały pod wpływem słońca i wiatrów, tworząc uskoki, z których jeden pojawił się przed nimi. Brzeg, zniszczony i zwietrzały, opadał w dół pionową ścianą o wysokości wieluset metrów.

Biron zbliżył się ostrożnie do krawędzi i spojrzał w dół. Skała tworzyła nawis, a pod nim rozciągała się równina, jak okiem sięgnąć usiana rozmaitymi odłamkami skalnymi, które nagromadziły tu czas i rzadkie deszcze.

— To wygląda beznadziejnie, Jonti.

Autarcha nie okazał zdziwienia. Nie podszedł do krawędzi.

— Znaleźliśmy to miejsce jeszcze przed lądowaniem. Jest idealne do naszych celów.

Idealne do twoich celów, pomyślał Biron. Oddalił się od krawędzi i usiadł. Nasłuchiwał cichego syku pojemnika z dwutlenkiem węgla i czekał na właściwy moment.

— Co im powiesz, kiedy wrócisz na swój statek? — spytał bardzo

cicho. — Czy może mam zgadnąć?

Autarcha zamarł nad na wpół otwartą walizką, wyprostował się i spytał:

— O czym mówisz?

Biron poczuł, że od wiatru zdrętwiała mu twarz, i potarł nos rękawicą. Odpiął pianitowy kombinezon, który zaczął łopotać w podmuchach wiatru.

— Mówię o tym, dlaczego tu jesteś.

— Wolałbym rozstawić zestaw radiowy zamiast marnować czas na pogaduszki, Farrill.

— Wcale nie chcesz instalować radia. A zresztą po co? Usiłowaliśmy namierzyć ich bezskutecznie z przestrzeni. Nie ma żadnych podstaw, aby sądzić, że przekaźnik radiowy na powierzchni coś da. To nie jest kwestia jonizacji wyższych warstw atmosfery, ponieważ bez żadnego efektu próbowaliśmy nawiązać łączność również radiem podprzestrzennym. Mamy zresztą znakomitych radiowców. Po co naprawdę tu przyszedłeś, Jonti?

Autarcha usiadł naprzeciwko Birona, poklepując walizkę.

— Jeśli dręczyły cię takie wątpliwości, to dlaczego zgodziłeś się tu przyjść?

— Żeby odkryć prawdę. Twój człowiek, Rizzett, powiedział mi, że planujesz tę wyprawę, i poradził, abym się do ciebie przyłączył. Sądzę, że zgodnie z twoimi instrukcjami miał mnie przekonać, iż dzięki wspólnej wyprawie będę miał pewność, że nie wejdziesz w posiadanie żadnych wiadomości, o których bym nie wiedział. Powód dość rozsądny, tylko że ja nie wierzę w uzyskanie jakiejkolwiek informacji. Ale dałem się przekonać i przyszedłem razem z tobą.

— Aby dowiedzieć się prawdy? — spytał kpiąco Jonti.

— Właśnie. Zresztą odgadłem ją już wcześniej.

— Zatem powiedz mi. Pozwól, że ja także ją poznam.

— Przyszedłeś, żeby mnie zabić. Jestem sam, tylko z tobą, a za nami leży urwisko. Upadek z takiej wysokości oznacza pewną śmierć. Nie będzie żadnych wyraźnych śladów przemocy, żadnych oznak użycia blastera ani innej broni. Po powrocie opowiesz zgrabną, smutną historyjkę, jak to poślizgnąłem się i spadłem. Sprowadzisz pomoc, aby wydobyć moje zwłoki i wyprawić mi pogrzeb. Wszystko będzie bardzo wzruszające, a ja zostanę usunięty z drogi.

— I przyszedłeś tu mając takie podejrzenia?

— Spodziewam się tego, więc nie możesz mnie zaskoczyć. Nie jesteśmy uzbrojeni, a wątpię, byś zdołał pokonać mnie fizycznie — przez chwilę nozdrza Farrilla drżały. Powolnym, znamionującym żądzę walki gestem ugiął prawe ramię.

Ale Jonti roześmiał się.

— Czy teraz, kiedy nie grozi ci już śmierć, możemy zająć się

aparaturą radiową?

— Nie. Jeszcze nie skończyłem. Chcę, żebyś to potwierdził.

— Och? Czyżbyś oczekiwał, że zagram rolę w tym improwizowanym dramacie, który wymyśliłeś? Jak chcesz mnie do tego zmusić? Masz zamiar siłą wydobyć ze mnie przyznanie? Zrozum, Farrill, jesteś młodym człowiekiem i mam to na względzie, jak również twoje nazwisko i tytuł. Wszelako muszę przyznać, że do tej pory byłeś dla mnie bardziej ciężarem niż pomocą.

— Owszem! Przez to, że ciągle żyję, mimo twoich wysiłków.

— Jeśli masz na myśli ryzyko związane z ucieczką na Rhodię, już ci to wyjaśniłem i nie będę się powtarzać.

— Twoje wyjaśnienia nie były precyzyjne — Biron podniósł się. — Od samego początku były widoczne ich słabe punkty.

— Ach, tak?

— Ach, tak! Wstań i posłuchaj mnie, albo podniosę cię siłą. Kiedy autarcha wstawał, jego oczy zwęziły się w szparki.

— Nie radziłbym ci używać przemocy, smarkaczu.

— Słuchaj. Mówiłeś, że wysłałeś mnie na niemal pewną zgubę jedynie po to, aby wplątać suwerena w spisek przeciw Tyrannejczykom.

— Owszem.

— To kłamstwo. Twoim podstawowym zamiarem było pozbycie się mnie. Na samym początku poinformowałeś kapitana rhodiańskiego liniowca, kim jestem. Nie miałeś żadnych podstaw, aby sądzić, że uda mi się dostać do Hinrika.

— Gdybym chciał cię zabić, Farrill, mógłbym podłożyć w twoim pokoju prawdziwą bombę radiacyjną.

— Znacznie korzystniejsze dla ciebie byłoby zrzucenie odpowiedzialności na Tyrannejczyków.

— Mogłem cię zabić w kosmosie, kiedy pierwszy raz przybyłem na *Bezlitosnego*.

— Tak, mogłeś. Wszedłeś na pokład z blasterem i przez chwilę trzymałeś go, celując we mnie. Spodziewałeś się, że będę na pokładzie statku, ale nie powiedziałeś tego swojej załodze. Kiedy Rizzett wezwał nas przez radio i ujrzał mnie na ekranie, nie mogłeś już nic zrobić. Popełniłeś wtedy błąd. Powiedziałeś, że zawiadomiłeś załogę o mojej obecności na pokładzie, a potem okazało się, że Rizzett nic o tym nie wiedział. Czy nie informujesz swoich ludzi na bieżąco o kolejnych kłamstwach, Jonti?

Twarz autarchy była blada z zimna, ale w tej chwili wydawała się jeszcze bledsza.

— Powinienem zabić cię bez dalszej dyskusji za zarzucenie mi kłamstwa. Ale co powstrzymywało moją rękę, zanim Rizzett ujrzał cię na ekranie?

— Polityka, Jonti. Artemizja oth Hinriad znajdowała się m pokładzie i w tym momencie to ona była ważniejsza niż ja Przyznaję, że błyskawicznie zmieniłeś plany. Zabicie mnie w je obecności mogłoby zniweczyć poważniejszą rozgrywkę.

— Tak szybko się zakochałem?

— Miłość! Kiedy w grę wchodzi córka jednego z Hinriadów, dlaczegóż by nie? Nie tracisz czasu. Najpierw usiłowałeś zabrać ją na swój statek, a kiedy ci się nie udało, opowiedziałeś mi, że Hinrik zdradził mojego ojca — umilkł na chwilę. — Tak więc straciłem ją i zostawiłem ci wolne pole. Teraz, jak sądzę, Artemizja nie jest już taka ważna. Stoi twardo po twojej stronie i możesz zrealizować swój plan bez obaw o ewentualną utratę szans na tron po Hinriadach. Jonti westchnął i powiedział:

— Farrill, jest zimno i robi się coraz chłodniej. Wydaje mi się, że słońce zachodzi. Jesteś beznadziejnie głupi i nudzisz mnie. Zanim skończymy tę bezsensowną rozmowę, czy możesz mi powiedzieć, dlaczego tak bardzo miałoby mi zależeć na twojej śmierci? Twoja oczywista paranoja musi mieć jakieś podłoże.

— Z tych samych powodów, które popchnęły cię do zabicia mojego ojca.

— Co takiego?

— Czy naprawdę myślisz, że uwierzyłem w to, iż to Hinrik go zdradził? Owszem, pasował do tej roli, gdyby nie fakt, że wszyscy wiedzą, jaki to półgłówek i słabeusz. Naprawdę uważałeś mojego ojca za kompletnego głupca? Nawet gdyby wcześniej nie słyszał o Hinriku, wystarczyłoby mu pięć minut rozmowy, żeby się zorientować, że to bezwolna marionetka. Czy mój ojciec bezmyślnie powierzyłby jakąkolwiek tajemnicę człowiekowi, który mógłby przekazać dowody jego zdrady? Nie, Jonti. Człowiek, który wydał mojego ojca, musiał się cieszyć jego pełnym zaufaniem.

Jonti cofnął się o krok i kopnął na bok walizkę. Przyjął obronną pozycję i powiedział:

— To są podłe insynuacje. Jedyne, co cię tłumaczy, to twoje niewątpliwe szaleństwo.

Biron drżał, ale nie z zimna.

— Mój ojciec był bardzo popularny wśród twoich ludzi, Jonti. Zbyt popularny. Autarcha nie może tolerować konkurenta w rządzeniu. Zrobiłeś wszystko, żeby pozbyć się rywala. Kolejnym twoim celem jest pozbyć się jego następcy, który mógłby zająć jego miejsce i zapragnąć zemsty — głos Birona przeszedł w krzyk, który niósł się daleko w zimnym powietrzu. — Czy nie tak?

— Nie.

Jonti pochylił się ku walizce.

— Mogę udowodnić, że się mylisz. — Szybkim ruchem otworzył

pojemnik. — Sprzęt radiowy. Sprawdź. Przyjrzyj się dobrze. — Wysypał zawartość walizki na grunt u stóp Birona.

— I co to ma niby udowodnić? — Biron patrzył na Jontiego.

— To nic — Jonti wyprostował się. — Ale przyjrzyj się temu. W ręku trzymał blaster, kostki dłoni pobielały mu z wysiłku.

Z jego głosu zniknął chłód:

— Jestem tobą zmęczony. I nie mam zamiaru męczyć się dłużej.

— Ukryłeś blaster w walizce ze sprzętem? — powiedział Biron martwym głosem.

— Nie wpadłeś na to? Naprawdę przyszedłeś tu spodziewając się, że zrzucę cię z urwiska, i myślałeś, że zechcę zrobić to gołymi rękoma, jakbym był górnikiem czy tragarzem? Jestem autarchą Lingane… — jego twarz stężała, lewą ręką zrobił płaski, tnący ruch. — Jestem już zmęczony frazesami i głupim idealizmem rządcy Widemos. Ruszaj się. W stronę urwiska — zrobił krok do przodu.

Biron, z uniesionymi rękoma i wzrokiem utkwionym w blasterze postąpił w tył.

— To ty zabiłeś mojego ojca.

— Tak, zabiłem go! — powiedział autarcha. — Mówię ci o tym, żebyś w ostatnich chwilach swojego życia był świadom, że ten sam człowiek, który sprawił, że ciało twojego ojca rozpadło się na atomy w komorze dezintegracyjnej, teraz dopilnuje, abyś poszedł w jego ślady i zatrzyma dla siebie dziewczynę Hinriadów, razem ze wszystkimi korzyściami, jakie z tego płyną. Pomyśl o tym! Dam ci na to jedną dodatkową minutę! Ale trzymaj ręce nieruchomo, bo zabiję cię, ryzykując wszystkie pytania moich ludzi. — Otoczka jego spokoju zniknęła, nie pozostawiając niczego poza wściekłą furią.

— Już wcześniej usiłowałeś mnie zabić.

— Tak. Twoje domysły są zupełnie słuszne. Ale czy to ci teraz coś pomoże? Cofnij się!

— Nie — odpowiedział Biron. Opuścił ręce i dodał: — Jeśli chcesz strzelać, to zrób to.

— Wydaje ci się, że się nie ośmielę?

— Mówiłem, strzelaj.

— Dobrze! — Autarcha wycelował dokładnie w głowę Birona i z odległości metra nacisnął spust.

19. Klęska!

Tedor Rizzett ostrożnie okrążył płaski kawałek terenu. Nie chciał się jeszcze pokazywać, lecz trudno było pozostawać w ukryciu wśród nagich skał tej planety. Poczuł się pewniej, gdy dotarł do skupiska ogromnych, poprzerastanych kryształami głazów. Ostrożnie zagłębił się między nie. Od czasu do czasu przystawał, aby otrzeć czoło wierzchem gąbczastej rękawicy. Mimo panującego chłodu pot zalewał mu oczy.

Wreszcie zobaczył ich zza dwóch wyniosłych granitowych monolitów w kształcie litery V. Oparł blaster o udo. Słońce świeciło mu prosto w plecy, czuł nikłe ciepło jego promieni przenikające kombinezon. Doskonale. Nawet gdyby spojrzeli w jego stronę, oślepiający blask słońca zasłoni go przed ich wzrokiem.

Ich głosy brzmiały wyraźnie w jego uszach. Komunikator radiowy działał świetnie. Rizzett uśmiechnął się. Jak dotąd, wszystko szło zgodnie z planem. Oczywiście jego obecność nie została wcześniej przewidziana, ale lepiej, żeby tu czuwał. Zaplanowali wszystko z nieco przesadną śmiałością, a przecież nie mieli do czynienia z głupcem. Być może, jego blaster przyda się jeszcze, by rozstrzygnąć całą sprawę.

Czekał. Ze stoickim spokojem patrzył, jak autarcha unosi broń, a Biron stoi bez ruchu w oczekiwaniu na strzał.

Artemizja nie widziała unoszącego się blastera. Nie dostrzegła też dwóch postaci aa skalistym wzniesieniu. Pięć minut wcześniej zauważyła na moment sylwetkę Rizzetta, rysującą się ostro na tle nieba, i od tego czasu podążała jego śladem.

Jakimś cudem poruszał się szybciej niż ona. Świat przed oczami mętniał jej i wirował, dwa razy ocknęła się rozciągnięta na ziemi. Nie przypominała sobie, by upadła. Za drugim razem, dźwignąwszy się na nogi, odkryła, że z przegubu ścieka jej krew — skaleczyła się ostrym odłamkiem skalnym.

Rizzett znów się oddalił i musiała przyspieszyć kroku. Kiedy zniknął pośród lasu błyszczących głazów, rozpłakała się z rozpaczy. Oparta o kamienny blok, szlochała cicho, kompletnie wyczerpana. Piękno skał, ich różowawy odcień, gładka, szklista powierzchnia, przypominająca pradawną epokę wulkanów — wszystko to dla niej nie istniało.

Z trudem zwalczyła dławiące uczucie, które ścisnęło jej gardło. I nagle ujrzała go, maleńką figurkę obok dwóch potężnych kamiennych słupów. Uniosła bicz neuronowy i zataczając się na twardym, nierównym gruncie ruszyła w jego stronę. Rizzett przykładał właśnie broń do oka i, pochłonięty, szykował się do strzału. Uświadomiła sobie, że nie zdąży na czas. Musi odwrócić jego uwagę. Krzyknęła: —

Rizzett! — i jeszcze raz: — Rizzett! Nie strzelaj! Znów się potknęła. Świat ciemniał jej przed oczami. W ostatnim przebłysku świadomości poczuła silne uderzenie o grunt. Zdążyła jeszcze nacisnąć spust bicza, wiedząc, że to nic nie da, że gdyby nawet mogła bezbłędnie wycelować, to i tak Rizzett znajdował się daleko poza zasięgiem jej broni.

Poczuła, jak ktoś ją unosi. Próbowała otworzyć oczy, lecz powieki odmówiły jej posłuszeństwa. — Biron? — szepnęła ostatkiem sił.

Słowa odpowiedzi zlały się w jednolity bełkot, lecz niewątpliwie był to głos Rizzetta. Chciała jeszcze coś powiedzieć, nagle jednak poddała się. Zawiodła go! Wszystko zniknęło.

Autarcha zatrzymał się w bezruchu i trwał w nim tak długo, że można by powoli policzyć do dziesięciu. Biron stał naprzeciw niego i nie drgnąwszy nawet wpatrywał się w lufę blastera z którego przed chwilą miał paść śmiertelny strzał. Kiedy tak patrzył, lufa stopniowo opadała.

— Twój blaster chyba nie działa najlepiej — stwierdził wreszcie. — Powinieneś go obejrzeć.

Biała jak śnieg twarz autarchy na przemian spoglądała to na broń, to na Birona. Strzelił z odległości metra. To oznacza pewną śmierć. Nagle paraliżujące oszołomienie opuściło go. Gorączkowo rozłożył blaster.

Brakowało kapsuły energetycznej. W miejscu gdzie powinna być, znajdowała się jedynie pusta komora. Autarcha jęknął wściekle i cisnął bezużyteczny kawał metalu. Broń kilka razy obróciła się w powietrzu i z cichym, metalicznym łoskotem uderzyła o daleką skałę.

— Tylko ja i ty! — rzucił Biron. Jego głos zadrżał z emocji. Autarcha cofnął się o krok. Milczał.

Biron ruszył naprzód.

— Mógłbym cię zabić na wiele sposobów, ale nie każdy by mnie zadowolił. Gdybym cię zastrzelił, twoja agonia trwałaby zaledwie jedną milionową sekundy. W ogóle nie wiedziałbyś, że umierasz. To mi nie odpowiada. Wolę walkę wręcz. Przynajmniej potrwa dłużej.

Jego mięśnie napięły się, gotowe do skoku, ten jednak nigdy nie nastąpił. W tym momencie bowiem rozległ się wysoki, pełen trwogi okrzyk:

— Rizzett! Nie strzelaj!

Biron odwrócił się błyskawicznie. Zdążył jeszcze dostrzec poruszenie wśród skał o sto metrów dalej i błysk słonecznego promienia, który odbijał się od metalu. I nagle na jego plecy zwalił się ogromny ciężar. Nogi mu się ugięły i padł na kolana.

Autarcha wylądował bezbłędnie, ściskając kolanami talię przeciwnika. Jego pięści z całej siły uderzyły Birona w kark. Młody

Widemos ze świstem wypuścił powietrze z płuc.

Udało mu się pokonać ogarniającą go ciemność na tyle, by rzucić się w bok. Autarcha odskoczył, pewnie stojąc na nogach, podczas gdy Biron zwalił się na plecy.

Zaledwie zdążył zgiąć nogi, gdy autarcha znów skoczył. Tym razem został odepchnięty i obaj zerwali się z ziemi w tym samym momencie. Czoła pokrywał im lodowaty pot.

Powoli okrążali się wzajemnie. Biron odrzucił na bok pojemnik z dwutlenkiem węgla. Autarcha również odpiął swój, zważył go w dłoni i nagle zamachnął się z całą siłą. Biron zanurkował i usłyszał nad głową świst przecinającego powietrze ciężaru.

Skoczył naprzód, zanim autarcha zdołał odzyskać równowagę. Wielka pięść uderzyła Jontiego w twarz, druga o mało nie zmiażdżyła mu przegubu. Biron poczuł, jak przeciwnik pada, puścił go i odstąpił o krok.

— Wstawaj! — powiedział. — Jeszcze z tobą nie skończyłem. Nie ma pośpiechu.

Autarcha uniósł okrytą rękawicą dłoń ku twarzy i bliski omdlenia spojrzał na pokrywającą ją lepką krew. Jego usta wykrzywił nagły grymas, ręka sięgnęła po metalowy pojemnik, który przed chwilą upuścił. Stopa Birona opadła na nią gwałtownie i autarcha krzyknął z bólu.

— Jesteś zbyt blisko krawędzi urwiska, Jonti. Nie powinieneś zmierzać w tamtym kierunku. Wstań. Następny mój cios rzuci cię w przeciwną stronę.

Wtedy jednak rozległ się głos Rizzetta:

— Zaczekaj!

— Strzelaj, Rizzett! — wrzasnął autarcha. — Już! Najpierw ręce, potem nogi. I zostawimy go tutaj!

Rizzett wolno uniósł broń.

— Jak myślisz, Jonti — powiedział spokojnie Biron — kto dopilnował, by twój blaster nie był naładowany?

— Co? — Autarcha spojrzał na niego niczego nie rozumiejącym wzrokiem.

— To nie ja miałem dostęp do twojego blastera, Jonti. Kto zatem? Kto w tej chwili celuje do ciebie? Nie we mnie, Jonti, lecz w ciebie!

Autarcha odwrócił się w stronę Rizzetta i krzyknął:

— Zdrajca!

— Nie ja, proszę pana — odparł cicho Rizzett. — Zdrajcą jest ten, kto posłał na śmierć lojalnego rządcę Widemos.

— Nie zrobiłem tego! Jeśli on tak twierdzi, to kłamie!

— Sam pan nam o tym opowiedział. Nie tylko opróżniłem pańską broń, ale też przełączyłem komunikator, tak że wszyscy słyszeliśmy każde pańskie słowo. Dzięki temu dowiedzieliśmy się wreszcie, kim

pan jest naprawdę.

— Jestem waszym autarchą.

— Jak również największym z żyjących zdrajców. Autarcha milczał chwilę, spoglądając dziko na ich poważne, oskarżycielskie twarze. W końcu jednak wstał z trudem i najwyższym wysiłkiem woli odzyskał panowanie nad sobą. Gdy się odezwał, jego głos zabrzmiał niemal spokojnie.

— A jeśli nawet to prawda, co z tego? Nic nie możecie mi zrobić, nie macie wyboru. Pozostała nam jeszcze jedna gwiazda wewnątrz Mgławicy. Planeta rebelii musi znajdować się właśnie tam, a tylko ja znam jej koordynaty.

Dziwne, ale udało mu się zachować godność. Jedna ręka zwisała bezwładnie, złamana w przegubie, górna warga napuchła, nadając twarzy nieodparcie śmieszny wyraz, policzki pokrywała krew. Biła jednak od niego charyzma, wyniosłość urodzonego władcy.

— Powiesz nam — zapewnił go Biron.

— Nie łudź się. Nic mnie do tego nie zmusi. Jak już mówiłem, na każdą gwiazdę przypada średnio siedemdziesiąt lat świetlnych sześciennych. Beze mnie, metodą prób i błędów, wasze szansę dotarcia o miliard kilometrów od jakiejkolwiek gwiazdy są jak jeden do dwustu pięćdziesięciu kwadrylionów. Jakiejkolwiek gwiazdy!

Nagle w umyśle Birona coś zaskoczyło.

— Bierzemy go z powrotem na *Bezlitosnego* — powiedział.

— Pani Artemizja… — zaczął cicho Rizzett.

— A zatem to rzeczywiście była ona — przerwał mu Biron. — Co się z nią stało?

— Wszystko w porządku. Jest bezpieczna. Wybiegła bez pojemnika z dwutlenkiem węgla. Oczywiście kiedy jego stężenie we krwi opadło, układ oddechowy zaczai pracować wolniej. Próbowała biec, nie miała dość rozsądku, by oddychać głęboko, i zemdlała.

Biron zmarszczył brwi.

— Dlaczego próbowała ci przeszkodzić? Bała się, że zrobisz krzywdę jej przyjacielowi?

— Tak! Tylko że sądziła, iż jestem człowiekiem autarchy i mam zamiar strzelić do ciebie! Zabiorę teraz tego śmierdziela na statek i, Bironie…

— Tak?

— Wracaj najszybciej jak możesz. On nadal jest autarchą i pewnie trzeba będzie pomówić z załogą. Ciężko jest przełamać nawyki całego życia i wypowiedzieć posłuszeństwo władcy… Ona leży za tą skałą. Idź tam, zanim zamarznie na śmierć, dobrze? Sama nigdzie nie pójdzie.

Jej twarz niemal ginęła w obszernym kapturze osłaniającym

głowę. Gruba podpinka skafandra zniekształcała jej figurę. Mimo to zbliżając się do dziewczyny Biron przyspieszył kroku.

— Jak się czujesz? — spytał.

— Dziękuję, już lepiej. Przepraszam, jeśli przysporzyłam ci kłopotu.

Stali tak naprzeciw siebie, niezdolni wykrztusić choćby słowo. Wreszcie przemówił Biron:

— Wiem, że nie możemy cofnąć czasu, nie da się unieważnić czynów ani wymazać słów. Chciałbym jednak, abyś mnie zrozumiała.

— Czemu tak podkreślasz potrzebę zrozumienia? — jej oczy błyszczały. — Od kilku tygodni robię wszystko, aby cię zrozumieć. Czy znów chcesz mówić o moim ojcu?

— Nie. Wiedziałem, że jest niewinny. Niemal od początku podejrzewałem autarchę, ale musiałem mieć pewność. A mogłem ją zyskać tylko wtedy, gdyby prawdziwy winowajca przyznał się do zbrodni. Sądziłem, że zmuszę go do tego, jeśli sprowokuję go, aby i mnie próbował zabić. Tego zaś mogłem dokonać tylko w jeden sposób.

Czuł się okropnie, ale odważnie brnął dalej.

— Postąpiłem karygodnie. Niemal tak jak Jonti z moim ojcem. Nie liczę, że mi wybaczysz.

— Nie rozumiem cię — stwierdziła Artemizja.

— Wiedziałem, że Jonti cię pragnie. Ze względów politycznych stanowiłaś dla niego idealną partię. Dla jego celów nazwisko Hinriadów było o wiele bardziej użyteczne niż rządca Widemos. Gdyby cię zatem zdobył, nie potrzebowałby już mnie. Z rozmysłem popychałem cię w jego stronę, Arto. Traktowałem cię obrzydliwie, w nadziei że zwrócisz się ku niemu. Kiedy to uczyniłaś, autarcha uznał, że może już się mnie pozbyć. Wtedy wraz z Rizzettem zastawiliśmy tę pułapkę.

— I cały czas mnie kochałeś?

— Nie możesz w to uwierzyć, Arto. Prawda?

— Ale gotów byłeś poświęcić tę miłość w imię pamięci twojego ojca i honoru rodziny? Jak idzie to stare powiedzenie? Kochasz mnie, miły, nad życie, lecz honor droższy ci jest!

— Proszę cię, Arto! — przerwał jej Biron znękany. — Nie jestem z siebie dumny, nie umiałem jednak wymyślić nic lepszego.

— Mogłeś zdradzić mi swój plan, uczynić ze mnie sojuszniczkę, a nie bezwolne narzędzie.

— Ta walka to była moja sprawa, nie twoja. Gdybym przegrał — a taka możliwość istniała — przynajmniej ty byś na tym nie ucierpiała. Gdyby autarchą zdołał mnie zabić, a ty byłabyś po jego stronie, nie odczułabyś bólu. Może wyszłabyś za niego za mąż i byłabyś szczęśliwa.

— Skoro jednak ty wygrałeś, może teraz będę cierpieć z powodu

utraty Jontiego?

— Nie będziesz.

— Skąd wiesz?

— Spróbuj przynajmniej pojąć motywy mego postępowania — błagał Biron w rozpaczy. — Przyznaję, byłem głupcem, zbrodniczym głupcem, ale czy nie potrafisz mnie zrozumieć? Czy możesz spróbować przestać mnie nienawidzić? Artemizja odparła miękko:

— Próbowałam przestać cię kochać, ale jak widzisz, nie udało mi się.

— A zatem wybaczasz mi?

— Dlaczego? Dlatego, że cię rozumiem? Nie! Gdyby chodziło tylko o zrozumienie, o ocenę motywów twojego postępowania, nie wybaczyłabym ci do końca życia. Gdyby chodziło tylko o to! Ale ja ci wybaczam, Bironie, bo nie potrafię inaczej. Inaczej, jak mogłabym prosić cię, abyś do mnie wrócił?

I nagle znalazła się w jego ramionach, a jej lodowate wargi spoczęły na ustach Birona. Dzieliła ich jedynie podwójna warstwa grubych ubrań. Odziane w rękawice dłonie nie czuły pod sobą ciała, które pieściły, tylko usta mogły zetknąć się ze sobą bez przeszkód.

Wreszcie jednak Biron opamiętał się.

— Niedługo zachód słońca. Jest coraz zimniej.

— To dziwne — odparła łagodnie Artemizja — bo mnie jest jakby cieplej.

Ruszyli w kierunku statku.

Biron stanął przed nimi, udając pewność siebie, której w rzeczywistości bynajmniej nie odczuwał. Linganejski statek był wielki, jego załoga liczyła pięćdziesiąt osób. Teraz siedzieli naprzeciw niego. Pięćdziesiąt twarzy! Twarze Linganejczyków od urodzenia wychowanych w posłuchu dla swego autarchy.

Niektórych przekonał Rizzett, inni stanęli po jego stronie wysłuchawszy ostatniej rozmowy autarchy z Bironem. Ilu jednak nadal się waha, czy wręcz czuje do niego wrogość?

Jak na razie, słowa Birona zdziałały niewiele. Teraz właśnie pochylił się i nadając głosowi ciepły ton spytał:

— O co właściwie walczycie? Po co narażacie życie i zdrowie? Myślę, że chodzi wam o wolną Galaktykę. Taką, w której każdy będzie mógł decydować o sobie, własną pracą dochodzić do dobrobytu. Gdzie nie będzie już panów ani niewolników. Mam rację?

Odpowiedział mu cichy pomruk. Nawet jeśli miał on wyrażać zgodę, brakło mu entuzjazmu. Biron kontynuował:

— O co zaś walczył autarcha? O władzę. Na razie jest autarchą Lingane. Gdyby wygrał, zostałby autarchą Królestw Mgławicy. Zamienilibyście chana na autarchę. Jaki z tego zysk? Czy warto

umierać za coś takiego?

Jeden ze słuchaczy krzyknął:

— Byłby jednym z nas, nie tyrannejskim śmierdzielem!

— Autarcha szukał planety rebeliantów, aby zaoferować im swoją pomoc — zawtórował drugi głos. — Czy to nazywasz ambicją?

— Uważacie, że ambicja winna sięgać dalej? — odparł ironicznie Biron. — Ale przecież przybyłby na tę planetę z własną organizacją. Mógł im ofiarować całą Lingane oraz — jak sądził — prestiżowy sojusz z Hinriadami. W rezultacie powstanie znakomicie posłużyłoby jego celom. Tak, to jest ambicja.

A kiedy jego własne plany stanęły w sprzeczności z bezpieczeństwem całego ruchu, czy zawahał się zaryzykować wasze życie dla swoich ambicji? Mój ojciec stanowił dla niego zagrożenie. Był szczerym, uczciwym człowiekiem, prawdziwym przyjacielem wolności. Ale zyskał zbyt wielką popularność, toteż dosięgła go zdrada. Zdrada ta mogła zrujnować całą waszą sprawę i sprowadzić na was wszystkich śmierć. Któż jest bezpieczny pod rządami człowieka, który spiskuje z Tyrannejczykami, gdy tylko odpowiada to jego celom? Kto chciałby służyć tchórzliwemu zdrajcy?

— Tak już lepiej — szepnął Rizzett. — Trzymaj się tego. Masz ich w garści.

Z dalszych rzędów znów odezwał się ten sam głos:

— Autarcha wie, gdzie znajduje się planeta rebelii. A ty, czy znasz jej położenie?

— Pomówimy o tym później. Na razie zastanówcie się nad czymś innym. Pod wodzą autarchy wszyscy zdążaliśmy ku nieubłaganej zgubie. Jest jeszcze czas, by ocalić honor, zwracając się ku bardziej szlachetnej sprawie. Nadal jest jeszcze możliwe, iż po klęsce przyjdzie…

— …kolejna klęska, mój drogi młodzieńcze — dokończył miękki głos, i Biron odwrócił się, przerażony.

Pięćdziesięciu członków załogi zerwało się na równe nogi i przez chwilę wydawało się, że skoczą naprzód. Na naradę przybyli jednak bez broni. Rizzett osobiście o to zadbał. Teraz zaś do środka wlewał się oddział tyrannejskiej straży, uzbrojonej po zęby.

Za plecami Birona i Rizzetta zaś stał sam Simok Aratap. W obu dłoniach dzierżył odbezpieczone blastery.

20. Gdzie?

Simok Aratap ostrożnie rozważał charakter każdej z czterech osób, które miał przed sobą, i czuł pewne podniecenie. To powinna być wielka rozgrywka. Wątki wzoru zbiegają się u celu. Był rad, że major Andros już mu nie towarzyszy i że tyrannejskie krążowniki odleciały.

Zostawił swój statek flagowy wraz z załogą. Powinno wystarczyć. Nienawidził braku możliwości manewru.

— Pozwólcie, że zapoznam was z sytuacją, panie i panowie — powiedział łagodnie. — Statek autarchy, z doborową załogą, eskortowany przez majora Androsa, właśnie zdąża na Tyrann. Ludzie autarchy zostaną osądzeni zgodnie z prawem i jeśli zostaną uznani za winnych, poniosą zasłużoną karę. Działali w zwyczajnej konspiracji i zostaną zwyczajnie potraktowani. Ale co poczniemy z wami?

Obok siedział Hinrik, na jego twarzy malowała się rozpacz.

— Proszę, panie, weź pod uwagę, że moja córka jest jeszcze młodą dziewczyną. Została w to wciągnięta nieświadomie. Artemizjo, powiedz, że zostałaś…

— Twoja córka — przerwał Aratap — prawdopodobnie zostanie zwolniona. O ile wiem, jeden z wysokich tyrannejskich notabli ma w stosunku do niej plany matrymonialne. Oczywiście zostanie to jej zapamiętane.

— Poślubię go, jeśli uwolnicie pozostałych — odezwała się Artemizja.

Biron zaczął się podnosić, ale Aratap pchnął go z powrotem na miejsce. Uśmiechnął się i powiedział:

— Proszę, moja pani! Zgoda, potrafię ubić interes. Jakkolwiek nie jestem chanem, lecz tylko jednym z jego sług. W związku z tym wszelkie nasze układy muszą być potem potwierdzone. Cóż więc pani oferuje?

— Moją zgodę na małżeństwo.

— To nie zależy od pani. Twój ojciec już się zgodził i to zamyka sprawę. Czy ma pani coś jeszcze do zaoferowania?

Aratap czekał na powolną erozję jej woli oporu. Nie przyjął tego zadania z radością, co nie zwalniało go z obowiązku skutecznego jego wykonania. Dziewczyna, na przykład, może za chwilę wybuchnąć łzami, co jak piorun podziała na młodzieńca. Wyraźnie widać, że się kochają. Zastanawiał się, czy stary Pohang zechce ją mimo to, i doszedł do wniosku, że tak. Interes wciąż może być ubity na starych zasadach. Przez chwilę pomyślał, że Artemizja jest bardzo atrakcyjna.

Dziewczyna wciąż się trzymała, nie widać było po niej śladu załamania. Bardzo dobrze, pomyślał Aratap. Ma bardzo silną wolę.

Pohang nie będzie miał z niej zbyt wiele radości.

Powiedział do Hinrika:

— Czy chcesz wstawić się także za swoim kuzynem? Usta Hinrika poruszyły się bezgłośnie.

— Nikt nie będzie się za mną wstawiał! — krzyknął Gillbret. — Nie chcę niczego od żadnego Tyrannejczyka. Odejdź. Każ mnie rozstrzelać.

— Zachowujesz się jak histeryk — oświadczył Aratap. — Wiesz doskonale, że nie mogę kazać cię rozstrzelać bez procesu.

— On jest moim kuzynem — szepnął Hinrik.

— To także zostanie wzięte pod uwagę. Wy, dostojnicy, kiedyś przekonacie się, że nie możecie posuwać się za daleko. Obawiam się, że twój kuzyn odbierze swoją lekcję właśnie teraz.

Był usatysfakcjonowany reakcją Gillbreta. Ten facet z pewnością pragnął śmierci. Życie niosło mu zbyt wiele frustracji. Jeśli się go oszczędzi, samo to może go złamać.

Zatrzymał się zamyślony przed Rizzettem. To był jeden z ludzi autarchy. Poczuł lekkie zakłopotanie. Na początku pościgu wykluczył autarchę z całej sprawy, na podstawie żelaznej, jak wtedy sądził, logiki. No cóż, mała pomyłka czasem wychodzi na zdrowie. Pozwala utrzymać samozadowolenie na takim poziomie, by nie przerodziło się w zarozumialstwo.

— Jesteś głupcem, który służył zdrajcy. Lepiej by ci się wiodło u nas.

Rizzett oblał się rumieńcem.

— Gdybyś kiedykolwiek miał jakąkolwiek wojskową reputację — kontynuował Aratap — obawiam się, że w tej chwili ległaby w gruzach. Na szczęście nie jesteś szlachcicem i w twoim przypadku nie występują żadne względy polityczne. Przeprowadzimy publiczny proces i wszyscy dowiedzą się, że byłeś jedynie bezwolnym narzędziem.

— Zdawało mi się, że chce pan zaproponować jakiś interes — powiedział Rizzett.

— Interes?

— Na przykład zeznania. Macie tylko statek. Nie chcielibyście dowiedzieć się czegoś więcej o rewolucji?

— Nie. — Aratap potrząsnął głową. — Mamy autarchę. Posłuży nam jako źródło informacji. Zresztą i bez tego się obejdziemy, wystarczy, żebyśmy zaatakowali Lingane. Zapomną o rewolucji, jestem tego pewny. Takich interesów nie będzie.

Aratap podszedł do młodego człowieka. Zostawił go sobie na koniec, bo był najbystrzejszy ze wszystkich. Ale był też młody, a młodzi często nie są niebezpieczni. Są niecierpliwi.

Biron odezwał się pierwszy.

— Jak nas pan śledził? Czy on z panem współpracował?

— Autarcha? Tym razem nie. Przypuszczam, że biedny facet usiłował grać na dwie strony ze zwykłym dla takiego zachowania skutkiem.

Hinrik przerwał z niestosowną, dziecięcą niecierpliwością:

— Tyrannejczycy mają wynalazek, który pozwala śledzić statek w nadprzestrzeni.

Aratap odwrócił się gwałtownie.

— Będę wdzięczny, jeśli Wasza Wysokość zechce powstrzymać się od przerywania.

Hinrik przestraszony zamilkł.

To nie miało znaczenia, żadne z tej czwórki nie było już groźne, ale Aratap nie życzył sobie wyjaśniać wątpliwości młodego człowieka.

Biron powiedział:

— Dobrze. Rozważmy fakty. Nie trzyma nas pan tutaj z sympatii do nas. Dlaczego nie jesteśmy razem z innymi w drodze na Tyrann? Czy nie dlatego, że nie wie pan, co się stanie na wieść o naszej śmierci? Dwoje pochodzi z Hinriadów. Ja jestem Widemos. Rizzett to znany oficer floty linganejskiej. A piąty, pańska marionetka i zdrajca, wciąż jest autarchą Lingane. Nie może pan zabić żadnego z nas bez rozgłosu w Królestwach. Musi pan zawrzeć z nami układ, to jedyne, co może pan w tej sytuacji zrobić.

— Prawie masz rację — powiedział Aratap. — Pozwól, że uzupełnię twoją konstrukcję. Śledziliśmy was, nieważne jak. Nie zwracaj uwagi na wybujałą fantazję suwerena. Zatrzymaliście się w pobliżu trzech gwiazd, nie lądując na żadnej z planet. Polecieliście do czwartej i znaleźliście planetę do lądowania. Wylądowaliśmy tam, obserwując i czekając. Myśleliśmy, że warto poczekać, i mieliśmy rację. Pokłóciłeś się z autarchą i obaj nadawaliście jak rozgłośnie radiowe. To było zorganizowane dla ciebie, ale przydało się również nam. Nawet z nawiązką.

Autarcha powiedział, że została wam tylko jedna, ostatnia planeta i to właśnie może być świat rebelii. To interesujące. Świat rebelii. Moja ciekawość została pobudzona. Gdzie leży ta piąta, ostatnia planeta?

Aratap zamilkł. Wziął sobie krzesło i przyglądał im się beznamiętnie — jednemu po drugim.

— Nie ma żadnego świata rebelii — odezwał się Biron.

— Szukaliście więc czegoś, co nie istnieje?

— Tak. Szukaliśmy czegoś, co nie istnieje.

— Nie bądź śmieszny.

— To pan jest śmieszny — wzruszył ramionami Biron — jeśli spodziewa się czegoś więcej.

— Zważcie, że planeta rebelii musi być sercem tej hydry —

powiedział Aratap. — Odnalezienie jej jest jedyną przyczyną, dla której trzymam was przy życiu. Każde z was ma coś do zyskania. Panią mogę uwolnić od małżeństwa. Panu, książę, możemy urządzić laboratorium, gdzie mógłbyś bez przeszkód pracować. Tak, wiemy o panu więcej, niż się panu wydawało.

Aratap odwrócił się szybko, bo twarz Gillbreta wskazywała, że jest bliski płaczu, a to byłoby niemiłe.

— Pułkowniku Rizzett, mógłby pan uniknąć upokorzenia sądu wojennego i pewnego wyroku oraz utraty dobrego imienia, która się z tym wiąże. A ty, Bironie Farrillu, znów byłbyś rządcą Widemos. W twoim przypadku możemy nawet cofnąć wyrok wydany na twojego ojca.

— I przywrócić go do życia?

— Przywrócić mu honor.

— Jego honor — uniósł się Biron — ma źródło w jego czynach, które doprowadziły do skazania go i do śmierci. Nie ma pan takiej władzy, żeby mu go odebrać.

— Jedno z was czworga powie mi. gdzie szukać tego świata. Jedno z was będzie rozsądne. I dostanie to, co obiecywałem. Pozostali pójdą do ołtarza lub do wiezienia, lub na śmierć, co dla kogo najgorsze. Ostrzegam was, jeśli muszę, potrafię być bezwzględny.

Odczekał chwilę.

— Więc które? Skoro nic nie mówicie, ktoś inny to zrobi. Stracicie wszystko, a ja i tak zdobędę informację, na której mi zależy.

— To na nic — odezwał się Biron. — Bardzo zgrabnie sobie to wszystko obmyśliłeś, panie, ale to nic nie da. Nie ma planety rebelii.

— Autarcha twierdził, że jest.

— Zadaj więc swoje pytanie autarsze.

Aratap zmarszczył brwi. Młody człowiek posuwał się za daleko.

— Moim zamiarem jest dogadać się z jednym z was.

— Dogadał się pan z autarchą kiedyś. Zrób to, panie, i teraz. Nic nie możesz nam sprzedać, a my nie zamierzamy nic od ciebie kupić — Biron rozejrzał się wokół. — Prawda?

Artemizja przysunęła się do niego i powoli ujęła jego łokieć. Rizzett skinął głową, a Gillbret mruknął prawie niedosłyszalnie:

— Słusznie!

— Sami zadecydowaliście — Aratap położył palec na odpowiednim guziku.

Prawy nadgarstek autarchy był unieruchomiony metalowym opatrunkiem, magnetycznie przytwierdzonym do metalowego pasa na jego tułowiu. Lewą stronę twarzy miał spuchniętą i siną, z wyjątkiem nierównej, świeżo zagojonej blizny, która była czerwona. Stał przed nimi bez ruchu, od chwili gdy szarpnięciem uwolnił zdrową rękę z

uchwytu uzbrojonego strażnika.

— Czego chcesz?

— Za chwilę się dowiesz — powiedział Aratap. — Po pierwsze, chcę żebyś się przyjrzał audytorium. Spójrz, kogo tutaj mamy. Oto na przykład, młody człowiek, którego planowałeś zabić, ale przeżył wystarczająco długo, aby cię unieszkodliwić i udaremnić twoje plany, chociaż ty byłeś autarchą, a on banitą.

Trudno było powiedzieć, czy na pokaleczonej twarzy autarchy pojawił się rumieniec. Nie poruszył się ani jeden mięsień.

Aratap nie patrzył na niego. Ciągnął dalej spokojnie, niemal obojętnie:

— Oto Gillbret oth Hinriad, który ocalił życie młodemu człowiekowi i przywiózł go do ciebie. Oto pani Artemizja, którą jak mi mówiono, czarowałeś swymi wdziękami, a która zdradziła cię z miłości do młokosa. Oto pułkownik Rizzett, twój najbardziej zaufany pomocnik, który również skończył jako zdrajca. Cóż im jesteś winien, autarcho?

— Czego chcesz? — powtórzył pytanie autarchą.

— Informacji. Daj mi ją, a znów będziesz autarchą. Oczywiście twoja wcześniejsza współpraca z nami zostałaby ci policzona na korzyść. W przeciwnym razie…

— W przeciwnym razie co?

— W przeciwnym razie zabiorę ich stąd. Oni ocaleją, a ty zostaniesz stracony. Dlatego uświadomiłem ci, że nie jesteś im nic winien. Dlatego też nie powinieneś dawać im możliwości ocalenia życia za cenę własnego uporu.

Twarz autarchy wykrzywił bolesny uśmiech.

— Nie mogą ocalić swojego życia moim kosztem. Nie znają położenia planety, której szukasz. Ja znam.

— Nie powiedziałem, jakiej informacji od ciebie oczekuję, autarcho.

— Jest tylko jedna rzecz, której możesz chcieć — głos autarchy był ochrypły, zupełnie nie do poznania. — Powiedziałeś, że jeśli zdecyduję się mówić, włości wrócą do mnie jak dawniej.

— Tylko oczywiście dokładniej strzeżone — dodał uprzejmie Aratap.

Rizzett krzyknął:

— Uwierz mu, a odzyskasz wszystko, ale dodasz kolejną zdradę do poprzednich i wreszcie zapłacisz za nie życiem!

Wartownik podszedł do Rizzetta, ale Biron go uprzedził. Zasłonił Rizzetta sobą.

— Nie bądź głupcem — mruknął. — Nic nie możesz zrobić.

— Nie dbam o moje włości — powiedział autarchą — ani o siebie, Rizzett. — Zwrócił się do Aratapa. — Czy oni zostaną straceni? To

musisz mi obiecać. — Jego okropnie pobladła twarz wykrzywiła się dziko. — Przede wszystkim ten. — Jego palec wycelował w Birona.

— Jeśli taka jest twoja cena, zgadzam się.

— Jeśli będę mógł być jego katem, zwolnię cię ze wszystkich pozostałych zobowiązań wobec mojej osoby. Jeśli moja ręka będzie mogła kierować chwilą egzekucji, uznam to za częściową rekompensatę. A jeśl nie, w końcu i tak powiem ci to, co chcesz wiedzieć. Podam ci P, Θ, i Φ w parsekach i radianach: 7352.43, 1.7836, 5.2112. Te trzy punkty określają położenie świata, na którym ci tak zależy. Teraz je znasz.

— Tak, znam je — powiedział Aratap. zapisując dane.

Rizzett wyrwał się krzycząc:

— Zdrajca! Zdrajca!

Biron, popchnięty, stracił równowagę i ukląkł na jedno kolano.

— Rizzett! — krzyknął rozpaczliwie.

Rizzett, z wykrzywioną twarzą, krótko walczył ze strażnikiem. Inni żołnierze pospieszyli na pomoc, ale Rizzett już trzymał blaster. Kolanami i łokciami walczył z tyrannejską strażą. Biron rzucił się całym ciałem i przyłączył do walki. Złapał Rizzetta za gardło, potrząsnął nim i pchnął do tyłu.

— Zdrajca — wysapał Rizzett, próbując wycelować, podczas gdy autarcha desperacko usiłował odsunąć się z linii strzału. Wystrzelił! Rozbroili go i rzucili na podłogę.

Ale prawe ramię autarchy oraz połowa jego klatki piersiowej zostały odstrzelone. Przedramię zwisało samotnie na usztywniającym opatrunku, stanowiąc groteskowy widok. Palce, nadgarstek i łokieć zamieniły się w czarne strzępy. Przez długą chwilę wydawało się, że w oczach autarchy połyskuje iskierka życia, a jego ciało cudem utrzymywało równowagę. Wreszcie oczy zaszły mgłą i częściowo zwęglone ciało zwaliło się na podłogę.

Artemizja krzyknęła i ukryła twarz na piersi Birona. Biron zmusił się, by rzucić zimne spojrzenie na martwe ciało mordercy swojego ojca, i nawet nie mrugnąwszy okiem, odwrócił wzrok. Hinrik w oddalonym kącie pokoju mamrotał coś do siebie.

Tylko Aratap zachował spokój.

— Zabrać ciało — rozkazał.

Strażnicy wykonali rozkaz i oczyścili podłogę delikatnym, ciepłym promieniem, aby usunąć ślady krwi. Pozostało tylko kilka niewielkich plamek.

Postawili Rizzetta na nogi, a on przetarł twarz dłońmi i wściekły odwrócił się do Birona.

— Co ty zrobiłeś? O mało co nie chybiłem sukinsyna.

— Wpadłeś w pułapkę Aratapa, Rizzett — powiedział gorzko Biron.

— Pułapkę? Zabiłem gadzinę, może nie?

— To była pułapka. Zrobiłeś Aratapowi przysługę.

Rizzett nie odpowiedział, a Aratap nie zareagował. Słuchał z pewną przyjemnością. Mózg młodego człowieka pracował bardzo sprawnie.

— Jeśli Aratap podsłuchał naszą rozmowę, jak twierdził — powiedział Biron — wiedział, że tylko Jonti ma informację, której potrzebował. Autarcha powiedział to wyraźnie, kiedy stał naprzeciwko nas po walce. To było jasne, że Aratap pytał nas tylko po to, żeby nas przestraszyć i sprowokować do nierozumnych zachowań. Wiedziałem, na co liczy. Ty nie.

— Myślałem — wtrącił cicho Aratap — że skończyłeś już swoje zadanie.

— Usiłowałem ci pomóc — Biron znów zwrócił się do Rizzetta. — Nie rozumiesz, że chciał się pozbyć autarchy? Tyrannejczycy są podstępni jak węże. Chciał od autarchy informacji, ale nie chciał za nie płacić. Nie mógł ryzykować, nie mógł go zabić. Zrobiłeś to za niego.

— Zgadza się — potwierdził Aratap. — I mam moje informacje.

Gdzieś w oddali rozległo się bicie dzwonów.

— W porządku — zaczął Rizzett. — Wyświadczyłem mu przysługę, ale wyświadczyłem ją także sobie.

— Niezupełnie — powiedział komisarz — nasz młody przyjaciel nie doprowadził analizy do końca. Zostało popełnione nowe przestępstwo. Dopóki wasze czyny były wymierzone tylko przeciwko Tyrannowi, była to delikatna sprawa polityczna. Ale teraz, został zamordowany autarcha Lingane, za co możesz być sądzony, skazany i zgładzony przez Linganejczyków i Tyrannejczycy nie muszą się w to mieszać. To będzie sprzyjać…

Przerwał i zmarszczył brwi. Nasłuchiwał brzęczyków i bieganiny za drzwiami. Kopnął przycisk.

— Co się dzieje? Żołnierz zasalutował.

— Ogłoszono powszechny alarm. W sektorze magazynowym.

— Pożar?

— Jeszcze nie wiadomo.

Na Galaktykę! — pomyślał Aratap. Cofnął się do pokoju.

— Gdzie jest Gillbret?

Dopiero teraz wszyscy zauważyli jego nieobecność.

— Znajdziemy go — powiedział Aratap.

Znaleźli go w pokoju technicznym, ukrytego wśród gigantycznych urządzeń. Pół ciągnąc, a pół niosąc przywlekli go z powrotem do pokoju komisarza.

Aratap powiedział oschle:

— Z tego statku nie można uciec, mój panie. Uruchomienie

alarmu nic ci nie da. Czas zaskoczenia jest krótszy, niż przewiduje norma.

To chyba dość. Mamy krążownik, który ukradłeś. Farrill, mój własny krążownik, na pokładzie tego statku. Zostanie użyty do zbadania świata rebelii. Jak tylko zostaną obliczone parametry skoku, udamy się pod podane przez autarchę współrzędne. To będzie przygoda, o jakiej nie śniło się naszemu wygodnemu pokoleniu.

Nagle przypomniał mu się ojciec dowodzący szwadronem, zdobywający światy. Był zadowolony, że Andros odjechał. Ta przygoda będzie tylko jego.

Zostali rozdzieleni. Artemizję umieszczono z ojcem, Rizzetta i Birona odprowadzono w różnych kierunkach. Gillbret szarpał się i krzyczał:

— Nie chcę być sam. Nie chcę być zostawiony w samotności! Aratap zgodził się. Dziadek tego człowieka był wielkim władcą, mówią o tym książki historyczne. Był zdegustowany oglądając tę scenę. Powiedział z niesmakiem:

— Dołączcie go do któregoś z tamtych.

Gillbret został umieszczony razem z Bironem. Nie rozmawiali ze sobą dopóki nie zapadła „noc" i nie zapaliły się ciemnopurpurowe światła. Było jednak na tyle jasno, żeby mogli być obserwowani przez kamery telewizyjne, niestrudzenie przesuwające się tam i z powrotem, ale na tyle ciemno, że mogli zasnąć.

Ale Gillbret nie spał.

— Biron — szepnął. — Biron.

I Biron, przebudzony z lekkiej, niespokojnej drzemki, spytał:

— Czego chcesz?

— Biron. zrobiłem to. Wszystko w porządku, Biron.

— Spróbuj zasnąć. Gil. Ale Gillbret wstał.

— Ja to zrobiłem, Biron. Może Aratap jest sprytny, ale ja jestem sprytniejszy. Czyż to nie zabawne? Nie denerwuj się, Biron. Nie ma potrzeby. Załatwiłem to.

— Co z tobą?

— Nic, nic. Wszystko w porządku. Załatwiłem to — Gillbret uśmiechał się tajemniczo, nieśmiałym uśmiechem małego chłopca, któremu udało się coś spsocić.

— Co załatwiłeś? — Biron wstał. Podniósł go i potrząsnął nim. — Odpowiedz.

— Znaleźli mnie w pokoju technicznym — słowa wydobywały się pojedynczo. — Myśleli, że się tam ukryłem. Ale nie. Włączyłem alarm w sekcji magazynowej, bo przez kilka minut chciałem być sam, przez kilka minut. Biron, skróciłem pręty w stosie.

— Co?

— To było łatwe. Zajęło mi to minutę. Oni nic nie wiedzą.

Zrobiłem to bardzo sprytnie. Nie dowiedzą się aż do momentu skoku, kiedy całe paliwo weźmie udział w jednej wielkiej reakcji łańcuchowej, a statek, i my, i Aratap, i cala wiedza o świecie rebelii zamienią się w obłok metalowej pary. Biron słuchał uważnie, z szeroko otwartymi oczami.

— Zrobiłeś to?

— Tak — Gillbret ukrył twarz w dłoniach i zaczął kołysać się miarowo. — Umrzemy, Bironie. Nie boję się śmierci, ale nie chcę być sam. Nie sam. Muszę być z kimś. Jestem rad, że ty jesteś ze mną. Chcę być z kimś. kiedy będę umierał. To nie będzie bolało, nadejdzie szybko. Nie będzie bolało. Nie będzie… bolało.

— Głupiec! Szaleniec! Mogliśmy jeszcze probować ucieczki! — krzyczał Biron.

Ale Gillbret nie słyszał go. Jego uszy wypełniały własne nieartykułowane dźwięki. Biron rzucił się do drzwi.

— Straż! — wrzeszczał. — Straż! Zostały im godziny czy tylko minuty?

21. Tutaj?

W korytarzu rozległ się tupot kroków żołnierza.

— Wracaj na miejsce — polecił Tyrannejczyk ostro.

Stali naprzeciw siebie. Maleńkie pokoiki na najniższym poziomie, które służyły za cele, nie miały drzwi. Rolę tę pełniło rozciągające się na całą wysokość korytarza pole siłowe. Biron dotknął go ręką. Poczuł, jak lekko ustępuje, niczym napięta do ostateczności guma. Nagle stało się twarde jak stal, jakby pod wpływem najlżejszego nacisku zmieniała się jego struktura.

Zetknięcie z polem wywołało na ręce Birona gęsią skórkę. Doskonale wiedział, że choć bariera ta powstrzymuje ciała materialne, nie stanowi żadnej przeszkody dla promienia energii, który wysyła bicz neuronowy. A właśnie taki bicz tkwił w dłoni strażnika.

— Muszę się widzieć z komisarzem Aratapem — oznajmił Biron.

— Czy to dlatego narobiłeś tyle hałasu? — strażnik był zły. Nocne warty nie cieszyły się zbytnią popularnością, a w dodatku akurat przegrywał w karty. — Przekażę mu informację po zapaleniu świateł.

— Nie ma czasu do stracenia — nalegał rozpaczliwie Biron. — To naprawdę ważna sprawa.

— Będzie musiała poczekać. Cofniesz się sam, czy mam ci pomóc tym biczem?

— Posłuchaj. Ten człowiek obok mnie to Gillbret oth Hinriad. Jest chory. Może nawet umiera. Jeżeli członek rodu Hinriadów umrze na tyrannejskim statku tylko dlatego, że nie pozwoliłeś mi skontaktować się z twoją zwierzchnością, czekają cię poważne kłopoty.

— Co mu jest?

— Nie wiem. Pospieszysz się, czy może masz dosyć życia? Strażnik, mrucząc coś pod nosem, pobiegł ku wyjściu. Biron obserwował go, póki jego sylwetka nie zniknęła w mdłym fioletowym świetle. Wytężył słuch, usiłując pochwycić wzmożony ryk silników, zwiastujący podejście do skoku. Nie dosłyszał jednak niczego.

Podszedł do Gillbreta, chwycił go za włosy i unosząc jego głowę, lekko odchylił ją do tyłu. Z umęczonej twarzy spojrzały na niego puste oczy. Nie dostrzegł w nich ani śladu świadomości, jedynie strach.

— Kto to?

— To tylko ja, Biron. Jak się czujesz?

Jego słowa dotarły dopiero po chwili. Gillbret spytał bezmyślnie:

— Biron? — i dodał z nagłym ożywieniem: — Biron! Czy to już skok? Śmierć nie będzie bolała.

Biron znów ułożył jego głowę na podłodze. Nie ma sensu denerwować się na Gillbreta. Biorąc pod uwagę informacje, jakimi dysponował, czy raczej wydawało mu się, że dysponuje, wykonał

naprawdę wspaniały gest. Tym wspanialszy, że kompletnie załamał go psychicznie.

Biron, wytrącony z równowagi, nie mógł usiedzieć w miejscu. Czemu nie pozwalają mu pomówić z Aratapem? Dlaczego go nie wypuszczą? Zaczął walić pięścią w ścianę. Gdyby tu były drzwi, mógłby je wyważyć, gdyby były kraty, rozgiąłby je lub wyrwał z muru. Zrobiłby to, na Galaktykę!

Ale od wolności dzieliło go pole siłowe, którego nic nie zdoła naruszyć. Znów krzyknął na całe gardło.

Nagle usłyszał kroki. Podbiegł do drzwi, nie zamkniętych a przecież nie dających się otworzyć. Nie mógł wyjrzeć n; korytarz, by sprawdzić, kto nadchodzi. Pozostawało jedynie czekać.

To był ten sam strażnik. — Odejdź od pola — warknął. — Stań z tyłu i pokaż ręce. — Towarzyszył mu oficer.

Biron cofnął się. Wylot bicza celował prosto w niego, dzierżąc go dłoń nawet nie drgnęła.

— To nie komisarz — zaoponował. — Chcę mówić z komisarzem.

— Jeśli Gillbret oth Hinriad jest chory — stwierdził oficer — to nie potrzebujesz komisarza. Trzeba wam lekarza.

Pole siłowe opadło, pozostawiając po sobie jedynie widoczną przez moment bladoniebieską iskierkę, oznakę przerwania obwodu. Oficer wszedł do celi i Biron dojrzał na jego mundurze insygnia jednostki medycznej.

Biron zastąpił mu drogę.

— W porządku. Posłuchaj. Ten statek nie może wykonać skoku. Tylko komisarz władny jest podjąć decyzję, i ja muszę się z nim zobaczyć. Rozumiesz mnie? Jesteś oficerem. Możesz go obudzić.

Lekarz wyciągnął rękę, by odsunąć go na bok, lecz Biron ją odepchnął. Tyrannejczyk krzyknął ostro:

— Straż! Zabrać go stąd!

Żołnierz postąpił naprzód, a Biron rzucił się na niego. Obaj runęli na podłogę. Biron zaczął macać po ciele strażnika i chwycił najpierw łokieć, a potem przegub trzymającej bicz ręki, podczas gdy przeciwnik ze wszystkich sił starał się użyć swej broni.

Na chwilę zamarli, wytężając wszystkie siły, nagle jednak Biron pochwycił kącikiem oka jakiś ruch. To lekarz wybiegał na korytarz, aby uruchomić alarm.

Wolna ręka Birona wystrzeliła do przodu i pochwyciła lekarza za kostkę. Strażnik niemal uwolnił się z jego uchwytu. Lekarz z rozmachem kopnął drugą nogą. Bironowi z wysiłku żyły nabrzmiały na rękach i na skroni, ale z całej siły rozpaczliwie szarpnął obiema rękami do siebie.

Lekarz upadł z krzykiem. Bicz strażnika z łoskotem uderzył o posadzkę.

Biron skoczył w jego stronę, przetoczył się i ukląkł podpierając się jedną ręką. W drugiej trzymał broń.

— Ani słowa — wydyszał. — Milczeć. Rzućcie wszystko, co macie.

Strażnik, który właśnie w trudem dźwignął się na nogi, sięgnął za pas podartego munduru i spoglądając na Birona z nienawiścią odrzucił na bok krótką, obciążoną metalem plastikową pałkę. Lekarz był nie uzbrojony.

Biron podniósł pałkę.

— Przykro mi — powiedział — ale nie mam nic, czym mógłbym was związać i zakneblować. Zresztą i tak szkoda na to czasu.

Bicz błysnął raz, drugi. Najpierw strażnik, a potem lekarz zesztywnieli w groteskowych pozach i, jak stali, osunęli się na ziemię. Smagnięcie promienia dosłownie ich sparaliżowało.

Biron odwrócił się do Gillbreta, który obserwował całą scenę tępym, nie widzącym wzrokiem.

— Przepraszam, lecz ty także, Gil — i bicz błysnął po raz trzeci. Gillbret zastygł na podłodze. Jego wyraz twarzy nie zmienił się. Pole siłowe nadal pozostawało wyłączone. Biron wyszedł na korytarz. Wokół było pusto. Na statku panowała „noc", toteż jedynie wartownicy i członkowie obsługi trwali na posterunkach.

Nie było już czasu, by starać się odszukać Aratapa. Biron postanowił udać się wprost do maszynowni. Ruszył naprzód. Oczywiście w stronę dziobu.

Nagle naprzeciw pojawił się mężczyzna w stroju mechanika.

— Kiedy następny skok?! — zawołał Biron, gdy się mijali.

— Za jakieś pół godziny! — odkrzyknął mechanik przez ramię.

— Którędy do maszynowni? Prosto?

— I pochylnią w górę — mężczyzna odwrócił się nagle. — Chwileczkę, kim ty właściwie jesteś?

Biron nie odpowiedział. Po raz czwarty z lufy jego bicza wydobył się nagły błysk. Przeskoczył ciało i pospiesznie ruszył dalej. Jeszcze pół godziny.

Wbiegając po pochylni usłyszał czyjeś głosy. Światło u wylotu korytarza było białe, nie fioletowe. Zawahał się, po czym schował broń do kieszeni. Mają pewnie mnóstwo roboty. Nie będą mieć żadnych powodów, by go podejrzewać.

Szybko wszedł do środka. Na tle ogromnych konwertorów materii krzątający się wokół ludzie wyglądali jak stado karłów Całe pomieszczenie błyszczało od wskaźników, zegarów, setek tysięcy oczu, oferujących swą wiedzę każdemu, kto zechce na nie spojrzeć. Statek tych rozmiarów, niemal dorównujący wielkim liniowcom pasażerskim, zdecydowanie różnił się od malutkiego krążownika, do którego przywykł Biron. Tam cała maszynownia była zautomatyzowana. Tu

silniki miały moc, która mogła zasilać całe miasto, i wymagały nieustannego dozoru.

Znajdował się na zamkniętym balustradą balkonie, otaczającym całą maszynownię. W jednym rogu dostrzegł niewielkie pomieszczenie, w którym dwóch członków obsługi pracowało na komputerach. Ich palce śmigały po klawiaturach.

Pospieszył w tamtym kierunku nie powstrzymywany przez mechaników, którzy mijali go, jakby był powietrzem, i wpadł do środka.

Obaj unieśli wzrok.

— O co chodzi? — zapytał jeden. — Co tu robisz? Wracaj na swój posterunek. — Na jego ramionach widniały belki porucznika.

— Posłuchajcie — odrzekł Biron. — Napęd hiperatomowy został uszkodzony. To zwarcie. Trzeba je naprawić.

— Chwileczkę — włączył się drugi. — Widziałem już gdzieś tego faceta. To jeden z więźniów. Lancy, łap go!

Zerwał się z krzesła i skoczył w stronę prowadzących na zewnątrz drzwi. Biron odepchnął biurko wraz z komputerem, złapał uciekającego za pasek i wciągnął go z powrotem.

— Zgadza, się — stwierdził. — Jestem więźniem. Nazywam się Biron z Widemos. Lecz to, co mówię, to prawda. Silniki hiperatomowe są uszkodzone. Jeśli mi nie wierzycie, każcie je sprawdzić.

Porucznik odkrył nagle, że spogląda wprost w wylot lufy bicza neuronowego. Odpowiedział więc ostrożnie.

— Nie mogę tego zrobić, proszę pana, bez zezwolenia oficera dyżurnego lub samego komisarza. To by oznaczało ponowną kalkulację skoku i opóźnienie co najmniej o kilka godzin.

— Połącz się więc ze zwierzchnikiem. Z komisarzem.

— Czy mogę skorzystać z komunikatora?

— Pospiesz się.

Ręka porucznika sięgnęła w stronę rozbłyskującego niecierpliwie mikrofonu, w połowie drogi jednak runęła w dół, opadając na rząd przełączników tuż przy krawędzi biurka. Na całym statku rozdzwoniły się sygnały alarmowe.

Pałka Birona spóźniła się o sekundę. Uderzyła mocno w przegub porucznika. Tamten gwałtownie cofnął rękę, po czym z jękiem przycisnął ją do siebie. Najgorsze jednak już się stało.

Ze wszystkich wejść na balkon wlewał się tłum żołnierzy. Biron wyprysnął z dyspozytorni, rozejrzał się, po czym przeskoczył balustradę.

Lecąc w dół przygiął kolana, tak że wylądował na zgiętych nogach i natychmiast potoczył się w bok. Poruszał się najszybciej jak mógł, aby nie stać się nieruchomym celem. Tuż przy uchu usłyszał cichy świst pistoletu igłowego. Wreszcie jednak dotarł w cień

silników.

Przykucnął, kryjąc się za masywną bryłą. W prawej nodze czul przeszywający ból. Tak blisko płaszcza ochronnego statku grawitacja była bardzo silna, a przy skoku z niemałej wysokości skręcił sobie kolano. Oznaczało to koniec gonitwy. Jeśli miał wygrać, musiał zrobić to tutaj.

— Wstrzymajcie ogień! — zawołał. — Jestem nie uzbrojony! — Najpierw pałka, a potem bicz, który odebrał strażnikowi, poleciały na środek hali. Leżały tam, bezużyteczne, wyraźnie widoczne.

— Przyszedłem, żeby was ostrzec! Napęd hiperatomowy został uszkodzony. Wykonanie skoku oznacza śmierć dla nas wszystkich. Proszę tylko, abyście sprawdzili silniki. Jeśli się mylę, stracicie parę godzin. Jeśli mam rację, zyskacie życie.

— Zejdźcie na dół i złapcie go! — krzyknął ktoś.

— Czy oddacie życie tylko dlatego, że jesteście zbyt dumni, by mnie wysłuchać?! — krzyczał Biron.

Usłyszał ostrożne kroki kilkunastu osób i cofnął się w cień. Nagle nad jego głową rozległ się nowy dźwięk. Jeden z żołnierzy, obejmując ciepły metal silnika niczym kochankę, zsuwał się w dół, wprost na niego. Biron czekał. Nadal mógł posługiwać się rękami.

I wtedy z góry rozległ się czyjś głos, nienaturalnie donośny, przenikający do najdalszych kątów wielkiej hali.

— Wracać na miejsca. Powstrzymajcie przygotowania do skoku. Sprawdźcie napęd.

To był Aratap, mówił przez głośniki pokładowe. Następny rozkaz brzmiał:

— Przyprowadźcie więźnia do mnie.

Biron nie stawiał oporu. Obok niego szli żołnierze, po dwóch z każdej strony, i podtrzymywali go, jakby obawiając się, że znów rzuci się do walki. Przezwyciężając ból, starał się poruszać sprawnie, mimo to mocno kulał.

Aratap był na wpół ubrany. Jego oczy wydawały się jakie; inne: wyblakłe, rozbiegane, zmrużone. Biron domyślił się, że te z powodu braku szkieł kontaktowych.

— Wywołałeś spore zamieszanie, Farrill — odezwał się Aratap.

— To było konieczne, aby ocalić statek. Może pan odesłaać straż. Dopóki silniki nie zostaną sprawdzone, nie zamierzam nic robić.

— Pozostaną tu jeszcze przez jakiś czas. Przynajmniej póki nie odezwie się naczelny mechanik.

Czekali w milczeniu, a minuty upływały jedna za drugą Wreszcie krąg matowego szkła ponad jaskrawo świecącym literami „Maszynownia” zapłonął czerwono.

Aratap włączył odbiór.

— Słucham?

Słowa technika nie pozostawiały wątpliwości.

— Napęd hiperatomowy w zespole C uszkodzony. Pełne zwarcie. W tej chwili go reperujemy.

— Proszę przeliczyć skok — polecił Aratap. — Czas: plus sześć godzin.

Odwrócił się do Birona i dodał chłodno:

— Miałeś rację — wykonał drobny gest ręką.

Na ten znak żołnierze zasalutowali, wykonali zwrot w tył i odeszli równym, wyćwiczonym krokiem.

— Proszę o szczegóły.

— Gillbret oth Hinriad podczas swego pobytu w maszynowni uznał, iż uszkodzenie silników to dobry pomysł. Ten człowiek nie odpowiada za swoje czyny i nie powinien być za nie karany.

Aratap skinął głową.

— Od lat uważamy go za niezrównoważonego. Ten szczególny epizod pozostanie wyłącznie miedzy nami. Zainteresowały mnie jednak powody, którymi się kierowałeś, zapobiegając zniszczeniu statku. Z pewnością nie obawiasz się śmierci dla dobra sprawy?

— Nie ma żadnej sprawy. Planeta rebelii nie istnieje. Powiedziałem już panu i powtarzam raz jeszcze. Lingane stanowiła centrum rewolty, i rozprawiliście się z nią natychmiast. Mnie interesowało jedynie odnalezienie mordercy mego ojca, pani Artemizja pragnęła uciec przed nie chcianym małżeństwem. A Gillbret jest szalony.

— Jednak autarcha wierzył w istnienie tej tajemniczej planety. Koordynaty, które mi podał, z pewnością coś oznaczają!

— Jego wiara opiera się na śnie szaleńca. Gillbret wymyślił to wszystko dwadzieścia lat temu. Biorąc jego sen za podstawę, autarcha wyliczył położenie pięciu możliwych planet, w domyśle — siedzib tego wyśnionego świata. To wszystko bzdury.

— A jednak coś nie daje mi spokoju — stwierdził komisarz.

— Co takiego?

— Ze wszystkich sił starasz się mnie przekonać. Po dokonaniu skoku z pewnością sam dowiedziałbym się tego wszystkiego. Czy uważasz to za niemożliwe, że w ostatecznej rozpaczy jeden z was naraża statek na śmiertelne niebezpieczeństwo, a drugi ratuje go — wszystko po to, by mnie przekonać do zaniechania poszukiwań planety rebelii. Powinienem sobie powiedzieć: Gdyby naprawdę taka planeta istniała, to młody Farrill dopuściłby, aby statek wyparował bez śladu. To młodzieniec o romantycznym usposobieniu, zdolny zginąć śmiercią bohatera. A ponieważ zaryzykował życie, żeby do tego nie dopuścić, oznacza to, iż Gillbret oszalał, planeta rebelii nie istnieje. Mogę wracać, porzuciwszy dalsze poszukiwania. Czy to dla ciebie zbyt skomplikowane?

— Nie. Rozumiem wszystko, co powiedziałeś.

— Fakt zaś, że ocaliłeś nam życie, zostałby z pewnością wzięty pod uwagę na dworze chana. W ten sposób uratowałbyś nasz życie — i swoją sprawę. Nie, młodzieńcze. Nie tak łatwo uwierzyć w najbardziej oczywistą wersję. Mimo wszystko dokonamy skoku.

— Nie mam nic przeciwko temu — oznajmił Biron.

— Twardy jesteś — stwierdził Aratap. — Szkoda, że nie urodziłeś się jednym z nas.

To miał być komplement. Aratap ciągnął dalej:

— Teraz zaprowadzimy cię z powrotem do celi i włączymy pole siłowe. Zwykły środek ostrożności.

Biron skinął głową.

Wartownik, którego ogłuszył, zniknął już z celi, ale kiedy Biron wrócił, zastał tam jeszcze doktora. Nachylał się właśnie nad wciąż nieprzytomnym Gillbretem.

— Czy nadal nie odzyskał przytomności? — spytał Aratap. Na dźwięk jego głosu lekarz aż podskoczył.

— Efekt działania bicza minął, lecz ten człowiek nie jest już młody, a ostatnio żył w ciągłym napięciu. Nie wiem, czy z tego wyjdzie.

Biron poczuł, że ogarnia go przerażenie. Nie zważając na świdrujący ból, ukląkł i delikatnie dotknął ramienia Gillbreta.

— Gil — szepnął, wpatrując się z niepokojem w wilgotną, pobladłą twarz.

— Ej, ty, odsuń się — zwrócił się do niego lekarz gniewnym tonem. Z wewnętrznej kieszeni wydobył podręczną czarną sakiewkę lekarską.

— Na szczęście strzykawki są całe — mruknął. Nachylił si nad Gillbretem, przygotowując zastrzyk z jakiegoś bezbarwneg płynu. Igła zagłębiła się w ciało, a tłoczek automatyczni wpompował zawartość strzykawki. Lekarz odrzucił pusty pla; tikowy pojemnik. Potem pozostawało już tylko czekać.

Powieki Gillbreta zatrzepotały, po czym uniosły się. Przez moment oczy spoglądały bezmyślnie w górę. Udało mu się w końcu przemówić, ale tylko szeptem.

— Nic nie widzę, Bironie. Nic nie widzę. Biron przysunął się do niego.

— Wszystko w porządku, Gil. Teraz odpocznij.

— Nie chcę. — Spróbował się podnieść. — Biron, kiedy nastąpi skok?

— Wkrótce, wkrótce!

— Więc zostań przy mnie. Nie chcę umierać samotnie — jego palce zdawały się coś chwytać, po czym rozluźniały się bezwładnie.

Głowa opadła na bok.

Lekarz nachylił się nad nim i szybko uniósł wzrok.

— Spóźniliśmy się. Nie żyje.

Biron poczuł pod powiekami palące łzy.

— Przepraszam, Gil — wyszeptał — ale ty nic nie wiedziałeś. Nie rozumiałeś. — Nikt go nie usłyszał.

Następne godziny były dla Birona szczególnie ciężkie. Aratap odmówił mu pozwolenia na uczestniczenie w ceremoniach związanych z pochówkiem w przestrzeni. Biron wiedział, że gdzieś na tym statku ciało Gillbreta spłonie w atomowym palenisku, a popioły zostaną wyrzucone w kosmos, gdzie jego atomy przez całą wieczność będą się mieszać z drobinami międzygwiezdnej materii.

Artemizja i Hinrik będą świadkami pogrzebu. Czy zrozumieją? Zwłaszcza ona, czy pojmie, iż musiał tak postąpić?

Lekarz wstrzyknął Bironowi ekstrakt chrząstki, który miał przyspieszyć gojenie się naderwanych ścięgien. I rzeczywiście, ból w kolanie ustąpił niemal całkowicie. Zresztą i tak był to tylko ból fizyczny. Można się nim nie przejmować.

Poczuł wewnętrzny niepokój, który mówił, że statek wykonał skok, a potem przyszło najgorsze.

Dotąd wierzył, że jego rozumowanie jest prawidłowe. Musiało być. Co jednak, jeśli się mylił? Jeśli zbliżali się właśnie do serca rebelii? Informacje o tym natychmiast popłyną na Tyranna, skąd wyruszy armada ciężkozbrojnych statków. A on, Biron Farrill, umrze wiedząc, iż mógł ocalić rebelię, a jednak zniszczył ją ryzykując własne życie.

Wśród tych ponurych rozważań znów przyszła mu do głowy myśl o dokumencie. Dokumencie, którego niegdyś nie udało mu się zdobyć.

Dziwne, jak myśl o nim powracała i znikała. Czasem ktoś wspomni o jego istnieniu, po czym wszyscy o nim zapomną. Szaleńczo poszukiwali planety rebelii, a zupełnie zaniechali starań o uzyskanie tajemniczego, nieuchwytnego dokumentu.

A może trzeba było skupić się właśnie na nim?

Nagle Biron uświadomił sobie, iż Aratap zdecydował się podejść do zbuntowanej planety jednym samotnym statkiem. Co sprawiało, że był tak pewny siebie? Czy odważyłby się wystąpić przeciw siłom całej planety?

Autarcha twierdził, że dokument zniknął wiele lat temu, lecz kto ma go teraz w swoich rękach?

Może Tyrannejczycy? Może to oni mają dokument, którego tajemnica pozwoli jednemu statkowi zniszczyć cały zamieszkał glob.

Jeśli tak jest, położenie planety rebelii przestawało mi jakiekolwiek znaczenie. A nawet jej istnienie.

Minęło kilka godzin. Wreszcie w celi Birona pojawił się Aratap. Biron wstał na jego powitanie.

— Dotarliśmy do tej gwiazdy — oznajmił komisarz. Znajduje się tam, gdzie oczekiwaliśmy. Koordynaty, które pod autarcha, były prawidłowe.

— I?

— Nie ma jednak potrzeby sprawdzać jej planet. Jak poinformowali mnie moi astrogatorzy, gwiazda ta niecały milion lat temu przeszła przez fazę nowej. Jeśli nawet okrążały ją wtedy jakieś planety, wszystkie zostały zniszczone. Teraz to biały karzeł pozbawiony satelitów.

Biron spojrzał na niego.

— A zatem…

— A zatem miałeś rację — oznajmił Aratap — planeta rebelii nie istnieje.

22. Tutaj!

Mimo filozoficznego nastawienia Aratap nie mógł pozbyć się uczucia żalu. W ostatnich tygodniach jakby wcielił się we własnego ojca. Jak on dowodził eskadrą statków bojowych i walczył z wrogami chana. Tymczasem okazało się, że w tych czasach wszystko zwyrodniało: tam, gdzie miała być planeta rebelii, nie znaleźli niczego. Nie istnieli wrogowie chana, nie było światów, które można by zdobyć, a on był tylko zwykłym komisarzem skazanym na rozwiązywanie mało ważnych problemów. Niczym więcej. Lecz żal to bezużyteczne uczucie. Do niczego nie prowadzi.

— A zatem miałeś rację — powiedział. — Nie ma takiej planety.

Usiadł i gestem wskazał Bironowi sąsiedni fotel.

— Chciałbym z tobą porozmawiać.

Młody człowiek wpatrywał się w niego z powagą i Aratap uświadomił sobie nagle ze zdumieniem, że od ich pierwszego spotkania upłynął dopiero miesiąc. Chłopak wyglądał na dużo starszego niż wtedy, a z jego oczu zniknął strach. Pogrążam się w dekadencji, pomyślał Aratap. Iluż z nas zaczyna lubić niektórych swoich poddanych? Dobrze im życzyć?

— Mam zamiar uwolnić suwerena i jego córkę. Z punktu widzenia polityki to oczywiście jedyne rozsądne rozwiązanie. Prawdę mówiąc nawet nieuniknione. Postanowiłem jednak wypuścić ich już teraz i odesłać *Bezlitosnym*, Czy chciałbyś go pilotować

— To znaczy, że uwalnia pan także mnie?

— Tak.

— Dlaczego?

— Uratowałeś mój statek — i życie.

— Wątpię, czy osobista wdzięczność mogłaby wpłynąć n pańskie stanowisko w sprawach najwyższej wagi.

Aratap z trudem powstrzymał wybuch śmiechu. Naprawdę polubił tego chłopaka.

— A zatem podam ci inny powód. Dopóki próbowałem wykryć potężny spisek przeciw chanowi, stanowiłeś zagrożenia Kiedy jednak cała rebelia okazała się mrzonką i pozostały z niej jedynie wewnętrzne rozgrywki Linganejczyków, których przywódca nie żyje, nie tylko przestałeś być niebezpieczny, ale groźnne mogłyby okazać się próby osądzenia zarówno ciebie, jak i linganejskich więźniów.

Rozprawy musiałyby odbyć się w tamtejszych sądach, nad którymi nie możemy mieć pełnej kontroli. Z pewnością wcześniej czy później wypłynęłaby też kwestia planety rebelii. I choć nic takiego nie istnieje, połowa naszych poddanych uznałaby, że coś się za tym kryje, że skoro zrobiliśmy tyle hałasu, gdzieś musi być jego źródło.

Poddalibyśmy im pomysł, koncept, powód do walki, nadzieję na przyszłość. Przez wiele lat w tyrannejskich posiadłościach tliłoby się zarzewie buntu.

— A więc uwolni nas pan wszystkich?

— Nie będzie to pełna wolność, ponieważ nikt z was nie jest w pełni lojalny. Lingane zajmiemy się po swojemu, a następny autarcha odkryje wkrótce, że więzy łączące go z chanatem są ściślejsze niż dawniej. Lingane straci też status państwa stowarzyszonego, procesy zaś, w których oskarżonymi będą jej obywatele, zaczną odbywać się również poza planetą. Wszyscy, którzy brali udział w spisku, łącznie z całą waszą grupą, zostaną zesłani na planety bliższe Tyranna, gdzie nie będą mogli szkodzić. Ty nie powinieneś spodziewać się odzyskania Widemos. Pozostaniesz na Rhodii, podobnie jak pułkownik Rizzett.

— W porządku — odparł Biron. — A co z małżeństwem pani Artemizji?

— Chciałbyś, żeby do niego nie doszło?

— Wie pan na pewno, że pragniemy się pobrać. Powiedział pan kiedyś, że można zapobiec jej małżeństwu z Tyrannejczykiem.

— Powiedziałem, że spróbuję coś zaradzić. Jak brzmi to stare powiedzenie? „Kłamstwa kochanków i polityków winny im być wybaczone".

— Ale jednak jest pewne wyjście, komisarzu. Wystarczy, by zwrócił pan uwagę chana, że małżeństwo możnego dworaka z córką znaczącego rodu poddańczego może obudzić w nim niezdrową ambicję. Ambitny Tyrannejczyk może równie dobrze stać się przywódcą buntu jak ambitny Linganejczyk.

Tym razem Aratap roześmiał się.

— Rozumujesz jak jeden z nas. Ale to by nic nie dało. Czy chcesz posłuchać mojej rady?

— Jaka to rada?

— Ożeń się z nią jak najszybciej. Trudno unieważnić fakt dokonany. Pohangowi znajdziemy inną kobietę.

Biron zawahał się, po czym wyciągnął dłoń.

— Dziękuję panu. Aratap ujął ją i uścisnął.

— Nigdy nie przepadałem za Pohangiem. Ale zapamiętaj sobie jedno — nie daj się zwieść ambicji. Chociaż poślubisz córkę suwerena, nigdy nie zostaniesz władcą Rhodii. Nie jesteś typem, jakiego potrzebujemy.

Aratap obserwował na ekranie znikającą sylwetkę Bezlitosnego. Westchnął, rad, że w końcu podjął decyzję. Młody człowiek był wolny; wiadomość wędrowała już przez podprzestrzeń na Tyranna. Major Andros bez wątpienia dostanie apopleksji, a na dworze nie zabraknie nadgorliwców, którzy zażądają dymisji komisarza.

Jeśli będzie trzeba, uda się na Tyranna. Uzyska audiencję u chana i skłoni go, by wysłuchał jego argumentów. W obliczu faktów Król Królów uzna, że działania Aratapa były jedynie słuszne, i w ten sposób wrogowie zostaną uciszeni.

Bezlitosny był już tylko błyszczącą plamką, niemal nie różniącą się od otaczających go gwiazd. Złociste iskierki stawały się coraz liczniejsze, statek opuszczał bowiem Mgławicę.

Rizzett przyglądał się malejącemu tyrannejskiemu okrętowi flagowemu.

— A wiec wypuścił nas! — odezwał się. — Gdyby wszyscy Tyrannejczycy byli tacy, niech mnie diabli, jeśli nie zaciągnąłbym się do ich floty. To mi psuje obraz. Zawsze miałem zdecydowaną opinię o Tyrannejczykach, a ten komisarz do niej nie pasuje. Czy sądzicie, że on nas słyszy?

Biron ustawił automatycznego pilota i obrócił się w fotelu.

— Nie. Oczywiście, że nie. Może nas śledzić w nadprzestrzeni tak jak przedtem, ale nie wydaje mi się, aby zdołał posłać za nam promień podsłuchowy. Pamiętasz, że kiedy nas schwytał, wiedział jedynie to, co udało mu się odkryć na czwartej planecie? Nic więcej.

Artemizja weszła do kabiny pilota i położyła palec na ustach.

— Nie tak głośno. Chyba zasnął. Droga na Rhodię nie będzie zbyt długa, prawda, Bironie?

— Możemy tam dotrzeć jednym skokiem, Arto. Aratap dostarczył nam wszystkich koniecznych obliczeń.

— Muszę umyć ręce — stwierdził Rizzett.

Patrzyli, jak wychodzi, po czym Artemizja natychmiast znalazła się w ramionach Birona. Ucałował lekko jej czoło i oczy, potem usta. Wreszcie, gdy oderwali się od siebie, dziewczyna wyszeptała.

— Tak bardzo cię kocham.

— Ja kocham cię bardziej, niż mogę wyrazić — odparł Biron Rozmowa, jaka się później potoczyła, była może niezbyt oryginał na, ale dla nich wielce doniosła.

— Wyjdziesz za mnie, zanim wylądujemy? — spytał w końcu Biron. Artemizja zmarszczyła brwi.

— Próbowałam mu wyjaśnić, że jako suweren jest kapitanem tego statku, a na pokładzie nie ma ani jednego Tyrannejczyka Nie wiem jednak, czy zdołałam go przekonać. Jest zupełnie wytrącony z równowagi. Nie jest sobą. Jak odpocznie, spróbuję znowu.

— Nie martw się — łagodny uśmiech rozjaśnił twarz Birona. — Przekonamy go.

Za drzwiami rozległy się kroki powracającego Rizzetta.

— Szkoda, że nie mamy już naczepy — stwierdził, wchodząc do kabiny. — Jest tak ciasno, że nie można nawet głębie odetchnąć.

— Za kilka godzin będziemy na Rhodii — pocieszył go Biron. — Niedługo skok.

— Wiem — skrzywił się Rizzett. — I zostaniemy tam do śmierci. Nie żebym zbyt głośno narzekał — cieszę się, że żyję. Ale to idiotyczne zakończenie.

— Nie było żadnego zakończenia — odparł miękko Biron.

Rizzett uniósł wzrok.

— Uważasz, że możemy zacząć wszystko od nowa? Nie, nie sądzę. Może ty, ale ja nie. Jestem za stary, niewiele mi już pozostało. Lingane zostanie spacyfikowana. i nigdy jej już nie zobaczę. To chyba smuci mnie najbardziej. Tam się urodziłem i spędziłem tam całe życie. Gdziekolwiek będę. będę okaleczony. Ty jesteś młody, wkrótce zapomnisz Nefelos.

— W życiu liczy się coś więcej, nie tylko ojczysta planeta, Tedorze. W ostatnich stuleciach stale popełniamy ten sam błąd. Wszystkie światy są naszą ojczyzną.

— Może. Może. Gdyby istniała planeta rebelii, na pewno miałbyś rację.

— Ależ, ona istnieje. Tedorze.

— Nie jestem w nastroju do żartów, Bironie — powiedział ostro Rizzett.

— Mówię prawdę. Ta planeta to nie legenda. Znam jej położenie. Mogłem się tego domyślić już kilka tygodni temu, podobnie jak każde z nas. Fakty były jasne. Przemawiały do mnie, lecz ja nie chciałem im dać posłuchu do tej chwili na czwartej planecie, kiedy pokonaliśmy Jontiego. Pamiętasz jak stał naprzeciw nas i mówił, że bez jego pomocy nigdy nie znajdziemy piątej planety? Pamiętasz jego słowa?

— Dokładnie? Nie.

— Ja chyba tak. Powiedział: „Na każdą gwiazdę przypada średnio siedemdziesiąt lat świetlnych sześciennych. Beze mnie, metodą prób i błędów, wasze szansę dotarcia o miliard kilometrów od jakiejkolwiek gwiazdy są jak jeden do dwustu pięćdziesięciu kwadrylionów. „Jakiejkolwiek gwiazdy!" Chyba w tym momencie dotarło do mnie znaczenie wszystkich faktów. To było jak olśnienie.

— Mnie tam nic nie olśniło — stwierdził Rizzett. — Mógłbyś wyjaśnić dokładniej?

— Nie wiem, do czego zmierzasz, Bironie — poparła go Artemizja.

— Nie rozumiecie, że to jest dokładnie to samo, czego Gillbret podobno dokonał? Pamiętacie jego opowieść? Zderzenie z meteorem wytrąciło statek z kursu, tak że pod koniec serii skoków znalazł się wewnątrz układu planetarnego! Prawdopodobieństwo podobnego zbiegu okoliczności jest tak znikome, że praktycznie równe zeru.

— Uwierzyliśmy opowieściom szaleńca, nie ma planety rebelii.

— Chyba że zaistnieją warunki, w których prawdopodobieństwo owo może znacznie wzrosnąć. Rzeczywiście, istnieje taka kombinacja warunków — jedyna — przy której statek bezwzględnie musi dotrzeć do wnętrza systemu. To nieuniknione.

— Co masz na myśli?

— Przypomnijcie sobie rozumowanie autarchy. Silniki statku Gillbreta pozostały nie naruszone, tak że siła hyperatomowego odrzutu, albo innymi słowy, długość skoków, nie zmieniła się. Zmianie uległ jedynie kierunek, dzięki czemu statek dotarł do jednej z pięciu gwiazd w niewiarygodnie wielkim obszarze Mgławicy. Fakty zaprzeczały podobnej interpretacji, była ona bowiem zbyt nieprawdopodobna.

— Jaka inna jest możliwa?

— To proste. Ani siła, ani kierunek nie zostały zmienione. Nie ma powodów, by sądzić, że cokolwiek uległo uszkodzeniu. By] to tylko przypuszczenie. A gdyby statek po prostu podążał swoim ustalonym kursem? Nakierowano go na pewien układ i dotarł do niego. Rachunek prawdopodobieństwa nie jest wcale potrzebny.

— Ależ, układ, na który został skierowany, to…

— Układ Rhodii. Zatem tam się znalazł. To jest tak proste, i aż trudne do pojęcia.

— To znaczy — krzyknęła Artemizja — że planeta rebelii miałaby znajdować się u nas! To niemożliwe!

— Dlaczego? Planeta w układzie Rhodii. Są dwa sposoby ukrycia jakiegoś obiektu. Można umieścić go tam, gdzie nikt go nie znajdzie, na przykład w mgławicy Końska Głowa. Albo przeciwnie — tam gdzie nikt me będzie go szukał, na widoku, tuż przed oczami.

Pomyślcie, co przytrafiło się Gillbretowi po wylądowaniu Odesłano go na Rhodię żywego. Jego zdaniem stało się tak, bo rebelianci obawiali się, iż poszukiwania statku naprowadzi Tyrannejczyków na ich świat. Czemu go więc nie zabili? Gdyby statek powrócił na Rhodię z martwym Gillbretem na pokładzie, cel również zostałby osiągnięty, a przy tym zażegnaliby groźbę, że Gillbret się wygada, co się zresztą w końcu stało.

I znów jedynym wyjaśnieniem jest założenie, że planeta rebelii leży w układzie Rhodii. Gillbret należał do rodu Hinriadóv a gdzie indziej do tego stopnia szanowano by życie członka tej akurat rodziny?

Artemizja kurczowo zacisnęła palce.

— Ależ, Bironie, jeśli to, wszystko jest prawdą, to ojcu grozi ogromne niebezpieczeństwo!

— I groziło przez dwadzieścia lat — zgodził się Biron — choć może niezupełnie takie, jak sądzisz. Gillbret powiedział mi kiedyś, jak trudno jest udawać lekkomyślnego, bezwartościowego błazna, udawać

tak dobrze, że nie porzuca się pozy nawet w towarzystwie przyjaciół, ba! nawet w samotności. Oczywiście u tego biedaka było to w znacznej mierze rozczulanie się nad sobą. Gillbret nie grał do końca. Zupełnie inaczej zachowywał się przy tobie, Arto. Odsłonił się przed autarchą. Uznał za stosowne zdradzić się nawet przede mną, i to po dość krótkiej znajomości.

Przypuszczam jednak, że można prowadzić takie życie, jeśli ma się po temu naprawdę ważne powody. Taki człowiek mógłby okłamywać nawet własną córkę i raczej zgodziłby się na jej nieszczęśliwe małżeństwo, niż zaryzykował dzieło swego życia, które zawisło od zaufania Tyrannejczyków. Wolałby uchodzić za wariata…

Artemizja wreszcie odzyskała głos.

— Nie wiesz, co mówisz!

— Nie ma innego wytłumaczenia, Arto. Był suwerenem przez ponad dwadzieścia lat. W tym czasie królestwo Rhodii bezustannie rosło w siłę dzięki nowym terytoriom, przyznawanym mu przez Tyrannejczyków. Uważali, że pod jego panowaniem będą bezpieczne. Przez dwadzieścia lat bez przeszkód organizował rebelię, a oni sądzili, że jest zupełnie niegroźny.

— To tylko domysły, Bironie — odezwał się Rizzett — równie niebezpieczne jak nasze wcześniejsze teorie.

— To nie domysł — odrzekł Biron. — W naszej ostatniej rozmowie powiedziałem Jontiemu, że to on, a nie suweren, musiał być zdrajcą, który doprowadził do śmierci mego ojca, ojciec bowiem nie był na tyle głupi, by zaufać suwerenowi. Nigdy nie powierzyłby mu kompromitujących informacji. Problem jednak w tym — o czym zresztą już wtedy wiedziałem — że ojciec właśnie tak postąpił. Gillbret dowiedział się o konspiracyjnej działalności Jontiego z podsłuchanej rozmowy mojego ojca z suwerenem. Tylko w ten sposób mógł to odkryć.

Ale każdy kij ma dwa końce. Sądziliśmy, że ojciec pracował dla Jontiego i starał się zdobyć poparcie suwerena. Czyż nie jest równie prawdopodobne, iż jego rola w organizacji autarchy polegała na opóźnianiu przedwczesnego wybuchu na Lingane, który mógłby zniweczyć dwadzieścia lat cierpliwej pracy?

Jak myślicie, dlaczego tak bardzo zależało mi, aby ocalić statek Aratapa, kiedy Gillbret doprowadził do spięcia w silnikach? Nie chodziło o moją osobę. Nie przypuszczałem wtedy, że Aratap mnie uwolni, niezależnie od biegu wydarzeń. Nawet ty, Arto, nie byłaś najważniejsza. Musiałem uratować suwerena. Tylko on się liczył. Biedny Gillbret nie rozumiał tego.

Rizzett potrząsnął głową.

— Przykro mi, ale nie potrafię w to uwierzyć.

— Może pan jednak spróbuje — dobiegł ich jakiś nowy głos W

drzwiach stał suweren i spoglądał na nich poważnym wzrokiem. Głos niewątpliwie należał do niego, a przecież był inny niż zwykle. Dźwięczała w nim siła i pewność siebie.

Artemizja podbiegła do niego.

— Ojcze! Biron powiedział…

— Słyszałem, co powiedział — Hinrik delikatnie pogładził je włosy. — Miał rację. Zgodziłbym się nawet na twój ślub.

Dziewczyna cofnęła się, jakby zakłopotana.

— Mówisz tak jakoś… inaczej. Nie jak…

— …twój ojciec — dokończył smutno. — To nie potrwa długo, Arto. Kiedy wrócimy na Rhodię, będę znów taki, jakiego mnie znasz, i musisz to zaakceptować.

Rizzett spoglądał na suwerena oszołomiony, jego zazwyczaj rumiana cera przybrała szary odcień. Biron powstrzymywał oddech.

— Podejdź tu, Bironie — podjął Hinrik. Położył dłoń na ramieniu młodzieńca.

— Był taki czas, młody człowieku, kiedy byłem gotów poświęcić twoje życie. Taki czas może jeszcze nadejść. Na razie nie zdołam chronić żadnego z was. Nie mogę być inny niż zwykle. Rozumiecie?

Skinęli głowami.

— Niestety, najgorsze już się dokonało. Dwadzieścia lat temu nie byłem jeszcze tak bezwzględny w swojej roli jak dziś. Powinienem kazać zabić Gillbreta, ale nie mogłem. Dlatego dziś wiadomo, że istnieje planeta rebelii, a ja jestem jej przywódcą.

— O tym wiemy tylko my — zaoponował Biron. Hinrik uśmiechnął się gorzko.

— Myślisz tak, bo jesteś jeszcze bardzo młody. Czy sądzisz, Aratap ustępuje ci inteligencją? Rozumowanie, dzięki któremu zdołałeś ustalić, gdzie leży planeta rebelii i kto jest jej przywódcą opiera się na faktach znanych także i jemu, a on również potrafi wyciągać wnioski, nie gorzej niż ty. Tyle tylko, że jest starszy i ostrożniejszy, ciąży na nim ogromna odpowiedzialność. Musi mieć pewność.

Uważasz, że uwolnił was z sympatii? Według mnie tym razem uwolnił was z tych samych przyczyn co przedtem — abyście prostą ścieżką zaprowadzili go wprost do mnie.

Biron zbladł.

— Czy to znaczy, że muszę opuścić Rhodię?

— Nie. To byłoby fatalne. Nie widzę żadnej przyczyny, abyś wyjeżdżał. Zostań ze mną, a utrzymamy ich w niepewności. Moje plany są już na ukończeniu. Potrzebuję jeszcze roku, może nawet mniej.

— Ale, Wasza Wysokość, istnieją czynniki, o których nawet panu nie wiadomo! Na przykład ten dokument…

— Którego poszukiwał twój ojciec?

— Tak.

— Nawet twój ojciec, drogi chłopcze, nie wiedział wszystkiego. To byłoby zbyt niebezpieczne. Stary rządca samodzielnie odkrył jego istnienie dzięki odnośnikom w mojej bibliotece. Przyznaję, że spisał się znakomicie i natychmiast pojął znaczenie tego dokumentu. Ale gdyby mnie spytał, dowiedziałby się, że już dawno nie ma go na Ziemi.

— Właśnie, Wasza Wysokość. Jestem pewien, że mają go Tyrannejczycy.

— Ależ skąd! Ja go mam. Od dwudziestu lat. To dlatego rozpocząłem rebelię. Dopiero kiedy go zdobyłem, zyskałem pewność, że jeśli raz zwyciężymy, pozostaniemy zwycięzcami na zawsze.

— A więc to broń?

— Najsilniejsza broń we wszechświecie. Zniszczy zarówno Tyrannejczyków, jak i nas, ocali jednak Królestwa Mgławicy. Bez niej może pokonalibyśmy Tyrannejczyków, lecz w rezultacie zamienilibyśmy tylko jednego feudalnego władcę na drugiego. I tak jak oni padlibyśmy w końcu ofiarą udanego spisku. I my, i oni winniśmy wylądować na śmietniku historii, pośród przestarzałych systemów politycznych. Przyszedł czas na dojrzałość, tak jak kiedyś na Ziemi. Powstanie nowy rodzaj rządów, taki, jakiego nie znała dotąd Galaktyka. Nie będzie już chanów, autarchów, suwerenów czy rządców.

— Na przestrzeń! — ryknął nagle Rizzett. — To kto zostanie?!

— Ludzie.

— Ludzie? Jak mieliby się rządzić? Musi być jakaś osoba, która podejmuje decyzje.

— Istnieje sposób. Dokument, który mam, traktuje jedynie o niewielkiej części jednej planety, ale da się go zaadaptować do całej Galaktyki.

Suweren uśmiechnął się.

— Chodźcie, dzieci. Mogę wam przecież udzielić ślubu. Teraz niewiele nam to już zaszkodzi.

Dłoń Birona ujęła mocno rękę Artemizji. Nagle poczuli dziwne mrowienie — to Bezlitosny wykonał swój jedyny, wcześniej zaprogramowany skok.

— Zanim pan zacznie — powiedział Biron — czy mógłby pan zdradzić coś więcej na temat tego dokumentu? W ten sposób zaspokoję ciekawość i będę mógł poświęcić całą uwagę Artemizji.

Dziewczyna roześmiała się.

— Lepiej zrób to, ojcze. Nie zniosłabym roztargnionego narzeczonego.

— Znam ten dokument na pamięć — odparł Hinrik. — Słuchajcie.

I kiedy na ekranie zaświeciło słońce Rhodii, Hinrik zaczął recytować słowa, starsze — znacznie starsze — niż jakakolwiek planeta Galaktyki, z wyjątkiem jednej:

„My, obywatele Stanów Zjednoczonych, pragnąc utworzyć doskonały związek, zaprowadzić sprawiedliwość, ochronić pokój wewnętrzny, zorganizować wspólną obronę przed wrogiem, wspomóc ogólny dobrobyt i zapewnić błogosławioną wolność zarówno nam, jak i naszym potomkom, ogłaszamy tę oto Konstytucję jako obowiązującą w Stanach Zjednoczonych Ameryki…”

Posłowie

„Gwiazdy jak pył” zostały napisane i po raz pierwszy opublikowane w roku 1950. Wówczas nie wiedzieliśmy jeszcze o atmosferze planet tyle, ile wiemy teraz. W rozdziale 17. mówię o martwej planecie, w której atmosferze znajduje się azot i tlen, a nie ma dwutlenku węgla. W tej chwili wiadomo, że pozbawiony życia świat typu „Z” (mała, skalista planeta leżąca, jak Ziemia, w pobliżu swojej gwiazdy) może mieć atmosferę — jeśli ją w ogóle ma — składającą się z azotu i dwutlenku węgla, ale nie z tlenu.

Nie mogę zmienić rozdziału 17. zgodnie z tą wiedzą, gdyż musiałbym napisać na nowo znaczne partie powieści. Tak wiec proszę was, abyście odrzuciwszy związane z tą sprawą wątpliwości, czerpali przyjemność (zakładając, że jest to przyjemność) z lektury tej książki takiej, jaka jest.

Isaac Asimov

notes

Przypisy

1

Brachiacja — sposób poruszania się niektórych małp, m.in. gibonów polegający na przemieszczaniu się z gałęzi na gałąź metodą długich skoków. Zwierzęta wykorzystują przy tym tylko ręce. *(Przyp. tłum.)*

2

Nieprzetłumaczalna gra słów: *Horace Hedd* wymawia się niemal identycznie jak *horse head* — końska głowa. *(Przyp. tłum.)*